

N^o 84/3

K R E W N I .

K. B. W. R. I.

K R E W N I.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. Korzeniowskiego.

Tom II.



M. S. Zawadzki

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1857.



Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 3 Lutego 1857 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.

I.

Jakkolwiek interesującym jest dla każdego myślącego człowieka widok stopniowego rozwijania się młodej głowy i chwila obudzenia się ze snu serca, które zaczyna poczuwać w sobie siły i dążenia, jakich nie pojmowało w szczęśliwych latach wzrostu i formowania się, że jednak większość woli spojrzeć na obraz już gotowy, niż usiąść spokojnie w pracowni mistrza i przypatrywać się, jak pod jego ręką rosną formy, jak kontury nabierają miąższości i barwy, jak powstają postaci żywe i mówiące, dla tego i my, nieprzypisujący sobie tyle sztuki, abyśmy opisaniem téj wewnętrznej i tajemniczej roboty ducha zająć mogli, wolimy od razu przekroczyć lat kilka i postawić bohaterów

naszych przed oczy czytelników takimi, jak się urobili w miarę indywidualnego usposobienia swego i zewnętrznych wpływów, którym każdy z nich uleżeć musiał.

Parę listów jednego i drugiego, które ręk naszych doszły, zastąpią opowiadanie i dadzą nam poznać obu braci, którzy w tak odmiennych warunkach wzrosli i w części dojrzeli, a których dalszym losem radzibyśmy z serca zająć szczególnie tych z czytelników naszych, co dopiero stanęli na progu świata, których nadzieje są jeszcze nieskończone, bo nie przeszli przez zawody doświadczenia, których dusza jest jeszcze pełną ufności i wiary, bo nie dotknęli jeszcze własnymi rękami tych wszystkich mar, co na tle przyszłości rozwijają przed ich okiem tak cudowne kształty i barwią się wszystkimi kolorami prawdy i życia.

Dnia 20 czerwca 1840 roku tak Eugeniusz pisał do brata:

»Drogi mój Ignasiu! pozawczoraj przybyliśmy do Warszawy, i rozpatrzywszy się trochę w tém miasteczku, jak je panna d'Arnaud nazywa, w tém milém mi miasteczku, w którym przepędziłem kilka zim, i które ma coś w sobie tak pociągają-

cego, że choć się je nie zawsze żegna z żalem, zawsze się je wita z radością, siadam, żeby z tobą pogadać, żeby się przed tobą wypowiedzieć, żeby ci udzielić wszystkich nowin, które się mnie tyczą, i żądać nawzajem od ciebie, abys mię uwiadomił, co myślisz, co marzysz, czego się spodziewasz, co przedsięwiesz. Uśmiechniesz się zapewne, czytając, że żądam historyi twoich marzeń, od ciebie, który jesteś człkiem czynów, któryś nigdy nie budował zamków na lodzie, tak jak ja, ale zawsze myślał tylko o tém, co można wykonać i rękami własnymi urobić. Pamiętam to dobrze, kiedyśmy byli razem, że kiedym ja myślał o niebieskich migdałach, ty przez ten czas robiłeś stoliczki lub krzeselka, które cieszyły małą Bazylidę i ściągały ci podziękowanie jej matki, kiedy moje bańki pękały w powietrzu, i ani mnie, ani nikomu nie przynosiły uciechy i pożytku. W piętnastym roku życia już sobie urządził coś nakształt domu własnego w Lublinie, już mogłeś ciotce dać kącik u siebie, już stałeś na własnych nogach i nie dbałeś o nieczyją łaskę, kiedy mnie śniły się projekta i plany, do których wykonania nie takich potrzeba było sił, jakie miałem, i za

któremi goniąc, czekałem aż mi podadzą jeść i pić, aż mię ubiorą i rozbiorą, aż zajedzie powóz i przewiezie mię wśród zielonych pól i cienistych lasów, aby ręce i nogi były w pokoju, a głowa tylko aby miała swobodę i czas bujać po szerokim świecie i lecieć myślą tam, gdzieby najczynniejsze i najbieglejsze ręce nie ująć i nie rzeczywistego zlepić nie mogły. Szczęśliwszy może, Kochany Ignasiu! odemnie, że czujesz zawsze ziemię pod stopami swojemi, chociaż nie mogę powiedzieć, żeby mi było źle być takim, jak jestem. Ty zapewne widzisz lepiej i wyrażniej wszystko to, co cię otacza, żywiej uderzają twoje oczy światła i cienie przedmiotów, których dotykasz, ale za to czujesz pod ręką swą wszelką chropowatość i nieraz musisz odwrócić oczy od brudu i koszlawnego, które są za blisko, aby nie raziły i nie bolały. Ja mogę tylko patrzeć w oddalenie, i lubię to zlewanie się kształtów, które wypełniam i urabiam myślą według mej fantazy, a ta barwa lilijowo-błękitnawa, bliższa nieba niż ziemi, jaką się tam wszystko przyobleka i zdobi, czaruje moje oczy i nie razi ich niczém zbyt mocném, wydatném i jaskrawém. Tak już widać nas Pan Bóg

stworzył, a jak nam z t \acute{e} m b \acute{e} dzie dalej, to czas poka \acute{z} e.

»Ale chocia \acute{z} nie okazywa \acute{e} s nigdy usposobie-
nia poetycznego, nie przeskoczysz t \acute{e} j epoki m \acute{l} o-
do \acute{s} ci, w kt \acute{o} r \acute{e} j nawet Kepler i Lejbnic musieli
by \acute{c} cho \acute{c} troch \acute{e} poetami. Sko \acute{n} czy \acute{l} es dziewiętna-
ście lat, kochany Ignasiu! i dla tego mog \acute{e} ci \acute{e}
zapyta \acute{c} , czy marzysz, o cz \acute{e} m i o kim marzysz?
Wiek, w kt \acute{o} rym jeste \acute{s} my oba, ma swoje prawa,
z pod kt $\acute{o$ rych wy \acute{l} ama \acute{c} si \acute{e} nie zdo \acute{l} amy. B \acute{o} g z \acute{l} o-
 \acute{z} yl w sercu m \acute{l} odem tyle \acute{s} wie \acute{z} o \acute{s} ci, taki zapas
si \acute{l} na przebycie dalsz \acute{e} j drogi \acute{z} ycia, \acute{z} e ka \acute{z} dy
jakkolwiek si \acute{e} wychowa \acute{l} , czuje w sobie wi \acute{e} cej,
ni \acute{z} rzeczywi \acute{s} cie mo \acute{z} e; doznaje ch \acute{e} ci, kt $\acute{o$ re go
z w \acute{l} asniwej mu kolei wypychaj \acute{a} ; nie w \acute{a} tpi o
niez \acute{e} m, i dla tego d \acute{a} ży naprz \acute{o} d i naprz \acute{o} d, nie
mierz \acute{a} c odleg \acute{l} o \acute{s} ci, a \acute{s} rodki, jakie ma, dope \acute{l} nia-
j \acute{a} c temi kt $\acute{o$ re mu g \acute{l} owa rozko \acute{l} ysana do r \acute{a} k po-
daje. I jak nie ma wierzy \acute{c} w ich rzeczywisto \acute{s} ć,
kiedy cia $\acute{l$ o jego nie zu \acute{z} yte i jak w m \acute{l} odym d \acute{e} bie
pe $\acute{l$ ne sok \acute{o} w i si \acute{l} y, kiedy dusza jego zdrowa, nie
dotkni \acute{e} ta \acute{z} adn \acute{a} zgnilizn \acute{a} , \acute{s} mia \acute{l} o si \acute{e} wznosi do
nieba i rozlewa po ziemi, kiedy ma przed sob \acute{a}
ca \acute{l} \acute{a} przysz \acute{l} o \acute{s} ć i wierzy, \acute{z} e je \acute{z} eli jeszcze dot \acute{a} d

nie znalazł, to pewnie znajdzie ten punkt, gdzie oprze ów drąg, którym świat poruszy. Donieś mi więc o tém wszystkiém, kochany Ignasiu, a ja marzyciel ex-professo, dla twojej miłości zstąpię na ziemię, wydobędę z kryjówki méj cały zapas doświadczenia, jakiegom już nabył, który tam musi być tém większy, że go nie używam dla siebie, i że on tam pewnie rośnie coraz, jak kapitał złożony na procent składany. Będę ci więc radził i pokieruję twym lotem, albo raczej twym biegiem uskrzydłonym, bo pewny jestem, że ty choć się puszczasz, nie wzbijasz się jak skowronek z piosnką rozlegającą się pod niebem, ale rozstawiwszy skrzydła pędzisz jak struś, nie oddalając się od ziemi i czując zawsze pod nogami swemi jej twardą i bezpieczną podporę.

» A teraz, ruszywszy ramionami i uśmiechnąwszy się ironicznie z mojej zarozumiałości, słuchaj, co ci powiem o sobie. Nigdy nie zgadniesz, choć byś nie wiem jak myślał, jaki tu względem nas wykluwa się projekt, który właśnie jest powodem, żeśmy w najpiękniejszej porze opuścili Zabuże i do Warszawy przyjechali. Projekt to dla mnie

tak ważny, tak pełen czarujących obietnic, że mi spać nie daje, i stoi ciągle przed oczami, jak ukochane oblicze, którego każdy rys, każde wyrażenie czy radości, czy zamyślenia, czy złęgo humoru przytomne jest myśli i rysuje się w najdrobniejszych zmianach przed okiem duszy. Jeszcze się niedomyślił o co idzie, i nie radujesz się wraz ze mną i nie marzysz tak jak ja, niewysłowione rozkosze i zachwycenie, któremu nie wiem jak i kiedy położyć granice. Otóż ci powiem, że tu idzie ni mniej ni więcej tylko o wysłanie nas, Stasia i mnie, do Włoch, pod okiem i opieką ks. Augustyna, którego już musisz dobrze znać, bom ci o nim tyle razy już pisał. Wyobraź sobie teraz we Włoszech mnie, wielbiciela wszelkiej piękności, kochającego kształt i formę w każdej rzeczy, na którą patrzę i której się dotykam! Nie wiem, kto natchnął tą myślą kasztelanową; sądzę że ks. Augustyn, który ma nad nią wielką przewagę moralną; który chociaż młody, dziwnie się wyrobił i pod względem religijnym i estetycznym, i siłą swego religijnego uczucia, któremu umie dać formę równie poważną jak ujmującą, opanował prawie ducha téj kobiety, który z latami

nabiera tęgości i oporu, i każdemu innemu wpływowi stawia czoło harde i wolę niezłomną. Kasztelan, choćby mógł pojąć tak zbawienny zamiar, choćby najmocniej chciał, byłby tego sam nie dokazał. Panu Orlickiemu, którego przed półrokiem pożegnaliśmy, i który dziś wyklada wyższą matematykę i geometryę wykreślną w jednej ze szkół wyższych Królestwa, nie by podobnego do głowy nie przyszło. On by nas był wyprawił nie tam, gdzie króluje piękność i sztuka, ale tam gdzie panuje rozum i algebra. Otoż pewny jestem, że tę wielką radość, jakiej dziś doznaję, winienem nie komu innemu, tylko temu miłemu, pełnemu światła, pobożności i dobroci kapłanowi, którego serdecznie kocham, i który mi też przywiązanie moje wzajemną odplaca zyczliwością. Przypominam sobie, żeśmy przed trzema miesiącami w poufnej pogadance mówili o tém wrażeniu, jakie ta klassyczna kraina, ta ojczyzna wszystkiego, co było i jest wielkiem na ziemi, musi sprawiać na każdym, który z sercem niezajętym próżnością ziemską i z głową świadomą tego co było, staje przy tej kolébee przyszłości ludów, której strzeże religija i wiara, i przy tej trumnie

przeszłości, której strzeże historia i ukazuje co i dla czego pozostało z tego olbrzymiego życia wieków, które tam pochowane. Ks. Augustyn westchnął tylko i zawołał:” Ach! mój kochany! co by to było za szczęście dla nas obydwóch! dla mnie, jako kapłana, dla ciebie, jako miłośnika sztuki i piękności. Rzym już od roku spać mi nie daje.” Widać więc, że ta myśl jeszcze głębiej wówczas wniknęła do jego duszy, i że od téj chwili zaczął nad jęj urzeczywistnieniem pracować. Uważałem częste jego konferencye z kasztelanem, częstsze słyshałem rozmowy o Włoszech, do których zawsze pytaniami swemi dawała powód P. Jadwiga, poetka i artystka w duszy, chociaż ani piórem, ani ołówkiem nie umie dać ciała swojej myśli. Czy ta jęj ciekawość pochodziła od nięj samęj, czy z insynuacyi ojca i ks. Augustyna, tego nie wiem; dosyć, że zaspakajając ją, albo kasztelan ze wspomnień swych dobywał obrazy, które nam najwyższą przynosiły rozkosz, lub ks. Augustyn, posiłkując się swem ocytaniem, dawał szczegóły, które mnie zapalały, a na które nawet Staś prozaiczny i do materialnego przepychu i używania skłonniejszy, niż

do ideałów, okazywał się nieobojętnym. Przyszło do tego, że raz nawet kasztelanowa odezwała się, że dobrzeby w synu jej obudzić uczucia wyższe i mniej ziemskie, widokiem tych skarbów geniuszów, którym religija udzielała natchnienia, wprzód nimby zwiedził inne kraje, w których rozum i przemysł ludzki więcej myślał o ziemi, niż o niebie. Uchwycono się widać téj myśli, że podróż naszą zaczniemy od Włoch, gdzie mamy przebyć rok cały, a potem pojedziemy dalej. Otoż to tym sposobem, kochany Ignasiu! przyszło do projektu, który się właśnie teraz obrabia ostatecznie i który mnie tak szczęśliwym i gadatliwym zrobił. Ale ty mi tego nie weźmiesz za złe, zem ci tak wiele napisał o rzeczy, która może dla ciebie nie ma tyle uroku, co dla mnie. Musiałem podzielić się z tobą moją radością, jakbym podzielił się smutkiem, gdybym go miał, bom ci przyrzekł wypowiadać się ze wszystkiego, co czuję, com myślał, czogomi doznał. Nie skończę więc jeszcze na tém i idę dalej. Nie wiem jak przyjmiesz przyznanie, które ci jeszcze zrobię, ale zrobić je muszę, bo mi zbyt cięży, a z nikim oprócz ciebie podzielić się nie mogę tą tajemną

czy tęsknotą, czy szczęśliwością, która może maluje się na mojem czole, ale której nigdy jeszcze głośno, nawet przed sobą samym nie wymówiłem, gdyż czem ona jest, doprawdy nie wiem.

»Otoż wyobraź sobie, mój Ignasiu! przez jak dziwne i niewytłómaczone przeszedłem sprzeczności. Na tydzień przed naszym wyjazdem, gdy mię ks. Augustyn zawołał do siebie, i rzekł z twarzą, z której jaśniała radość: »No, kochany Eugeniuszu! jedziemy więc do Włoch; idzie tylko o paszporta, reszta wszystko załatwione.» Wtedy rzuciłem mu się na szyję, płakałem z radości, skakałem w uniesieniu, i musiałem pasować się z sobą, żeby utaić swe szczęście i nie zdradzić się przed kasztelanową, która jeszcze woli swój nie objawiła, i o której nikt, prócz męża i ks. Augustyna, nie wiedział. Kiedy zaś raz zapowiedziała nam przy śniadaniu, że za parę dni wyjeżdżamy do Warszawy a ztamtąd my trzej udamy się do Włoch, na rok cały, dziwny ogarnął mię smutek, i gdybym był nie czuł się do obowiązku wyrażenia wdzięczności méj, téj zacnej pani i jój mężowi, że mię nie wyłączają od téj podróży, że taki koszt, dla ukształcenia mego podejmują, był-

bym uciekł, i skrywszy się gdzie w najciemniejszym kącie ogrodu, byłbym płakał nie łzami radości i szczęścia, ale łzami jakiejś dziwnej tęsknoty, której nie pojmuję, i bólu, którego sobie wytłómaczyć nie umiem. Dziś już to w części przeszło; dziś już jestem panem moich myśli, to jest o tyle, że bez oglądania się na to, co zostawiam za sobą, unoszę się za niemi na laguny Wenecyi, między ryżowe pola Florenceyi, między groby i pomniki starego Rzymu, i wszędzie wyobrażam sobie cuda, na których samą myśl serce mi bije i głowa się zawraca. Ale tego dnia, o którym ci wspomniałem, i później przez dni kilka znikła piękna Italija z mojej imaginacyi, cała Europa zmalala i zbiegła się w jakąś niewyraźną plamkę, od której odwracałem oczy, a Zabuze urosło do kolosalnych rozmiarów, okryło się niewysłowionym wdziękiem, oświeciło się tak cudnym słońcem, że na nie napatrzeć nie mógł, że z niego wyrwać nie umiał mego serca, które jakby przyrosło do tych gajów, do tej zieloności, do tego zwierciadła Bugu, gdzie tyle razy widział odbijające się niebo, a teraz myślał i czuł, że to jedyny jego obszar, pod którym może mi być do-

brze, który nie zapłynie chmurami, co rzucą cię ponury na resztę mojego życia.”

»Zkądże się to wzięło, kochany Ignasiu! że mi to miejsce wydało się w tej chwili dziesięć razy piękniejszym, niż było kiedykolwiek w moich oczach, niż zapewne jest w rzeczy samej? Prawda, że te ogrody, te łąki, te drzewa, te czyste fale, zawsze inne i zawsze te same, złączone są ze wszystkimi wspomnieniami mego dzieciństwa. Tu się wychował, tu wyrosł, tu pierwszy raz moja dusza zaczęła rozumieć wzniosłą mowę stworzenia, i zdawać sobie sprawę z tych dziwnych objawów życia natury, co mię zawsze pociągało swym wdziękiem, ale było tajemnicą dla mojego oka i serca, pókim się nie nauczył pojmować źródła jego piękności, i nie podniósł się myślą aż tam, z kąd wszelkie życie i wszelki jego urok wypływa. Wspomnienie więc tych chwil mogło obudzić we mnie żal za tym miejscem, gdzie się ocknął ze snu, poznał siebie samego, i we wszystkim, co mnie dawniej cieszyło ślepo i instynktywie, zaczął upatrywać przedwiecznego mistrza i korzyć się przed jego duchem wielkim i nieśmiertelnym. Ale wieleż to razy i dawniej z temi sa-

memi uczuciami podziwu i wdzięczności dla Stwórcy, słucałem szumu tych topoli i dębów, ustawicznego pluskania tych fal uchodzących, szmeru tych żywych i niezliczonych istot, dla których ogród ten był całym światem; wieleż razy w tym głosie tajemniczym, który mię ze wszystkich stron dochodził, slyszalem jakby pobożne westchnienie do Boga jakiejś powszechnej duszy natury; wiele razy w zmroku wieczora, przy tém gasnącém i niewyraźnym świetle, kiedy wszystkie kolory zlewają się w jedną barwę i wszystkie kształty zbiegają się w jedną jakąś ogromną i fantastyczną postać, siedziałem w milczeniu, i zdawało mi się, że natura umyślnie na to zapuszcza na swoje dziwy tę uroczystą zasłonę, aby dopomódz do zebrania się memu duchowi, aby go ośmielić do jej rozdarcia i do przypatrzenia się innym dziwom nieskończonej mądrości, które za nią leżą, a wówczas wyraźnie i widomie ukazać mi się miały. Nigdy przecież nie przyszło mi do głowy, że na całym obszarze ziemi nie znajdę miejsca, którego barwy i kształty byłyby równie czarujące, któreby mi wyraźniej mówiło o téj odwiecznej piękności, wcielającej się w życie widome, którego niebo byłoby

blizszém mojej duszy, i obiecywałoby mi szczęśliwość, jakiej pragnąć powinienem i którą jedynie zaspokoić się zdołam. I wtedy ja, którym był tak blizkim otrzymania tego, czegom jedynie pragnął, płakałem łzami tęsknoty i żalu, i zdawało mi się, że tracę to, co było najlepszą częścią mojej istoty i zostawiam tam wszystko, co mogłoby przyszłości mojej nadać wartość i cenę.”

»Wytłómacz-że mi teraz tę sprzeczność uczuć, tę chwilową wprawdzie, ale tak wielką i dającą do myślenia niezgodę chęci, ten burzliwy powiew jakiegoś wiatru pełnego mocy, który podał przeciw biegowi moich myśli i zatrzymał na czas niejaki ich cały pęd i dążenie? Wprawdzie doświadczyłem już ja tego i na sobie, chociaż niedawno żyję, że i piękności sztuki nie zawsze jednakowe na mnie, a zapewne i na każdym, czynią wrażenie. Do miejsce, na które patrzymy, do dzieł ludzkich, które nas zastanawiają, przymiesza się zawsze coś z nas samych. To, co zmysły widzą, przekształca się niejako wewnątrz nas, i budzi tam obraz idealny, odpowiadający naszemu chwilowemu usposobieniu, naszym myślom, uczuciom, słowem całej naszej wewnętrznej istocie więcej może, niż

prawdzie zewnętrznej, która przez to nieraz albo zaciemnia się chmurą naszego serca, albo rozświetla się tym blaskiem, jaki z nas samych pada na przedmiot, którego zarysy podnosi. Być może, że i ja wówczas byłem w takim usposobieniu. Ale zkad się wzięło, co roznieciło we mnie tę łunę, która padła na to piękne miejsce mego wychowania i oświeciła je tak, że mi się wydało najcudniejszym zakątkiem na całej ziemi, a wszystko co było dalej i bliżej za jego granicami, pustką niemą i głuchą, bez wartości i uroku.”

»Otoż to w tém jest cała zagadka, którą chciałbym rozwikłać! Słowo, które ją rozwiązuje, przestrasza mnie; z drzeniem twogi, a razem i szczęścia wymawiam je w duszy; a jednak czuję to, że się mogę tylko ludzi, jak dziecko, niepojmujące nieskończonej odległości, któremu się zdaje, że zaraz za lasem jest niebo. Byłoby to niebo tak blizkiem mnie, któremu oprócz imaginacyi i serca, dał Bóg przecież i dosyć rozsądku, aby odsunąć od siebie marę, która przybiera cechy prawdy i rzeczywistości, jeżeli nią nie jest? Osądź sam, kochany Ignasiu! i wysłuchaj cierpliwie tej pierwszej, a może i ostatniej spowiedzi,

którą poddaję praktycznemu rozumowi twemu, nie w tój myśli aby mię rozgrzeszył, ale żeby mię umocnił w tój walce, jaką staczam z pokusą.”

»Domyślasz się zapewne, co ci mam powiedzieć, a ja czuję to, że się domyślasz po tym rumieńcu wstydu, który oblewa moją twarz w tój chwili, kiedy to piszę. Byłaby to inna piękność, wyższa, objawiająca więcej Boga i jego nieskończoność, niż ją objawia otaczająca mię ziemia i wiszące nademną niebo, którą tam wszędzie widział, kiedyś z takim żalem, z takim bólem głębokim i silnym odrywał serce i oko od tych pięknych gajów, od tych róż, które się rozlegały po aksamitnej murawie, od tych fal, które niejako wykołysały moje myśli i pojęcia? I lękam się i pragnę aby tak było w rzeczy samej, aby słowem, rozwiązującym tę zagadkę, która może się stać zagadką całego mojego życia, był ten wyraz czarodziejski, przez który świat ten żyje, trwa i jest tak pięknym; wyraz, który w całej swój pełni i potędze jest tylko w Bogu, przez który człowiek na ziemi o tyle tylko do niego się zbliża o ile go ma w sobie i objawić jest zdolnym. I cóżby to wreszcie było dziwnego, żeby ten śpiew

miłości, rozlegający się po całym stworzeniu, odezwał się i w moim dwódziestoletnim sercu, kiedy wszystko, co mnie dotąd otaczało, naciągało i stroiło jego struny, aby zabrzmiały tą harmoniją, która dopełnia życia? Pod moim okiem i ze mną razem wyrosła i dojrzała istota rzadka i dziwna, jakiej podobnej nie spotkałem między kobietami, którem widział i poznał. Są piękniejsze foremnością rysów, wyrazem fizynomii, kiedy je ożywia jakie uczucie, uderzy jaka myśl, jaki obraz, jaka mocniejsza i gorętsza chęć podobania się i ujęcia. Ale ta piękność ich jest jakby napływowa, nie ich własna; jest to niby cudny jakiś reflex, padający na ich twarz od zewnętrznego światła, który trwa póty, póki to światło nie usunie się i nie zamgli. Jej piękność nie potrzebuje żadnego wysilenia, żadnej zewnętrznej pobudki, żeby się objawiła oku każdego, kto na nią uważniej spojrzy; jaśnieje ona zawsze na jej twarzy, jakkolwiek jest stan jej myśli, jakkolwiek usposobienie jej duszy; bo jest w niej samą, i z jej głowy zajętej ciągle myślami wyższymi i oczyszczonymi z drobnostek życia, z jej imaginacyi rojącej tylko to, co piękne i wzniosłe, z jej serca, po-

zbawionego wszelkiej próżności i pychy, miłującego gorąco wszystko dobre i szlachetne, przechodzi do jej oka, rozlewa się po jej twarzy i ubiera jej rysy i fizyonomiją. Otrzymała ona ten dar Boży, który małej liczbie kobiet się dostaje; Bóg dał jej ten wyraz, który trwaniem swém ciąglem i pokojem, przypomina najwięcej ową piękność, jaką mieć muszą nieziemskie istoty, i jaka może zająć na naszym czole, gdy pot pracy i kurzawa ziemi z niego spadnie, gdy zaczniemy żyć tam, gdzie wszystko czyste, jasne i nieskończone. Jakże chcesz, aby widok ciągły takiej kobiety, aby jej rozwijanie się, na którym patrzył, i w miarę mojego własnego rozwijania się coraz więcej pojmował, aby ta dobroć i współczucie, jakie dziecko dziecku, panienka przychodząca do samopoznania siedmioletniemu chłopcu, kobieta dójrzała przedwcześnie siłą ducha, mężczyźnie dójrzałemu także przed czasem, może dla tego, że pod jej okiem dójrzał, okazywała, nie obudziły we mnie uczucia, które może jest tylko uwielbieniem, może przyjaźnią bezwarunkową i świętą; a może tą potężną miłością, która czasem staje przedemną z obliczem pełnym światłości i uśmiechem, a cza-

sem jawi się jako straszycło z groźbą na czole, z szyderstwem i wzgardą na ustach.”

»Do téj stanowczej chwili, w której dowiedziałem się, że ją stracę z oczu na lat kilka, że przez czas mojej nieobecności przyjdzie zapewne to, co przyjsć musi, że ją stracę na zawsze—nie zastanawiałem się nigdy nad tém, com dla niej czuł, i jak to przywiązanie, które dla niej miałem, ta część z jaką korzyłem się przed jej wyobrażeniem, wpłynie na dalszy mój los, do czego zwróci moją głowę i serce. Szczęśliwy pod tém słońcem, które mi ciągle świeciło, nie pomyślałem o tém, co się ze mną stanie, gdy zajdzie na długo, gdy mi zabraknie tego światła, którego blask ozdabiał wszystko co mię otaczało, i tego ciepła, które przenikało całą moją istotę, pod którego wpływem rosła i dojrzewała. W jej postępowaniu ze mną nie było także nic, co by mię mogło obudzić z tego błęgiego stanu i dać poznać, że to jeszcze nie dosyć, że mogę się spodziewać większego szczęścia, i urosć sobie jakieś prawo do tych oznak dobroci i przyjaźni, którem zawsze dotąd uważał za łaskę, za dowód tylko jej wyższości, za ten konieczny wpływ jej anielskiej natury, co

ją prowadził mimowoli do opiekowania się sierotą, do ozłocenia gorzkiej czasem jego doli wejrzeniem przyjaźni i uśmiechem współczucia. Dopiero wtedy, gdy nam powiedziano, że jedziemy, że jedziemy daleko i na długo, postrzegłem że radość, jaka przy pierwszym objawieniu woli kasztelanowej błysnęła na mojej twarzy, okryła chmurą jej czoło i powlekła bladością niezwykłą jej lice. Popatrzyła ona na mnie jakby z wymówką, jakby z wyrazem bólu i wyrzutu, że cieszę się, iż ją porzucam. Było to jedno mgnienie, chwilka krótka, ale wymówna, którą ja tylko uchwycił i zrozumiał, bo zaraz powstała i wyszła i w kilkanaście minut dopiero powróciła z pokojem na czole, ale z widocznym śladem, że tylko co otarła łzy, które się nacisnęły do jej oka. O mój kochany Ignasiu! pojmujesz ten stan w jaki mię wprowadził ten widok. Nigdy mi się nie wydała tak piękną, nigdy postać jej słuszna i giętka, nie miały więcej gracy i powagi, i nigdy żadna najparadniejsza suknia nie wydawała tak jej foremną i ulotną kibici, jak ten prosty, jasno błękitny szlafroczek, który ją wtedy odziewał; nigdy bujne jej włosy świetniej nie jaśniały, i nie obejmowały lepiej swym hebanem

jój bladego jeszcze czoła, jój liea, na które czy walka ze wzruszeniem, czy wstyd, że mu się na chwilę poddała, wydobyły lekki, różowy rumieniec; nigdy głos jój nie brzmiał słodziej i harmonijniej i uśmiech nie zdradzał więcej dobroci i serca, jak gdy patrząc na mnie tak, jakby starała się przeniknąć, czy ją pojmuję, wyrażała swoją radość, że się dogodzi mojemu najgorętszemu życzeniu; że to właśnie jest kraina, gdzie moje pojęcia o piękności i sztuce rozwiną się ostatecznie i do zupełnej przyjdą dójrzałości.”

»Czy to wszystko było w rzeczy samej tak, jak mi się wydało, któż to zaręczy? Ale mógłżem wtedy rozbierać i rozważać, kiedy na sam domysł, na samo przypuszczenie, że szczęście tak nieopisane mogło być moim udziałem, uderzony byłem blaskiem, który olśnił mię i wszystkie władze duszy pomieszał i zmaćił. Uczułem tylko smutek wielki, ból niewysłowiony na tę myśl, że oto schodzi do mnie, jak anioł z obłoków, a ja odwracam się, uciekam i tracę ją z oczu na długo, a może na zawsze. Wtedy to utkwilem ją sobie w myśli taką, jaką widziałem powracającą, ze łzą w oku, z zamyśleniem i pokojem na czole bladym i objętym

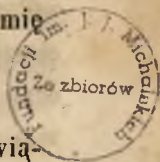
w krucze jęj sploty, z łagodnym i melancholiznym uśmiechem na ustach, w tym błękitnym szlafroczku, co jak szata, udarta z błękitu niebios, owiewał jęj kibić i okrywał postać jęj kształtną i ulotną. Taką widziałem ją potęm w każdym zakęcie Zabuza, to wychodzącą do mnie z cieni- stych kłębów, to błakającą się pomiędzy różami, to siedzącą w zamyśleniu i dumającą o mnie pod starym dębem, który szumiał nad jęj głową, to płynącą po wierzchu fal Bugu i igrającą z promieniami księżyca, które się łamały w jego kryształach. Dla tego to zapewne, mój kochany Ignasiu, wszystko mi się wydało tak pięknęm; z tego to zapewne źródła wypływało to światło, co mnie takim objęło urokiem, ztąd to zapewne ten żal, ten ból głębokki, żem opuszczał to miejsce, gdzie miał to, co mi było najdroższęm, gdzie mógł kochać i korzyć się przed pięknoseią, która mogła mi podać gorącą rękę i żywem i wymownem okiem ukazać na niebo, a biegl czeić martwe płótno, dotykać zimnego marmuru, grzebać między złomkami i gruzami, które może odpadły od jakiego pałacu przemoey, lub od jakiego schronienia brudnej i ziemskiej uciechy.”

»Był to stan gorączkowy, który naturalnie nie trwał długo. Już na drugi dzień widziałem ją taką, jaką była zwykle, spokojną, dobrą, poetyzującą razem ze mną, cieszącą się tą radością, jakiej mam doznawać, pełną czasem tego entuzjazmu, który miał ogarnąć moją duszę. Pod tchnieniem tego pokoju i burza mojego serca uciekła, wróciła dawniejsza radość, z którą wyglądam widoku stariej Italii; żal za Zabuzem znikł, bo unoszę z sobą tę aureolę, która nad niem świeciła, bo obraz jój, jaki się utkwił wtedy w mojej duszy, nie odstępuje mię ani na chwilę, i kto wie, co będę widział na płótnach Rafaela i Coreggia, czy ich madony, czy odbicie tej anielskiej twarzy, która jest we mnie. Jest-że to miłość, kochany Ignasiu, czy tylko braterskie przywiązanie, czy tylko przyjaźń pełna czci i uwielbienia? Sam nie wiem. Opuszczam ją bez bólu, lecę myślą niecierpliwą tam, gdzie jój nie ma, bez rozpachy przypuszczam, że ją zastanę żoną innego, i ani mi przychodzi do głowy, aby mogła być moją; a jednak pewny jestem, że obraz jój nie odstąpi mię, że wszędzie, gdziekolwiek obaczę coś pięknego, wielkiego, coś go-

dnego czci i uwielbienia, obaczę ją także; że w każdej chwili szczęścia lub smutku stanie przy mnie widomie, poda mi rękę, i wejrzeniem współczucia i przyjaźni podwoi moją radość, i zdejmie z czoła mego smutek i zwątpienie. Rozwiąż-że to zagadnienie, matematyku, sprowadź te mary do ich rzeczywistego znaczenia, i zmysłem praktycznym wynajdź, co z tego wszystkiego wypaść może dla mnie, i gdzie mię to zaprowadzi? Uprzedzam cię tylko, że nie do Bonifratrów, bom nigdy nie myślał zdrowiej i silniej jak teraz, nigdy nie widział jaśniej, jak dziś, kiedy do tego zewnętrznego światła, które pada na świat boży, przybyło jeszcze to światło, które wychodzi ze mnie, a źródło ma w tém obliczu, jakie w duszy mej noszę. Bądź zdrow, mój drogi Ignasiu, a odpisz mi prędko, bo twój list może mi już nie zastać w Warszawie.”

Odpowiedź Ignasia była takiej treści:

»Kochany Eugeniuszu! Żadasz odemnie rozwiązania kwestyi, którą ci się podobało nazwać zagadką, a która wcale nią nie jest. Z całej tej poetycznej i pięknej banialuki, którąś mi przysłał, widzę dobrze, że i ty nie masz stanu swe-



go za zagadkowy, że go owszem pojmujesz dostatecznie, ale starasz się wmówić w siebie coś innego, i niezuciu, o którego naturze aż nadto jesteś przekonany, nadajesz inne, mniej straszne nazwisko. Zasmuciłeś mię bardzo, kochany Eugeniuszu! i do tej troski, jaką mam o dalszy swój kierunek na świecie, przydałeś jeszcze troskę o siebie i obawę, aby ta gorączka, która cię trawi, nie rozwinęła się do tego stopnia, że ci odejmie wszelką siłę do tej walki, jaka ci będzie potrzebna, i jaką zaczynaj zaraz z całym postanowieniem, skoro się ujrzysz za rogiatkami Warszawy. Inaczéj, jeżeli i nie zajdziesz do Bonifratrów, to nie daleko zajdziesz w życiu, skrzywisz swoją drogę, i zwichniesz nawet te skrzydła, które ci Bóg dał, abyś się na nich podniósł nad ziemię, i tam odezwał się pieśnią, coby ucieszyła pracujących pod tobą, coby podniosła oczy ich do nieba, ukrzepiła nadzieją, i choć tym sposobem stała się ludziom miłą i użyteczną.

»Wołałbym ja, żebyś był lekarzem, adwokatem, lub czémkolwiek bądź, byle nie poetą. Wszakże, jeżeli już masz być poetą, staraj-że

się mieć swobodę i wesołość skowronka, który zawsze był najmilszym dla mnie śpiewakiem. Przenosiłem go od dzieciństwa nad słowika i nie chciałbym, abyś wyszedł na tego romansowego i płaskiego trelarza, który mnie rzadko cieszył, a najczęściej gniewał i nudził. Taka zaś miłość, jakiej pozwoliłeś wejść do serca i w niem się zagnieździć, może cię zaprowadzić w krzaki i ciemne zarośla, gdzie będziesz wiecznie świstał na tę samą nutę i gadał i kwilił o tém, co ciebie tylko obchodzi, co ciebie tylko boli, a co innych nudzi i jest im obojętném. Nazwij to herezyą, nazwij matematyką, nazwij czém chcesz; ale zapomnij o tej miłości nierozsądnej i szalonej, a szczególnie nie strój jój ani w sukienki przyjaźni, ani w niewinną koszulkę braterskiego przywiązania, bo to wszystko są maski, pod któremi się ona chowa, zasłaniając rączkami swe oblicze, od którego tém prędzej odwrócić się powinienes im piękniejsze jest, im cię bardziej pociąga i wabi!

»Jest to zapewne rada niezmiernie prozaiczna, łatwiejsza do dania, jak do wypełnienia, o tém wiem bardzo dobrze. Ale chociaż sam nie wypróbowałem jeszcze sił swoich w takiego rodzaju

zapasach, zwyciężalem się już nie raz w moich zachceniach, i zawsze mi do tego najwięcej dopomogła arytmetyka. Skoczysz zapewne, przeczytawszy to słowo, jakbyś kawałek lodu uchwycił. Ale siądź i porachuj ze mną. Miłość, powiesz jest potężną i mimowolną. To prawda; ale miłość jest dobrém, nie złém, bo jest piękna i płynie z nieba; złe zaś jest brzydkie i pochodzi z ziemi. Jeżeli tedy miłość jest dobrém, powinna tym, co się kochają, dać szczęście, pokój, rozjaśnić ich oczy, aby widzieli dalszą swoją drogę, ukrzepiać ich siły, aby nią śmiało i bezpiecznie postępować mogli. Kiedyz więc ona da to szczęście, ten pokój, to jasne widzenie przyszłości dwójgu młodym ludziom, którzy się pokochali? Oto wtedy, kiedy się pobiorą, kiedy w obec Boga i ludzi będą mogli iść razem, dźwigać wspólnymi siłami wszystkie ciężary i usuwać wspólnie wszystkie zawady i ciernie, jakie na drodze swęj spotkają.”

»Jestże takim to uczucie, które w sercu twém powstało zapewne bez twęj wiedzy i woli, i może urosć do wielkiej potęgi, jeżeli się nie opatrzysz i postępu jego nie wstrzymasz? Będziesz-że mógł

być mężem panny Jadwigi? a ona czy będzie mogła, i czy zechce być twoją żoną? Wszystko to są kwestye, które rozwiązać nie trudno, zastosowawszy zwłaszcza do nich rachunek. Skończyłeś 20 lat, a ona ma 19cie. Tyś jeszcze za młody, ona już dojrzała i nie będzie mogła czekać, aż z młokosa staniesz się mężczyzną, a choćby nawet zaczekać chciała, nie pozwoli na to rodzice i jej położenie. Tyś szlachcic i ona szlachcianka; nazwiska wasze nie tylko równe, ale nawet takie same. W tém nie byłoby trudności. Ależ ta mitra książęca, która ze strony matki nad jej nazwiskiem szlacheckim wisi! Zdołaszcie ją usunąć, gdy ją trzyma ręka tak silna, jak ręka kasztelanowej, choćby nawet panna tego chciała, co jeszcze wątpliwa, i dopomagała ci do tak wielkiego zwycięstwa nad przesądem, nad pychą rodową, nad temi wszystkimi namiętnościami, w których nie ma nieba ani troszki, ale za to ziemia z całą swą siłą podnosi je, jak tarczę, która odeprze twoje ataki. Bardzo wątpię, bardzo wątpię. Dodaj do tego i to, co się najłatwiej daje wyrachować, a co i chłopi i mieszczanie, szlachta i panowie, a nawet poeci i matematycy obracho-

wują i obrachowywać powinni. Cóż ty masz? nie, tylko skrzydła i piosnkę w piersiach; a ona ma dobra i kapitały. Czémże wypełnisz tę próżnię kieszeni, która was zawsze robi nierównymi, chociażbyś we wszystkiém inném prznosił ją głową. Tak więc, biedny Eugeniuszu, to proste postawienie przy sobie okoliczności, ta wymowniejsza od twych frazesów arytymetyka, najjaśniej ci dowodzi, że pobranie się wasze jest nie podobném, a nadzieje twe są to gruszki na wierzbie, nie więcej. Jeżeli jeszcze przyzwiesz na pomoc jeometryę i przypomnisz sobie wszystkie przypadki téj prostéj ale wybornéj nauki o przystawianiu trójkątów, która do twojego położenia tak dobrze zastosować się daje, przekonasz się, że ta miłość nie obiecuje ci ani szczęścia, ani pokoju, bo was nie połączy, ale owszem rozdzieli, bo nie ma ani jednego warunku, któryby was do siebie mógł zbliżyć i porównać was z sobą zdołał. Jeżeli ci tedy nie da szczęścia, da ci koniecznie niedolę, gdyż tu środka nie ma; odbierze ci swobodę na długo, lub na zawsze, zwichnie twoje najlepsze chęci i wyczerpnie siły na sięganie po to, czego dosięgnąć nie możesz.

Tym sposobem stanie się ona nie dobrem, ale złem, nie uczuciem pięknem i z nieba płynącym, ale jakimś brzydkim i samolubnym ziemskim zachęceniem, które cię poniży, i od którego jak od jakiej zmory, przybierającej postać i pozór prawdziwej miłości, powinienes odwrócić oczy i odzegnać się uczciwem postanowieniem i przedsięwzięciem mężkiem i rozumnym.”

»Na tém kończę te wszystkie wywody i perswazye, które daj Boże, aby trafiły do twego przekonania. Sameś winien, jeżeli wszystko to trąci cokolwiek klasą. Napisałeś: rozwiąż to zagadnienie, matematyku! Rozwiązałem je więc jako niedawny student, który dziś oglądając się po szerokim świecie, żałuje serdecznie swęj ławki szkolnej i z ukontentowaniem wraca do tego wszystkiego, czego się na niej nauczył. Żartuj więc sobie z moich argumentów, jeśli ci się podoba; ale na miły Bóg spójrz na świat własnymi oczami, a nie przez pryzmat tęg niebieskiej sukienki, tęg bladuróżowęj twarzy, tych czarnych oczów i hebanowych włosów, które wyrzuc z serca i myśli. Jeżeli kochasz prawdziwie sztukę, jeżeli chcesz być użytecznym sobie i drugim, ko-

rzystaj-że z zapałem z tój okoliczności, jaką ci podaje podróż, oddaj się pracy i nauce, i nie gniewaj się na mnie, że tak przemawiam, jak gdybym nie był od ciebie młodszym i wiekiem i ukształceniem. Bo któż wie, kochany Eugeniuszu, czy nie jestem starszym doświadczeniem? czy przebierając się własnymi siłami przez cieranie i głogi życia, nie nauczyłem się jego sekretów lepiej niż ty, któryś chodził od niechcienia po ścieżkach żwirem ubitych, między kłębami, które tylko bawiły twoje oczy, któryś nie miał nic do zrobienia, nic do wywalczenia, bo wszystko ci dano zrobione i gotowe. Czyś na tém zyskał, czy stracił, to się dopiero później pokaże, jak sam piszesz. Ja jednak nigdy żałować nie przestanę, żeś nie siedział obok mnie i dalej na ławce szkolnej, tak jak dawniej w Hrubieszowie; żeś się nie wychował tak jak ja, biedak między równymi nam biedakami, ale wydelikatniał, jak panicz, i puścił się myślą a może i wrósł sercem w świat, który nie jest twoim i który cię zawsze za przybysza i natręta uważać będzie. Lecz dosyć już o tém. Teraz powiem ci o sobie.”

»Wiiesz, że po skończeniu Gimnazjum, rok

jeszcze siedziałem w Lublinie, mając u siebie czterech chłopaków na stancyi i stole, których mi na prośbę ich rodziców i dalej trzymać i uczyć pozwolono. Tymczasem pozbywałem się powoli swoich gratów, przygotowywałem ciotkę do opuszczenia miasta, które niezmiernie polubiła, dla sąsiedztwa Panien Wizytek, gdzie bardzo często bywała; i pracując bardzo ciężko, mogę powiedzieć, nad dziećmi, którym nie chciało się uczyć, rozmyślałem nad tem co z sobą dalej zrobię, jak się obrócę na świecie, jakiemu oddam się zawodowi? Nauczycielstwo stanęło mi kością w gardle i wyrzekłem się wszelkiej myśli szukania w tym zawodzie stałego zajęcia i stałego funduszu na przyszłość. Gdybym jeszcze miał za co przygotować się tak, żebym mógł mieć nadzieję, a raczej pewność otrzymania publicznej posady w jakiej znaczniejszej szkole, mógłbym się być odważył spróbować szczęścia, i udałbym się być gdzie do uniwersytetu. Ale z tem, co mieć mogłem, trudno się było ryzykować i puszczać na niepewne. Dałem więc za wygraną wszelkiej pedagogii, tak publicznej jak prywatnej, dociągałem tylko do końca roku szkol-

nego, aby uczciwie wyjść z przyjętych zobowiązań; a gdy się skończył, sprzedałem resztę moich ruchomości, odprowadziłem ciocię Teresię do Wizytek, gdzie sobie zamieszkała, niosąc pomoc w gospodarstwie tych szanownych kobiet i utrzymując się, co do odzienia swego i innych potrzeb, z tego fundusiku, jaki ma, a sam udałem się do miejsca naszego urodzenia, postanowiwszy wziąć się do roli i pracować na swoim tak, jak pracował i utrzymywał się nasz ojciec.”

»Nie widziałem Sawina lat trzy. Biedne to miasteczko wydało mi się wcale inaczej, niż wtedy, kiedyśmy tam przyjechali na wakacye z Hrubieszowa. Niestety! ja wyrosłem, a tam wszystko zmałało; moje oczy nauczyły się patrzeć dalej i szerzej, myśli szukały jakichś dróg rozleglejszych, jakichś zawodów, gdzieby te nagromadzone w głowie i sercu siły i środki przydać się mogły; a tu wszystko było tak ciasne, tak ograniczone, że wkrótce zmiarkowałem, że to miejsce nie dla mnie, że trzeba jeszcze gdzieś indziej się wypróbować, przez inne jeszcze przejść szkoły, nimbym mógł się tak zasklepić, i w tej małej i ciasnej skorupie oddychać swobodnie i

znaleźć to uspokojenie, jakie tam znajdował nasz ojciec. Przy tém i materyalne znalazły się trudności, które mi nie pozwalały zagrzebywać się w tym zakęcie, choćbym nawet był starszym, choćbym już był przeszedł przez próby życia, pragnął odpoczynku i na niego zasłużył. Folwarczek nasz, z którego od Śgo Jana wyprowadził się dzierżawca, przez te kilka lat podupadł i zmarniał pod jego zarządem. Pokazało się, że to był trochę szachraj, przytém wielki niedbalec, że zapuścił ziemię, porujnował budynki, tak, że przyprowadzenie wszystkiego do dawnego stanu wymagało nakładu, którego naturalnie nie miałem. Jeszcze większego nakładu i kapitału potrzeba było na bydło, konie, narzędzia gospodarskie i t. d. czego wszystkiego nie było. Ksiądz Maciej martwił się tym stanem naszego mająteczku, ale mu zaradzić nie mógł. Cóż tedy miałem począć? Oto uspokoiłem troskę kochanego opiekuna naszego, zem jeszcze za młody na gospodarza, że innym sposobem dam sobie radę, a on niech znajdzie jakiego uczciwszego dzierżawcę, któryby miał swój własny remanent, i któryby dla swojej wygody i interesu starał się

przyprowadzić dom i zabudowania gospodarskie do lepszego porządku. Warunki to były trudne; ale jakoś prędko wynalazł się człowiek zamożniejszy, który je przyjął i obowiązał się dopełnić ich sumiennie i uczeiwie.”

»Takim sposobem, kochany Eugeniuszu, zostałem prawie bez dochodu, bo mam zaledwie kilkaset złotych; ale za to uspokoilem sumienie księdza Macieja, któremu dziury naszych dachów, powybijane okna, poobalane parkany spać nie dawały, i może uspokoilem cień naszego ojca, który tak przywiązany był do tego miejsca, gdzieśmy się porodzili, i które wystarczało jego umiarkowanym chęciom, a dawało tyle zajęcia jego energicznemu ciału i energicznieszemu jeszcze duchowi. Jeżeli cię to zająć zdoła, tak jak mnie interesuje, donoszę ci, że nie dawno odebrałem list od księdza Macieja, w którym uwiadamia mnie, że wszystko tam idzie jak najlepiej, że dzierżawca ów jest w rzeczy samej człowiek uczeiwy, dobry gospodarz, że co obiecał, dotrzymuje, że w rachunkach jego nie ma ani trzech groszy fałszywie podanych, żebym nie poznał dziś ani domu, ani obejścia; co wszystko niemal

tak wygląda, jak wyglądało wtedy, kiedyśmy byli dziećmi. Dzieją się jeszcze, jak widzisz, cuda na świecie!”

»Nie mając co robić w domu, a prawdę mówiąc, nie mając tam nawet co jeść, bo między wyjściem jednego dzierżawcy, a przyjściem drugiego była to pustka w nie nieopatrzona; nie chcąc być dłużej ciężarem księdzu Maciejowi, który mię i tak przez kilka tygodni karmił, pożegnałem Sawin, pomodliłem się gorąco na grobie rodziców za ciebie i za siebie, i puściłem się w świat, szukać kawałka chleba.»

»Zapytujesz mnie, czy marzę, o czém marzę? Z tego, com ci opisał, widzisz, że i wówczas, kiedy dopiero zaczynał ośmnasty rok, już musiałem marzyć. A o czém?—oto o tém zajęciu, które mi da chleb powszedni; o téj pracy, która odnowi na moim grzbiecie opuszczający mię surdut, podreperuje płaszcz, którego podszewka przepuszczała już watę, o tych środkach, które odnowią cokolwiek moją bieliznę, i moje bóty postawią w możności odpierania powierzchnią swą błota i wilgoci. Wszystko to rzeczy niepoetyczne, ale kiedy ich nie ma, trudno wtedy ma-

rzyć o niebieskich migdałach. A może to i na lepsze wychodzi młodemu, kiedy go bieda zmusza i przyzwyczajają zastanawiać się nad prozą życia, i oglądać się po świecie dla wyszukania, gdzie jest droga, którą dojdzie do tych rzeczy nieładnych i niepoetycznych, ale bez których nie piękném się nie wyda. Nie jednemu dostatek, który go karmi i odziewa bez jego wiedzy i przyczynienia się, wychodzi na gorsze, bo pozwala niedołąźnić wszystkim jego siłom, które do zupełnego z czasem przyjść mogą uspienia. Ale tu nie o tém mowa. Chciałem ci tylko dać poznać, że nie miałem wówczas, a nie mam i dziś czasu bujać po świecie marzeń; że nie mam czasu przypatrywać się smukłym kibiciom, białym i błękitnym sukienkom, niebieskim i czarnym oczom, lnianym i hebanowym włosom. Na twoje więc zapytanie: o kim marzysz? odpowiadam ci wprost, że o nikim, i to właśnie dla tego, że nie mam czasu. Wielu ze skargą wymawia te słowa; a nie jeden nie wie o tém, że byłby weselszym i zdrowszym, spokojniejszym i śmielszym, gdyby nie miał czasu troszczyć się o fraszki i obawiać się zmiany losu i fortuny. Ale dość tych

uwag. Powiem ci teraz co robię, jak się utrzymuję i co dalej zamysłam począć.”

»Domyślisz się, że mając tylko kilkadziesiąt złotych w kieszeni, nie mogłem się brać do niczego takiego, coby mi obiecywało dalsze widoki, a niedawało zaraz dochodu i pomocy. Musiałem więc na razie chwycić się znowu nauczycielstwa, jakkolwiek mi się sprzykrzyło i nieodpowiadało memu usposobieniu, które innego wymaga pola. Przypadek zdarzył, że właśnie jedna matka przywiozła źle przygotowanego synka do Lublina, dokąd udałem się najpierw, i chciała go koniecznie umieścić w klassie 3ciej. Po egzaminie naznaczono go do 1szej. Mama rozgniewała się i postanowiła wrócić z paniczem do domu. Ale trzebaż było kogoś wziąć, żeby chłopiec nie próżnował. Zarekomendowano mnie, i ugodziłem się za półtora tysiąca złotych. Czy ty wiesz Eugeniuszu, co jest półtora tysiąca złotych dla człowieka, który ma trzy koszule i donasza ostatnią parę bótów! Pewnie nie-wiesz, i choć nauczycielem twoim był znakomity matematyk, summy téj nie byłbyś w stanie zrachować, tak ogromną, tak niewyczerpaną się wyda-

je. Dostałem z góry blisko trzecią część mojej rocznej pensyi. Mogłem się tedy jakkolwiek oporządzić i uspokoić, mając na rok cały zapewnione utrzymanie. Ale przybywszy do tego domu, postrzegłem wkrótce, że mnie tu gorzki spotka zawód, że z tej wielkiej summy nie wszystko mi się dostanie, że bodaj, czy mi nie przyjdzie poprzestać na tém, com wziął od pani z początku, gdy mię szczodrobliwością swoją zachęcić, a może i złapać chciała. Dziwneż bo u nas są postacie, których ty nie widzisz, i szkoda że nie widzisz, bo byś może z nich lepiej, niż ja korzystać potrafił. Majątek ładny i mógłby być intratnym, gdyby choć trochę więcej porządku, a mniej próżności; gdyby ci ludzie, którym Bóg dał wszystko, co trzeba, zajmowali się tém, czém się zajmować powinni, a nie tém, co się na nic nie zda, a tylko śmiesznemi ich czyni. Ale tu pan, zamiast gospodarować, zbiera numizmata, stare szable, czaszki i różne wykopaliska, przepłaca te wszystkie osobliwości, a na parobków, na dobre pługi, na sieczkarnię i młockarnię pieniędzy nie ma. Pani maluje, admiruje naturę, i na najpiękniejsze łąki każe wypędzać krowy,

jako ożywiający pejzaż i robiący okolicę malar-
ską. Wiele zaś ma tych krów nie wie, jaki
z nich dochód i czy jest jakiś także nie wie. By-
łoby to jeszcze pół biedy; ale te zdobyte osobli-
wości, odmalowany bukiet lub widok trzeba ko-
muś pokazać, przed kimś pochwalić się. Ztąd
zapraszanie gości, częstowanie ich, ztąd potrze-
ba galonów dla lokaja, ładnej porcelany i fajan-
sów, błyszczących świeczników i lamp kosztow-
nych; bo i pan i pani lubią, żeby wystąpić ca-
łą gębą, jeżeli już występować. Łatwo się do-
myślisz, że to wyczerpuje dochód, bo te wszyst-
kie niepotrzebne wydatki stoją w budżecie na
pierwszym miejscu, nakłady gospodarskie i po-
datki idą dalej, opłata ludzi jeszcze dalej, a za-
płata tak nazwanego korepetytora jest na samym
końcu. Dostaje mi się więc z mojej gaży bar-
dzo nie wiele, a choć tu już jestem więcej niż
rok, jeszcze i połowy nie wybrałem.”

»Dla czegoż się ich trzymasz? zapytasz. Za-
pewne, powinienem był dawno porzucić; bo cho-
ciaż nie mogę powiedzieć, żeby to byli ludzie
zli, nieuczciwi, ale gniewa mnie i niecierpliwi
najprzód to, że nie robią tego co powinni, i że

niedorzeczne amatorstwo przekładają nad obowiązek; powtóre, dojmuję mi niedostatek wielu rzeczy, a nie mogę grosza ciężko zapracowanego wycisnąć; a nareszcie do ostateczności przywodzi mię mój uczeń, nieuk i próżniak, nad którym pocę się i mozolę, a widzę, że to napróżno, że ani ja, ani żaden święty z gliny téj garnka nie ulepi. Wszakże łatwiej jest powiedzieć sobie: porzucę i pójdę, niż porzucić i pójsć, kiedy jeszcze nie wiem dokąd mam się udać i z czém wyruszę w drogę. Położenie tedy moje, jak widzisz, nie jest do zazdrości. Jednak nie martw się niem, gdyż bądź co bądź, nie zostanę tu długo. Za kilka tygodni mam odebrać swoją należytość; przyrzekli mi to solennie. Jeżeli nawet nie odbiorę wszystkiego, umyśliłem opuścić ten dom antykwaryusza i artystki, i udać się z jakim takim zapasikiem, jaki zbiorę, do Warszawy. Odwagę mam, pracy się nie boję, złotych gór nie przywykłem sobie obiecywać, ale coś mi zawsze mówi, że tam gdzie tyle ludzi żyje i kieruje się, i ja się zmieszczę i pokieruję. Do czego się tam wezmę jeszcze nie wiem, jeszcze nad tém nawet dobrze nie myślał i nie zastanawiał się.

Zresztą, cóżby mi tu pomogło myślenie, kiedy przedmiot jego nie może być wyraźny i ściśle oznaczony. To są takie rzeczy, które trzeba widzieć, dotknąć ich, żeby się przekonać, czy to mara i widziadło, czy coś takiego, co ma duszę i ciało, co ująć i do siebie przygarnąć zdolam. Tak więc najdalej we wrześniu spodziewam się być w Warszawie. Szczęśliwym będę, jeżeli cię jeszcze zastanę, chociaż z drugiej strony wolałbym, żebyś jak najprędzej wyjechał. Jeżeli więc nie obaczymy się tak prędko, jedź zdrowy, kochany Eugeniuszu! Umocnij się duchem przeciw pokusie, która cię zwodzi, i jak owe widma bajek, których słuchaliśmy kiedyś razem, może cię zaprowadzić na jakieś trzęsawisko, gdzie ugrzęzniesz tak, że ci nawet te skrzydła, na których lubisz bujać po nad ziemią, nie pomogą. Ściskam cię z całej duszy i wyglądać będę twego powrotu, który daj Boże, aby mi cię oddał zdrowym i takim, jakimbyś cię chciał widzieć.”

P. S. »Nie pisz już do mnie do Sosnówki, boję się bowiem, żebym się z twym listem nie rozminął; ale jeżelibyś się nie mógł mnie doczekać,

zostaw do mnie pożegnalny i pocieszający mię liścik w domu kasztelana, w którym oznacz mi dokładnie mieszkanie pana referendarza, oraz mieszkanie ciotki naszej Herminii. Jeszcze ci tu jedną muszę zrobić wymówkę. Od śmierci naszego ojca raz tylko byłeś w Sawinie. Zapewne nie zależysz od siebie, ale w ostatnim roku twojej bytności w Zabuzu, mogłeś i powinienś być wyrwać się choćby na parę dni dla odwiedzenia księdza Macieja. Nie sądzę, abyś zapomniał o tém, że jemu to winienes, że masz takich opiekunów, którzy ci dali wychowanie i utrzymują cię na równi ze swym synem. Byłaby to niewdzięczność, do której zapewne nie jesteś zdolnym. Aleś się zapomniał, kochany Eugeniuszu, rozbujał w sferach wyższych i roztrzepał w pogoni za tą nieszczęśliwą gwiazdą, która cię odprowadza od ziemi. Jest to błąd, który postaraj się naprawić. Ksiądz Maciej mówił mi nasunawszy brwi i pokrywając żal, który widać czuje głęboko: »To, to, to! Eugeniusz spaniał, zapomniał o mnie. A niegodziłoby się, niegodziłoby się,» Nie na to nie odpowiedziałem, bo cóż było odpowiedzieć, kiedy miał racya;

alem się mocno zawstydził za ciebie. Napisz-że do niego przed wyjazdem, ale napisz tak, jak na to zasługuje ten najlepszy przyjaciel naszego ojca, ten człowiek tak rzadki, w prostocie swój tak niepospolity, którego serce, choć je chropowata okrywa powłoka, świeci w moich oczach jak brylant w ołowianej oprawie.”



II.

W wrześniu tegoż samego roku stanął dylizans w Gończycach, na tracie lubelskim i na półowie drogi między Lublinem i Warszawą. Dylizans był wewnątrz pełny, a na wierzchu, gdzie są także trzy miejsca, trochę tańsze i nie zbyt wygodne, zwłaszcza w porze chłodnej i dżdżystej, siedział młody człowiek dość słusznego wzrostu, okryty zszarzanym cokolwiek płaszczem, i poglądujący ciekawie na tę dolinę, mającą z jednej strony dom pocztowy, z drugiej wielką oberżę, i która mogłaby być dziwnie piękną, gdyby choć trochę ręka ludzka i zmysł porządku postarały się ją ozdobić i oczyścić. Młodzieniec to był bardzo przystojny, regularnych

rysów, świeżej i zdrowej cery, z czołem białem i szerokiemi, które objęte było włosami blond, dość nisko, ale zgrabnie przystrzyżonemi. Jasne wąsiki zaledwie puszczały się na wierzchniej wardze, ale już zaczęły dodawać mękości jego twarzy i odpowiadały wejrzeniu pięknych jego, błękitnych oczów, pełnemu śmiałości i determinacyi. Ubiór nie okazywał wielkiej zamożności; ale gdy odrzucił płaszcz i powstał na dyliżansie, wyciągając się i prostując, widać było surducik czysty, zapięty i zgrabnie obejmujący jego słuszną i kształtną kibić, z której łatwo było poznać siłę i tę pewność ruchów, jaką daje umysł przytomny i nie zaspana dusza. Czytelnicy domyślają się, że to był Ignasz Zabuzski, jadący do Warszawy, i z tej wysokości, na której siedział, poglądający na szeroki świat, który się rozciągał przed jego okiem w nieogarnionych przestrzeniach, a na którym jednak nie wiedział, gdzie i jak się pomieści. Gdy konie już były zaprzężone, wyszedł z domu pocztowego jakiś mężczyzna słuszny, już nie młody, z wyrazem twarzy szlachetnym, ale niby pańskim, w wierzchniem ubraniu dość ciepłym, ale zagraniczną

jakąś mającém formę, z kołdrą flanelową na ręku i torbą podróżną z jasnej skóry, z zameczkiem kształtnym i świecącym. Równie mina, jak i strój okazywały człowieka bogatego, zdradzały pana przywykłego do zagranicznych zwyczajów, form i podróży. Gdy się zbliżył do konduktora, stojącego przy powozie, ukazując na puste miejsce obok naszego bohatera, rzekł:

—Więc tam, panie konduktorze?

—A jużci tam— odpowiedział konduktor— innego miejsca nie ma. Proponowałem tu niektórym młodszym panom, czyby się nie chcieli zamienić, ale żadnemu to ani w głowie.

—A któż pana o to prosił?— rzekł ów jegoś uśmiechając się.— Jak kto zapłacił, tak ma prawo siedzieć.

—Zapewne— odpowiedział konduktor— ależ tam JW. hrabiemu będzie niewygodnie.

—Nie jednemu, mój panie— rzekł hrabia— jest niewygodnie, jeżeli się spóźnił. Ale sam sobie winien; musi przestać na tém, co zastał.

—I to prawda, JW. panie— odpowiedział konduktor. Lepiejby było na świecie, żeby każdy był kontent z tego co ma.

—Rad nie rad musi być kontent ze złotówki, kto nie ma dukata— mówił hrabia i zaczął wla-
zić na wysokie siedzenie, które mu się dostało.

Ignaś, który słyszał tę rozmowę, kontent z to-
warzysza, który mu się dostawał, powstał z miej-
sca, podał mu rękę i pomógł do wejścia na
wierzch dyliżansu. Hrabia grzecznie mu po-
dziękował, usadowił się na drugim końcu ko-
ziołka, nie tak niewygodnego, jakby się jakiemu
pieszczochowi zdawać mogło, okrył sobie kolana
i nogi kołdrą, i zapaliwszy cygaro, zaczął się
przypatrywać młodzieńcowi, który obok niego
siedział, kiedy niekiedy tylko nań skromnie po-
glądał i widocznie sam rozmowy rozpocząć nie
śmiał.

Gdy powóz ruszył, hrabia po jakimś czasie
obracając się do towarzysza swego, rzekł:

— Nie jest tu tak źle, jak się konduktorowi
zdawało.

— Zwłaszcza wieczorem, P. hrabio— odpowie-
dział Ignas— kiedy wilgoć przybije kurzawę.

— Pan jedziesz tak od samego Lublina?— za-
pytał hrabia.

— Dla dwóch przyczyn— odpowiedział Ignas— raz, że innego miejsca nie było...

— To przyczyna istotna— mówił hrabia z uśmiechem— i wszystkie inne ustąpić jej muszą.

— Dla mnie i druga jest istotną, P. hrabio— rzekł nasz bohater— a może nawet istotniejsza od pierwszej.

— A ta jest?

— Jest ta— mówił Ignas patrząc mu bystro w oczy— że miejsce to jest tańsze, a mój fundusz bardzo szczupły, i nie wiem jak prędko i jakim sposobem odnowić go zdołam.

Hrabia popatrzył z zajęciem na ładnego młodzieńca, który się tak otwarcie tłómaczył, i rzekł:

— Wszelki ubytek w funduszach, jaki człowiek ponosi, odnawia się i zapełnia dwojakim sposobem. Albo dochodem od tego kapitału, jaki mu Bóg dał w ziemi i gotowiźnie, albo od tego kapitału, jaki mu dał w zdolnościach i pracy. Pierwszego pan zapewne nie masz.

— Nie mam weale— odpowiedział Ignas stanowczo.

— A drugi?— zapytał hrabia.

— Sam go ocenić nie mogę— rzekł młodzieniec

czerwieniąc się. Ile jest, i jak wiele to przynieść może, także nie wiem. Zależć to będzie od sposobu, jak użytym zostanie to niedostateczne zapewne przygotowanie, którym odebrał w szkołach i to myślenie nad drogami życia, do czego mię od czternastego roku zmuszała ta okoliczność, że zostawiony był własnym siłom. Gdyby dochód mój—dodał Ignas z wyrazem postanowienia—zależał od odwagi, jaką mam podjęcia się każdej pracy, i od chęci wykonania jej dobrze i sumiennie, miałbym wiele.

Hrabia słuchał go z uwagą, popatrzył nań ze współczuciem, potem wyciągając rękę, ścisnął podaną sobie dłoń młodzieńca, i rzekł:

—Poznajmy się lepiej. Jak się pan nazywasz?

—Ignacy Zabużski—odpowiedział Ignas.

—Czy krewny kasztelana i referendarza Zabużskich?—zapytał hrabia.

—Pokrewieństwo jest, ale dalekie—odpowiedział młody człowiek.

—Czy pan na tej okoliczności budujesz jakie nadzieje?—mówił hrabia.

—Żadnych, panie hrabio!—odpowiedział Ignas. Pana referendarza nie znam wcale i nie wiem

nawet, czy o nas słyshał. Kasztelan jest człowiek zacny i dobry, o tém wiem. Ale u niego wychował się mój brat; nie śmiałbym więc narzucać mu jeszcze nowego obowiązku, jeżeli to jest obowiązkiem krewnych pomagać tym, którzy sami sobie radzić powinni.

— Dobrze pan robisz, że więcej polegasz na sobie, jak na innych— rzekł hrabia.— Wszakże udaj się pan do nich, przybywszy do Warszawy. Niekoniecznie tu o to idzie, żeby pomódz datkiem, pieniędzmi. Taka pomoc bywa nawet często szkodliwą temu, który ją odbiera, a przykrą jest temu, od którego się jęj wymaga. Ale pomódz młodemu radą, rekomendacją, otworzyć mu drogę i nauczyć, jak ma nią iść, żeby się nie zbłąkał, to jest obowiązkiem każdego krewnego, który ma znaczenie, i którego słowo i prośba mają pewną wagę. Panowie Zabuzscy oba są w takim położeniu, i nie sądzę, aby takięj pomocy panu odmówili. Czy masz pan jeszcze kogo znajomego w Warszawie?

— Nikogo, panie hrabio— odpowiedział Ignas— oprócz jednego przyjaciela i kolegi z Lublina, któ-

ry od dwóch lat jest aplikantem w Komissyi Skarbu.

—I ta znajomość— rzekł hrabia— przyda się panu, bo cię przekona, jak wiele sił i czasu marnuje się na aplikacyi, na ciśnieniu się do urzędów, których nie może być tyle, ile jest żądających i potrzebujących chleba; na wyglądaniu, często przez kilka lat daremném, awansu lub śmierci tych, co się uwzięli siedzieć na jedném miejscu i umierać nie chcą. Czy pan myślisz na téj samej drodze próbować szczęścia?

—Zdaje mi się, że innéj nie ma— odpowiedział Ignas patrząc mu w oczy z ciekawością, co też na to odpowie.

—Probuje pan— rzekł hrabia— jesteś, jak uważam, młody człowiek czynny, przytomny i energiczny. Może cię ocenia, może przypadek zrobi w tym gęstym szeregu jaką lukę, którą ci się uda zapełnić. Ale mnie się zdaje, że są jeszcze inne drogi, po których prędzej można dojść do celu. Tylko nie wiem, czy pan zastanowiłeś się już dobrze nad tém, co właściwie jest tym celem, do którego dążysz. Zapewne, że nie. Otóż powiem panu. Jeżeli celem tym jest władza, a

przycém sfera użytecznego działania, to zapewne nie ma innój drogi, jak służba publiczna, jak podnoszenie się stopniowe z urzędu na urząd, póki kiedyś, pod koniec życia dojdiesz do tego, coś zamierzył, zapewnisz sobie byt wygodny i utrzymanie przyzwoite i dostateczne do śmierci. Ale tu początek jest niezmiernie ciernisty, postęp nadzwyczaj powolny i ryzyko niesłychane. Więcej bowiem zależy od szczęścia, od przypadku, niż od zasługi, pracy i zdolności. Żeby ten zawód przejść, potrzeba trzech rzeczy: najprzód, zasobu pieniężnego w młodości, żeby wytrzymać czas, często kilkoletni służby bezpłatnej; powtóre, wielkiego zasobu cierpliwości, żeby się nie zrażać żółtym postępowaniem, i pomaleńku, co kilka, co kilkanaście lat podnosić się z jednego stopnia na następny; nareszcie wielkiego zasobu filozofii, żeby widząc się już blizkim celu, z zimną krwią przepuścić mniej zasłużonego, który przejdzie panu przed nosem i usiądzie na tém miejscu, do któregoś całe życie dążył. Czy pan masz wszystkie te nieodzowne do téj drogi warunki?

— Zdaje mi się,— odpowiedział Ignaś, który słu-

chał z ukontentowaniem tych słów jasnych i zdających się być wpływem praktycznego rozumu i doświadczenia— że nie mam żadnego z nich, a szczególnie nie mam pierwszego, bez którego drogi téj zacząć trudno.

— Nie dla tego wystawiłem tę rzecz z takiej strony, żebyś się pan zrażał— rzekł hrabia— bo pierwszy warunek może się znaleźć przy pomocy krewnych i znajomych, a nadewszystko przy innéj pobocznej pracy, do której pan możesz być zdolnym. Pozostałe dwa mogą panu być niepotrzebne. Możesz być jednym z tych szczęśliwych, którzy przy zdolności i zasłudze postępują szybko i nie dają się wyprzedzać nikomu. Wszakże widząc żeś młodzieniec rozsądny i patrzysz na świat zdrowemi oczami, nie chciałem pana łudzić obrazem zwodniczym, któryby ci dał nadzieje, mogące się wcale nie ziścić. Każda rzecz ma dwie strony, i najbezpieczniej jest widzieć obie. Przy takiej znajomości łatwiej jest ustrzedz się złego wyboru, lub wybrawszy złą drogę, i widząc dokąd dalej prowadzi, można jeszcze cofnąć się w porę i szukać innéj.

— Nieskończenie wdzięczny jestem panu hra-

biemu, że mię raczysz oświecać— rzekł Ignasz z wyrazem prawdy i przekonania.— Zastanawiałem się ja nad tém wszystkiém i sam, ale nie-doświadczenie okrywa zwykle myśli młode jakąś mgłą, przez którą nie wszystko widać jasno i wyraźnie. Dziś z łaski pana hrabiego, starszym jestem o lat kilka.

— Bardzo się cieszę— rzekł hrabia— że to, co mówię taki robi skutek. Idźmy więc dalej. Drugim celem, jak dla pana, może być wyrobienie sobie pewnego stanu, nabycie biegłości czy w jakiej nauce, czy w sztuce, czy w handlu, czy w przemyśle, czy wreszcie w jakim rzemiośle. Bo każda praca jest ucziwą, każda biegłość i postawienie się na wyższym stopniu w którymkolwiek z wyżej oznaczonych zawodów, da panu utrzymanie, nawet lepsze niż daje urząd, i niezależność, jakiej żaden urząd nie daje wcale. Otóż do takiego celu prowadzi dróg bardzo wiele. Możesz pan być najprzód lekarzem, albo prawnikiem. Zostawszy lekarzem, możesz być zaraz pewnym jakiego takiego utrzymania, i przy dalszej sumiennój pracy, ciąglem doskonaleniu

się i jakim szczęśliwym przypadku, który pana wydobędzie z tłumu, możesz przyjść do imienia i do majątku. Bo uważaj pan, że w zawodzie lekarskim te dwie rzeczy zawsze razem chodzą. Imię bez dochodów, wielki dochód bez imienia jest w medycynie tylko wyjątkiem, a nie regułą. Skończywszy znowu kursa prawne w jakim Uniwersytecie, możesz pan albo prywatnie zajmować się z korzyścią dla siebie i dla drugich, albo w sądownictwie utorować sobie prędszą drogę i zająć nawet daleko. Wszakże do obu tych zawodów— dodał hrabia, patrząc bystro w oczy młodemu człowiekowi— potrzeba nie tylko zdolności i przygotowania, które pan zapewne masz, ale nadto osobnego usposobienia, a nadewszystko czasu i funduszów, żeby przez lat kilka utrzymać się w miejscu obcym i dalekim.

— Ufam sobie— rzekł Ignas— że gdybym miał powołanie, wydołałbym tym trudnościom, jakie nauki tak obszerne przedstawiają. Ale mię nie pociąga ani do medycyny, ani do prawnictwa. Przytém jeżeli mi ciężko będzie wyżyć w Warszawie, jakżebym wyżył gdzieindziej?

— Nie ma więc co o tém mówić— odpowiedział hrabia— i trzeba szukać jeszcze dalej. Gdzie indziej handel i przemysł przedstawia dla młodych aspirantów fortuny obszerne pole; u nas jest ciasniej, a nawet bardzo ciasno, ale jednak przebić się można. Zakładają się fabryki różnego rodzaju, sukien, kortów, płócienek i płócien; powstają fabrykacye cukru z buraków, mamy Szeinkellera, mamy Ewansa, Frageta i innych. W każdym z tych zakładów młody człowiek z głową, z wolą energiczną, i z jakim takim przygotowaniem w mechanice lub buchalteryi, może się pomieścić. Wszakże i tu spotkają pana znaczne trudności. Naczelnicy zakładów fabrycznych wolą pomocników już gotowych, jak przygotowujących się; wolą zawsze Niemca, jak Polaka. Jako sami przybysze, wierzą więcej w rozum, sumienie, a szczególnie w pilność przybyszów. Naszych młodych ludzi, którzy pokonczyli szkoły, boją się, jako paniczów, okazujących dużo pretensyi a mało pracowitości. Czy mają racyę, czy nie, w to nie wchodzę; ale nie byłbym dalekim od sądzenia, że to w nich przekonanie powstało nie tylko z patryotycznego przesądu, ale i z niejednej próby, na której ten i ów

sparzył się i ostrzegł kolegów. Trudność ta wpływem protekcyi i głosem jakim poważnym, które-muby ci panowie uwierzyli, dałaby się przełamać; ale na to potrzeba, aby rekomendowany zapomniał o téj pretensyi, jaką u nas każdy młody, umiejący cokolwiek ma, że już wie wszystko, aby nie bał się poniżyć pracą ręczną, aby się nie wahał wziąć do młota, hebla i pilnika, aby schował na same dno kuferka swój dyplom szlachecki, swój patent z klasy VII gimnazyum, ale aby się okazał gotowym robić wszystko, nie zrażał się podrzędną rolą, jaką mu dla wyprobowania go moralnie i technicznie dadzą, i uczył się własnymi rękami wykonać to, co teorycznie bardzo dobrze rozumie. Naczelnicy takich zakładów byliby niezmiernie głupi, ograniczeni i niepojmujący własnego interesu, gdyby dostawszy takiego młodzieńca, któryby miał odwagę tym sposobem zaprzeć się samego siebie, nie zwrócili na niego uwagi, pozwolili go maltretować, i zamknęli oczy na szybki postęp nawet w technicznem wykonaniu, jakiby pewnie zrobił. Taką zaś przebywszy szkołę, mając głowę do pomysłu i rękę umiejętną do wykonania go i postawienia swéj myśli na nogi, mo-

zna nawet u nas być pewnym dalszej kariery, a przy szczęśliwych okolicznościach nawet fortuny i wpływu na ogół przemysłowych przedsiębiorców i samych przedsięwzięć. W Anglii tym sposobem kształcą się inżynierowie, mechanicy, naczelnicy owych niezliczonych fabryk i zakładów, które konsumują i wydają miliony. Jak dalece to tam upowszechnione, powiem panu przykład. Poznałem się w Londynie z jednym takim spanoszonym inżynierem, który miał niedaleko od miasta zakład ogromny, wyrabiający rozmaite maszyny, a przedewszystkiem rolnicze. Powiózł on mnie tam, jako przemysłowego gospodarza, dla obejrzenia tej fabryki i wybrania kilku narzędzi, które mi były potrzebne. Gdyśmy weszli do ogromnej kuźni, po niejakim czasie z pomiędzy wielu robotników, wystąpił młody, przystojny człowiek, ubrany jak inni, zasmolony jak inni, którego uważałem wszedłszy, jak z zakasanymi rękawami, czarną i żyłastą ręką trzymał w potężnych obiegach rozpalone żelazo, a drugą obrabiał je młotem. Podał on zasmoloną dłoń panu zakładu, który mi w nim zarekomendował swego syna. Młodzieniec ten wykształcony, przystojny, dziedzie

milionów, poddał się ciężkiej nauce, przechodził od warsztatu do warsztatu, nieopuszczając jednego póty, póki sam nie umiał wykonać tego, co się na nim robi. Sądysz-że pan, że tam ktokolwiek pieścił go, i jako panicza traktował? bynajmniej. Gdy potrzeba było coś przynieść i nam pokazać, starszy zawołał syna swego pryneypała, posłał go po to, czegośmy żądali i mówił do niego takim tonem, jakby do innego, zwyczajnego robotnika. Możliwość to uważać za oryginalność angielską. Ja to uważam za pewien rodzaj wyższości i w ojców i w synów. Taki ojciec mógł zebrać miliony, a taki syn pewnie je podwoi. Cóż pan na to? — dodał hrabia szykując sobie nowe cygaro i zapalając je.

— Jest to nowe okno, któreś mi P. hrabia na drogi życia otworzył — odpowiedział Ignasz. — Na skłonności puszczenia się którąkolwiek z nich nie brakłoby mi weale, gdyż od dzieciństwa zabawkami mojemu były roboty ręczne, i chętniej nawet zostałbym stolarzem jak mecenasem. Ale czyby mi nie brakło na takiej odwadze, jakiej tu potrzeba, na zaparciu się, nie powiem tej miłości własnej, ale tego przekonania, że nauczyłbym się te-

go za tydzień, czego mnie uczyć zechcą przez parę miesięcy, na poddaniu się kierunkowi i władzy ludzi prostych, nieokrzęsanych, niższych odemnie i sercem i głową, a wyższych tylko wprawą ręki i umiejętnością, jaką daje nałóg, tego jeszcze nie wiem, na to stanowczo odpowiedzieć nie mogę. Od czternastego roku życia pracuję na siebie, przebyłem już wiele i upokorzeń i doświadczeń, ale zawsze od takich, których uważałem za wyższych od siebie, i którzy w rzeczy samej byli wyższemi. Tu bym musiał podwójnie naprężyć moją wolę i zahartować ją tak, jakbym hartował to żelazo, którebym urabiał. Czy mi na to wystarczy sił, nie wiem, doprawdy nie wiem.

— Spróbuj pan, spróbuj— rzekł hrabia poglądający z ukontentowaniem na piękną twarz Ignasia, którą rumieniec okrasiał—im przez silniejszy ogień przejdiesz, tém czystszy wyjdziesz i wolniejszym od tego żuźla przesądu, próżności i fałszywego wstydu, który zagłusza metal i robi go nieużytecznym. Czy przemysł, czy które z rzemiosł wyższych i zakrawających cokolwiek na sztukę doprowadzi pana tam, dokąd każdy uczeiwy i

zdolny człowiek dążyć powinien, zawsze będziesz u celu. Żeby nabyć biegłości w czémkolwiek bądź użyteczném i korzystném, żeby tym sposobem zapewnić sobie niezależność, i przy jakich bądź okolicznościach być panem swojej przyszłości i stać na własnych nogach, warto przez parę lat ukorzyć młodą i hardą głowę, i poddać się próbie, która pod względem moralnym może wyjść na dobre.

Ignas chciał widać na to odpowiedzieć; ale po chwili, spuścił oczy i milczał. Hrabia postrzegł jego intencję i rzekł:

— Chciałeś pan coś mówić. Mów pan śmiało i otwarcie, co sądzisz o tych radach jakie ci daję.

Młody człowiek spójrzył wtedy na niego z takim wyrazem, jakby go chciał przeniknąć i zapytał:

— Czy P. hrabia przestaniesz tylko na tych radach, jakie mi dać raczyłeś?

Hrabia uśmiechnął się i odpowiedział:

— Nazywam się Adam S... Mieszkam na Senatorskiej ulicy, we własnym domu. Znajdziesz go pan łatwo.

— Więc to z hrabią Adamem S.... los pozwolił

mi spotkać się — zawołał Ignas podwójnie uradowany.

— Przyznaj pan, że oryginalnie. Na budzie dy-lizansu — rzekł hrabia śmiejąc się.

— Być może, że oryginalnie; ale pozwoli mi pan hrabia z tej oryginalności losu wniesć, że mi sprzyja — odpowiedział młodzieniec, a wyraz wdzięczności i nadziei błysnął w jego oku. Hrabia ścisnął jeszcze raz jego rękę z nietajonem współczuciem, a gdy w tej chwili stanęli przy stacyi, na tém skończyła się ta ważna dla jednego z bohaterów naszych rozmowa.

Nazajutrz, koło godziny siódmej rano dojeżdżał Ignas do Warszawy. Ranek był pogodny i świeży; podnoszące się słońce złociło krzyże kościołów i połyskiwało jaskrawo na szybach niezliczonych okien, z których widok na Wisłę migającą zdala na prawo i na lewo. Hrabia drzemał, a młody człowiek otuliwszy się swym płaszczykiem, patrzył w zamyśleniu na rozległą przestrzeń, począwszy od Willanowa do cytadeli, to ozdobioną smukłemi topolami, to ciemniejącą gęstemi buketami ogrodów, to piętrzącą się rozmaitemi budynkami, różlicznej formy i wielkości, pomiędzy któremi łatwo

mu było rozróżnić kościoły po kopułach i wieżach, gmachy rządowe i zamek po ich rozległości i wspinałej architekturze, i te proste kamienice, wysokie i ciasne, z mnóstwem okien i okienek, gdzie się utula rój ludzi, gdzie się chowa tyle potrzeb, tyle pracy, starającej się je opędzić, tyle nędzy, często niewinnej i niezasłużonej, i tyle występków, które różnemi drogami do niej prowadzą. Długo rozmyślał on o swój rozmowie z tym człowiekiem, którego praktyczny rozum i postępowanie miało w sobie coś niezwyčajnego. Zastanowiło to roztropnego i lubiącego przypatrywać się ludziom młodzieńca, że ten możny pan, należący do najznakomitszej i niepokalaniej niezem w dziejach naszych rodziny, nie okazywał właściwej panom próżności i dumy; że bez skrzywienia się zajął miejsce przeznaczone dla biedaków; że tak dobrze znał niższe stopnie życia, i tak po ludzku wchodził w położenie młodego, który tylko z odwagą i nadzieją w sercu, bez żadnej materyalnej pomocy i podpory, wstępował w te rozległe szranki i do ciężkich gotował się zapasów. Powtarzał on sobie w myśli jego rady, ważył i rozważał każde jego słowo, a przypomniawszy sobie, jak prędko i chę-

tnie zrozumiał ostatnie jego zapytanie, pomyślał, że w każdym razie znajdzie w nim, jeżeli nie pomoc pieniężną, o którą postanowił nie prosić go nigdy, to zdrową radę i skuteczną protekcję. Z tych wszystkich uwag zrobił ten wniosek, że Opatrzność czuwa nad nim, kiedy mu znajomość takiego człowieka zesłała, że zatem nie powinien tracić serca, ale owszem, ukrzepiwszy się i umocniwszy silnem postanowieniem do przedsięwzięcia każdej uczciwej pracy, jaka mu nastreczy drogę pokierowania się, rozpocząć to nowe życie z odwagą i nadzieją.

Póki był daleko jeszcze do celu, póki go cienie nocy otaczały, i zajmowało szczególnie to, żeby już jak najprędzej przybyć na miejsce, odważnym był, ufny i śmiało patrzył w przyszłość. Ale gdy się przed jego okiem rozwinęło to zarzeczne wzgórze, zasłane tyłu budynkami; gdy pomyślał w jaką wejdzie ciżbę, ile to tam tysięcy ludzi obcych mu zupełnie, obojętnych, zimnych na jego najlepsze chęci, zajdzie mu drogę, zacznie go popychać, potraćać i zrzucać z tej ścieżki, którą sobie obierze; gdy minawszy rogatki uczuł pod sobą hurkot niegościnnego bruku, a zbliżając się

do mostu posłyszał gwar i huk niedalekiego miasta, które budząc się do życia, szumiało jakby jaka głębia, mająca go pochłonać; gdy wjechał w ulicę postrzegł tylu idących tam i na powrót, a nikt nie zwracał uwagi na ich potężny powóz, nikt na niego nie patrzył, nikt nie zainteresował się tą myślą niepewną i trwożną, która leżała na jego czole; owszem, każdy się śpieszył, każdy zajęty był tylko sobą i obojętnie wymijał lub rozpychał tych, co mu zawadzali; serce mu się ścisnęło, wszystkie piękne nadzieje znikły, zwątpienie i trwoga ogarnęły mężką jego i dotąd tak odważną duszę, i gdyby się był nie wstydził, byłby zapłakał, pomyślawszy, że tu nie znajdzie żadnej cieplej dłoni, żadnego bijącego współzuciem serca, ale że wszystko będzie tak zimnem i twardem, jak te kamienie, co były pod nim i obok niego. W takim usposobieniu stanął Ignas na dziedzińcu pocztowym. A gdy zsiadli, i hrabia skłonił mu się, poszedł ku bramie od Nowo-Senatorskiej ulicy, rzucił worek swój do dorózki, wsiadł i pojechał, nieobezważwszy się nawet na towarzysza, który go śledził wzrokiem, biedny chłopak uczuł się zupełnie opuszczonym, i dopiero wtedy pomyślał ze stra-

chem, że ma tylko czterysta złotych w kieszeni, i że w tym natłoku ludzi, zamieszkujących tę otehtą, w której się znalazł, nie ma żywej duszy ani znajomej, ani przychylniej.

Wszakże ten stan nie trwał długo. Było to jakby odurzenie na widok tylu rzeczy niezwykajnych i nowych, które na chwilę odebrało mu przytomność i sercu jego odjęło siłę i energję. Gdy dylizans został wypakowany i Ignas obaczył kuferek swój i tłumoczek u nóg swych przy schodkach drzwi stancyi pasażerskiej, pomyślał, że trzeba się najprzód gdzieś ulokować, a potem wspomniawszy, że ma tu przecież przyjaciela, który go nauczy jak się na pierwszy raz obrócić, że ma ciotkę, która mu może nie odmówi swojej protekcyi, że wreszcie ma hrabiego, który w ostatecznym razie będzie jego ucieczką, przyszedł jakoś do siebie, i dowiedziawszy się od konduktora, że najtaniej i najbliżej może się ulokować w hotelu Smoleńskim na Bednarskiej ulicy, tam kazał zanieść swoje rzeczy, i za czterdzieści groszy na dobę dostał pokój, nie bardzo okazały, nie bardzo opatrzone we wszystko, co było potrzebnem, ale na pierwszy moment dający dostateczny przytułek.

Gdy się przebrał i wypił śniadanie w pierwszej kawiarni, jaką znalazł, była dziesiąta. Sądząc, że o tej porze nie zastanie kolegi, który już zapewne musi być w biurze, zaczął się od razu dopypywać do Komissyi Skarbu. *Daléj* odpowiedział pierwszy, którego zaczepił; *prosto*, odpowiedział drugi; *zaBankiem na prawo*, mówił trzeci; a wszyscy spieszyli, wszyscy byli tak zajęci, tak obojętnie rzucałi mu te słowa niedokładnego objaśnienia, że mu się znowu serce ścisnęło i pomyślał: czy i ja będę takim, czy tu wszyscy tacy! Stał wreszcie w sieniach wspaniałego gmachu; obejrzał się na drzwi na prawo i na lewo, i tu i tu napisano: *Niewolno wchodzić*. Zatrzymał się więc, namyślając się co zrobić. Zjawił się wtedy woźny. Ignasz grzecznie mu się uklonił, i zapytał go gdzie pracuje pan Aleksander Kański?

— Kto to P. Aleksander Kański?—odpowiedział woźny, spojrzawszy jakoś z pod oka na młodego człowieka w niepokaźnym surduciku, w czapeczce i bez rękawiczek.

— Aplikant w Komissyi Skarbu — odpowiedział Ignasz.

— A, aplikant—rzekł woźny, machnąwszy ręką.

— Nie znam — dodał nie patrząc już na pytającego, i poszedł dalej.

Na pierwszém piętrze ten sam napis na drzwiach, podobna rozmowa z drugim woźnym, który spieszył z papierami pod pachą. Smutno się zrobiło bohaterowi naszemu, gdy pomyślał, jak małą, jak nie nieznaczącą i zarzuconą tu musi być postać i osoba aplikanta, kiedy go nawet woźni nie znają. Stanąwszy więc przy oknie myślał nad tém, czy iść dalej, czy nie dopytywać się już więcej i czekać godziny trzeciój, aż przyjaciel wyjdzie z bióra i wróci do domu. Wtedy otwarły się drzwi, i wyszedł jakiś poważny mężczyzna, w mundurowym fraku, z papierami w rękę. Ignas ukłonił mu się grzecznie, on mu oddał ukłon i uprzejmie zapytał, czego sobie życzy?

— Przybywam z Lublina — odpowiedział Ignas — mam tu kolegę i przyjaciela, który aplikuje w Komisji; chciałbym się z nim na chwilę obaczyć.

— Jego nazwisko? — zapytał urzędnik.

— Aleksander Kański — odpowiedział młodzieńiec trzymając w rękę czapeczkę.

— Chodź pan za mną — rzekł z grzecznością urzędnik, i weszli do sali obszernej, zastawionej

stolikami i biórkami, przy których rozmaici to siedzieli, to stali temperując pióra, to przewracając papiery, to pisząc z zajęciem — proszę się tu zatrzymać — dodał ów urzędnik i poszedł dalej.

Ignas czekał kilka minut, przypatrując się w milezeniu tym panom, z których żaden na niego nie spojrział. Ale grzeczność wyższego urzędnika, porządek bióra zlagodziły to przykre wrażenie, jakie ta obojętność niższych na nim zrobiła.

Wkrótce wyszedł z drugiej sali Oleś Kański, z pokrowcem z szarego płótna na prawej ręce, z piórem za uchem, a postrzegłszy kolegę z daleka, uśmiechnął się uradowany, wziął go za rękę i wyprowadził z sobą do sieni. Tu dopiero przyjaciele rzucili się sobie w objęcia i serdecznie się uściskali.

— Jak się masz Ignasiu! — rzekł po chwili Kański, przypatrując się koledze — wyrosłeś, zmężniałeś; ale coś masz minę smutną i zamyśloną.

— Cóż to dziwnego — odpowiedział Ignas — przybyłem tu z gołemi rękami, i nie wiem jak i gdzie się obrócić. Jest o czem pomyśleć.

— Śmieję się z tego — odpowiedział aplikant. — Nie takie to straszne, jak się z początku zdaje. Znajdzie się i ręka pociwiwa, która pomoże, i droga która się otworzy. Ot patrz na mnie, stoję już prawie na nogach, i prawie pewny jestem, że mi nie trudno będzie pójść dalej. Wiele masz zapasu?

— Odliczywszy expensa drogi — odpowiedział Ignas — nie wiem, czy mi czterysta złotych zostanie.

— Pi, pi, pi! — zawołał Kański — toś ty pan w porównaniu z innymi. Ja miałem tylko trzy-sta niespełna, jakem przyjechał do Warszawy; a jednak wybrnąłem i idę śmiało.

— Więc ci dobrze jest? — rzekł Ignas uradowany powodzeniem przyjaciela.

— Doskonale — odpowiedział zaufany w przyszłość swą młody człowiek — mam już dyety. Tysiąc złotych na rok. Ale to nie potrwa długo. Za półroku pójdę na etat. Nie wielka to rzecz, ta pierwsza pozycya wynosi tylko tysiąc dwieście, albo półtora tysiąca, ale dobre i to przy innem szczęściu, które mnie czeka. Najdalej za dwa lata będę miał najmniej trzy tysiące pensyi.

— Więc nawet szczęście cię czeka — zapytał Ignas kiwając głową.

— I jakie jeszcze — rzekł Kański. A potem, gdy ten sam urzędnik przeszedł i choć nie powiedział, ale spojrzął jednak ze znaczeniem na rozmawiających młodych ludzi, Kański dodał: — To mój protektor, najlepszy w świecie człowiek i ma tu wielkie znaczenie. Ale ostry i akuratny. Uważałeś, że spojrzął na mnie tak, jakby nie kontent był, że tak długo rozmawiam. Do widzenia więc kochany Ignasiu! po obiedzie przyjdę do ciebie i pogadamy szeroko i długo.

Gdy Ignas zapytany uwiadomił kolegę, gdzie stanął, i nawzajem wypytał się kórędy ma iść na Leszno, gdzie było mieszkanie kasztelana, młodzi ludzie rozeszli się uściskawszy się raz jeszcze i umówiwszy się, że się obaczą z sobą o godzinie czwartęj punktualnie.

Od Komissyi Skarbu kilka kroków tylko miał Ignas na Leszno. A że mu znajomy był numer domu, kóręgo szukał, znalazł go prędko i stanął przy drzwiach oszklonych, kóręmi paradne, kobierecem wysłane wsehody były zamknięte. Serce mu jakoś dziwnym sposobem biło na tę myśl, że

może obaczy brata, którego lat tyle nie widział; że ten brat, przywykły do pańskiego życia, do innego ubrania, do innego znalezienia się, może nie znajdzie w nim tego, czego się spodziewa, może zawstydzi się jego prostego surducika, jego czapeczki i nielakierowanych bótów; że może niekontent będzie, że mu się pokaże takim jak jest, a jeżeli jeszcze to przywitanie będzie miało miejsce w obec syna kasztelana, może mu to sprawi przykrość zamiast radości, może nie będzie śmiały lub chciał okazać mu tyle przywiązania, ile widział w jego liście, i ile sam czuł w swej piersi. Jeżeli zaś Eugeniusz przyjmie go po bratersku, jeżeli rozgadawszy się z nim pozna, że i on czasu nie tracił, jeżeli zechce zaprezentować go kasztelanowi, jego dumnej żonie, jego dzieciom, które może nigdy nie widziały z bliska studenta z gimnazjum, zakłopotał się niepomąłu uczciwy, ale także dumny chłopak, czy nie dozna jakiego upokorzenia, czy się potrafi znaleźć, czy w rzeczy samej jakim niezgrabnym ukłonem lub niestosownym słowem nie zrobi wstydu bratu. Wszystko to wzruszyło go tak, że nieśmiało i drżącą ręką

pociągnął za dzwonek z rączką porcelanową, na której było napisano *1sze piętro*.

Po niejakiem czasie coś stuknęło we drzwiach, ale nie otworzyły się i nikt nie wychodził. Zadzwoił więc Ignas po raz drugi. Znowu coś stuknęło we drzwiach, dały się słyszeć kroki w sieniach i z góry odezwał się głos gburowaty:

— Któż tam u diabła dzwoni i dzwoni. Pchnąć drzwi, kiedy otwarte.

Pchnął więc Ignas drzwi i wszedłszy na górę, obaczył przed sobą starego jakiegoś sługę w kamizelce tylko, bez chustki na szyi i ze ściérką w rękę.

— Czego aspan chcesz? państwa nie ma w mieście. Są na wsi — rzekł sługa patrząc z lekceważeniem na młodego człowieka, który na Jaśnie Wielmożnego nie wyglądał.

— A pan Eugeniusz Zabuzski? — zapytał Ignas.

— A, to chyba że do P. Eugeniusza — rzekł sługa. I obejrzwawszy raz jeszcze bohatera naszego od stóp głów, dodał: — I P. Eugeniusza nie ma. Pojechał z paniczem i ks. Augustynem za granicę. A któż aspan taki?

— Jestem Ignacy Zabuzski, brat Eugeniusza —

odpowiedział młodzieniec czerwieniąc się, że go tak lekko traktuje człowiek, trzymający w ręku pańską ścierkę, a ztąd pomiatający tymi, którzy tego honoru nie mają.

— Aha, brat P. Eugeniusza— mówił dalej sługa, którego ta wiadomość nie zrobiła wcale grzeczniejszy. — Toż go aspan nie prędko obaczysz, bo oni dopiero za dwa lata powrócą, a może i więcej zabawią, kto jego tam wie.

— Kiedyż mój brat wyjechał?— zapytał Ignas.

— Panicz wyjechał jakoś zaraz po Stym Janie i brata aspana wziął z sobą— rzekł sługa widocznie z intencją pokazania mu, że jego brat był w tej podróży podrzędną osobą. Ignas zaczerwienił się znowu i rzekł mocniejszym głosem i z wejrzeniem, w którym wyrażał się gniew i obraza.

— Wiem o tém, że Stanisław Zabuzski wziął z sobą krewnego swego Eugeniusza Zabuzskiego. Nie potrzebowaleś mię o tém uwiadamiać. Chciałem tylko wiedzieć kiedy wyjechali. Ale musiał tu mój brat zostawić do mnie list; proszę mi go oddać, jeżeli jest.

— A jest, proszę pana— rzekł sługa grzeczniej,

i otwierając mu drzwi dodał— niech pan wejdzie i usiądzie. Ja zaraz przyniosę.

Wszedł Ignas do przedpokoju, który był duży, widny i tak umeblowany, jak były najparadniejsze gościnne pokoje w tych domach, w jakich się dotąd znajdował. Nie zastanawiało to jednak młodego człowieka, który zajęty tą gorzką myślą, przez jakie to Eugeniusz musiał przechodzić upokorzenia w tym domu, gdzie słudzy takim tonem o nim mówią, więcej zmartwiony, jak rozgniewany, rzucił się na krzesło i czekał, nie patrząc nawet na meble, piękne swoją prostotą i wyrobieniem, i na prześliczne sztychy, szczególnie wyobrażające konie i myślistwo angielskie, któremi ściany były zawieszane. Po kwadransie może wszedł ten sam lokaj już w surducie, w chustce na szyi i oddał mu list Eugeniusza. Ignas uśmiechnął się widząc tę zmianę, jaką wywołało jego śmielsze znalezienie się i niezmieniając pozycyi, przebiegł prędko list brata i łza błysnęła w jego oku. Gdy skończył, schowawszy list, rzekł tylko: dziękuję ci kochanku! i poszedł spiesznie, jakby go piekło na tej przedpokojowej posadzce i na tych pańskich kobiercach, któremi schody były zasłane.

List Eugeniusza zamykał tylko te słowa:

»Dnia 27 czerwca 1840 r. Warszawa. Za parę dni wyjeżdżamy. Już wszystko gotowe. Czekamy tylko na siostrę kasztelanową, hrabinę Z... która pragnie jeszcze zobaczyć siostrzeńca, którego bardzo kocha. Oby jak najdłużej przybycie swe odwlekała! Pojmujesz dla czego mi nie pilno, dla czego mi żal rzucać to słońce, które mię ogrzewa, które mi rozjaśniło świat boży tu, gdzie świeci, gdzie promienie jego tak blisko na mnie padają. Nigdy mi Warszawa nie wydała się tak piękną, nigdy twarze swoich nie były mi tak miłe. Przed kilku miesiącami pragnąłem gorąco innego nieba, innego kraju, innych ludzi. Dziś boję się tej chwili, w której mowa polska przestanie brzmieć w moich uszach, w której dźwięki obce ostrzegą mię, że już daleko odbiegł od tego wszystkiego, com kochał tak mocno od dawna, chociaż teraz dopiero, gdy przychodzi rzucić to, co było tak drogiem, co tém droższem się staje, im bardziej odsuwa się odemnie, zdaję sobie sprawę z moich uczuć, ze stanu mojej duszy. Rozumiesz mię, drogi Ignasiu! i pojmujesz to dobrze, z jaką radością zostałbym, gdyby mi powiedziano: zo-

stań, z jaką niecierpliwością wyglądałbym twego przybycia, z jakim uniesieniem rzuciłbym się w twoje objęcie.”

»List twój czytałem z uwagą. Pełny on rozsądku i serca. Wziąłem go z sobą i odczytam jeszcze raz gdzie indziej, dalej, gdzie będę miał więcej czasu, więcej swobody do pomyślenia nad sobą. Wtedy zastanowię się może i nad tą geometryą, której podobało ci się trochę może naciągane dać zastosowanie. Dziś rozbierać tego wszystkiego nie mogę. Liścik ten zostawiam u sługi, który zawsze zostaje w Warszawie i pilnuje mieszkania kasztelana. Boję się więc żeby go stary gdzie nie zarzucił i dla tego nie rozpisuję się i nie rozbieram tych wszystkich uwag, które robisz, a na które, jakkolwiek rozsądne, byłoby co odpowiedzieć. Zaraz po przybyciu do Warszawy i po odebraniu téj karteczki, napisz do mnie do Rzymu, *poste restante*. W połowie listopada już tam zapewne będziemy. Przyłącz swój adres, z dokładnym oznaczeniem ulicy i numeru domu, żeby się mój list nie zabłąkał. Będzie on długi, wypowiem ci w nim wszystkie wrażenia, jakich doznawałem i doznawać będę, żałując tego, com

stracił, i patrząc na to, co choć nowe, choć może wielkie i ciekawe, ale nie wiem, czy mi wynagrodzi oddalenie się od rodzinnego kąta, do którego serce przyrosło, i do którego myśl stęskiona ciągle powracać będzie. Bywaj zdrów, kochany Ignasiu! niech ci Bóg szczęści w twoich zamiarach i postawi cię na takiej drodze, któraby cię wykierowała na człowieka, jakim przy rzadkiem usposobieniu twojem być możesz.”

Twój nazawsze, *Eugeniusz*.

P. S. »Dziękuję ci za dobrą radę. Sam już to sobie wyrzucałem, że z Zabuża nie dojechał do ks. Macieja i nie uściskał tój szanownej ręki, która mię wprowadziła na tę ścieżkę, po której idę. Jaki będzie skutek tój mojej wędrówki, nie wiem, gdyż czasem, zwłaszcza teraz, robi mi się bardzo ciemno przed oczami. Zawsze jednak intencye zacnego człowieka były najlepsze, za które wdzięczność mu zachowam dozgonną. Napisałem do niego tak, jak mi dyktowało serce, wspomnienie jego dobrodziejstwa i tój rzadkiej przyjaźni, jaką miał dla naszego ojca. Referendarz mieszka na Nowym Świecie. Numeru nie pamiętam, ale łatwo znajdziesz jego mieszkanie po wskazówce jaką

ci podam. Między Warecką i Chmielną, z prawej strony, jest dom, zdaje mi się zielonkawy. Może się mylę w jego kolorze; ale idąc tamtędy, patrzaj tylko w okna na pierwsze piętro. Gdzie obaczysz ponsowe materyalne firanki, ze złotemi frendzlami, i złote bulionowe kutasy, wiszące na złotych sznurach, a pod tém złotem i materyą dwie panny wystrojone, patrzące przez lorynetki na ulicę o każdej porze dnia, wyjąwszy godziny czwartej, to jest pory obiadu, tam mieszka referendarz. Nie chcę cię uprzedzać. Obacz i napisz mi, jak ci się to wyda. Ciotka Herminija mieszka na Podwalu z prawej strony przy aptece, na pierwszym piętrze. Wolałbym, żeby mieszkała na drugiem. Byłem u niej tylko raz tego roku i nie pójdę już wyjeżdżając. Wszystko to, co ją otacza nie podoba mi się. Warszawa wprawdzie wymaga pewnego rodzaju elegancyi. Jest to choroba tego miasta, zwłaszcza pięknej jego połowy; ale wolałbym nie widzieć u ciotki naszej aksamitnych mebli, ślicznych bronzów i tylu materyalnych sukien. Co to jest, i jak jest, nie wiem. Bałem się dochodzić i pytać, żeby się nie dowiedzieć czegoś takiego, coby mię mocno zabolalo. Obacz wszakże

i donieś mi. Możem się pomylił i na próżno się przeląkł. Nie wiem cobym dał za to, żeby tak było. Wszakże to siostra naszej drogiej matki, siostra téj nieocenionej cioci Teresi, która mię tak kochała, do której pisałem także, i obiecałem jej kilka pamiątek z Rzymu, ręką Ojca Śgo poświęconych. Ucałuj jeszcze raz odemnie jej ręce i nogi, i upewnij ją, że obietnicy mój święcie dochowam. Bądź zdrow, bądź zdrow drogi Ignasiu! Dziwnie mi jakoś na sercu. Łzami zachodzą oczy i ręka drży, tak że pióra dłużej utrzymać nie może. Niestety! już teraz nie zapytuję cię co to jest i dla czego. Wiem o tém dobrze. Tego tylko nie wiem, czy ci takim powrócę, jakim mnie mieć pragnąłeś, czy takim, jak wyjeżdżam. Prędzej to ostatnie..., a wtedy, co będzie, to Bóg jeden wie i rozrządzi, jak jego łaska i miłosierdzie.”

Gdy się Ignaś znalazł na placu teatralnym, było po pół do pierwszej i głód dawał się uczuwać. Rozmowa najzwyczajniejsza w świecie, którą notujemy tu tylko dla tego, że ma tyle wartości, co słup drogowy mający rękę z napisem, ukazała mu gdzie się ma udać i oszczędziła wypywania się, do którego szczególniej nabrał odrazy.

— Jak się masz?— rzekł jeden spotkawszy się z drugim, oba młodzi i przystojnie ubrani.

— Jak się masz?— odpowiedział drugi.

— A która to już godzina?— i oba spojrzeli na zegar ratuszowy.

— Oho! już blisko pierwsza. Czas co przekąsić.

— A dokąd idziesz na obiad?

— Naturalnie, do Karczewskiej. Nie drogo tam, niewykwintnie, ale przynajmniej smaczno.

— Ja pójdę do Marego— rzekł drugi przyglądając się swoim eleganckim rękawiczkom.

— Nie na moją to kieszeń— bądź zdrów.

— Do widzenia się— rzekł drugi. Podali sobie ręce i rozeszli się. Bohater nasz poszedł za pierwszym i znalazł się u Karczewskiej. Rzeczywiście nie było tam wykwintnie, ale pełno i zapach dobrego barszczu rozchodził się po sali. Za przykładem swego przewodnika Ignas kazał sobie także dać obiad. Dziewczyna której dysponował, spojrzała na jego czapkę, na ręce bez rękawiczek i rzekła:

— Obiad kosztuje dwa złote.— Ignas dobył dwa złote i oddał jej z góry, a wtedy dziewczyna

ukazując mu miejsce dodała: — Niech pan siada.

Obiad był prosty, gospodarski, ale smaczny. Zapewne najlepszą jego przyprawą była wczorajsza podróż na budzie dyliżansu i dzisiejsze kursa, jakie odbył po Warszawie; wszakże Ignas wyznał sobie, że dawno z takim nie jadł apetytem, i kontent był, że od razu odkrył miejsce, gdzie tak tanio, a tak smaczno posilić się można.

Gdy wrócił do stancyi, odczytał jeszcze raz list Eugeniusza. Zmartwił się on gorzej jego prostotą niż dawniej poetycznym polotem pierwszego. Z tych słów skreślonych na pręde, widział Ignas wyraźnie, że Eugeniusz już nie tai przed sobą samym stanu swego serca, i że musiał postrzedz jakiś szczególny znak przychylności ze strony P. Jadwigi, który nadzieje jego pokrzepił i miłość rozplomienil. Przestraszyło to niezmiernie roztropnego chłopca, i biorącego rzeczy jak są; widział bowiem dobrze, że najwyraźniejsza wzajemność panny, tak wyższej wszystkiem tém, co świat ceni, nie bratu jego nie pomoże, owszem pogorszy stan jego i pokój jego zatruje. Ale na to nie było żadnej rady, i rzecz tę trzeba było

zostawić czasowi. Wszakże troska ta o brata jakrawsze jeszcze światło rzuciła na pierwsze, jego własne kroki w Warszawie, i tém wydatniej mu pokazała, co w tém wszystkiém, co widział i czego doświadczył było przykrém i odstręczającym.

Na takich rozmyślaniach zeszło mu parę godzin, nim Kański przybył. O godzinie czwartéj usłyszał Ignas jakieś śpiewanie, jakieś obce uchu jego wyciągania i zagięcia tonów, czystym wszakże i ładnym tenorowym głosem robione. Był to piękny motyw z Łucyi. Bohater nasz zrozumiał tylko, że to nie jest pieśń krajowa, gdyż opery żadnej w życiu swém nie widział i z téj strony wcale wycywilizowanym nie był. Gdy więc zaczął się w najlepsze przysłuchiwać, drzwi się jego otwarły, i stanął w nich Kański w pozycyi Edgara, kończąc wyrzuty, jakie w sławnym sekstecie kochance swój czyni. Miał on na sobie ładny tuzurek, elegancką chusteczkę, nowy kapelus i rękawiczki, które zdawały się tylko co wziętymi ze sklepu. W jednéj ręce trzymał cygaro, a w drugiéj trzcinkę, na której był śliczny piesek ze słoniowój kości. Tuzurek jego był roz

pięty, a na kamizelce materyalnej, wzorzystej, błyszczał łańcuszek złoty od zegarka.

Ignasia uderzył ten ubiór kolegi, a nadewszystko humor wesoły i ta mina tak niefrasobliwa, tak pełna nadziei, iż zdawało się, że jest pewnym wygranęj, jak gdyby miał cztery tuzy w ręku. Był on szczerym Kańskiego przyjacielem, kochał go tém koleżeńskiem przywiązaniem, które tylko w młodym wieku i na ławce szkolnej zawiązuje się i potém trwa przez całe życie; a jednak widok tak pomyślnego położenia i tak szczęśliwego usposobienia nie ucieszył go wcale, owszem, tknął go jakimściś przykrém przeczuciem, że to wszystko pozór, że to wymuszone, przedwczesne, i jak prędko przyszło, tak prędzęj jeszcze pójdzie. Kilka słów o tym koledze bohatera naszego pozwolą nam czytelnicy. Resztę dopowie rozmowa, która się między niemi zawiązała.

Aleksander Kański, szlachcic z patentem heroldyi, był synem propinatora z Wajslawic. Ojciec miał się nieźle, ale był skąpy i przytém liczną obarczony familiją. Najstarszego syna doprowadził do klasy piątęj w Lublinie, a potém oporządziwszy go jako tako na cały rok, dawszy pietnaście rubli

srebrnych do rąk i krzyżyk na drogę, puścił go w świat o własnych siłach. Ta wspólność położenia zbliżyła obu chłopaków do siebie, chociaż Oleś Kański był starszym od Ignasia prawie o lat trzy, i właśnie w tej chwili, kiedy o nim mówimy, dwudziesty trzeci rok kończył. Poprzyjaźnili się więc oba prędko, pomagali sobie wzajemnie, to w lekeyach to w sposobie wygrzebywania się z biedy; a choć Ignas przewyższał przyjaciela zdolnością, pilnością i pracą, i widoczna była różnica w ich charakterach, związek ich jednak był nierozzerwany aż do ukończenia gimnazjum i przedłużał się później przez korespondencyą, tak utrzymywaną, że zawse jeden o drugim wiedział, gdzie się obraca i co przedsięwzięje.

Główną cechą charakteru Aleksandra Kańskiego było to, że nie wątpił, nigdy o pomyślnym obrócić tego wszystkiego, co przedsiębrał, że każdy połysk nadziei brał za fakt dopełniony i na tym gruncie, jakby na jakiej opoce zamki swoje budował. Z tego względu zdawał się on należeć do rodziny Bonapartych, tak wierzył w swoją gwiazdę. Ignas był daleko roztropniejszym, zimniejszym, więcej wyrachowanym. Ztąd poszło, że po ukończeniu gim-

nazyum rozdzielili się. Bo gdy Kański, wyprosiwszy od ojca kilkaset złotych, najprzód oporządził się w Lublinie, pełen nadziei, że mu ta powierzchowność do utorowania sobie dalszej drogi pomoże, a potem mając nie spełna trzysta złotych w kieszeni, puścił się śmiało do Warszawy; to Ignas, jakieśmy to widzieli z jego listu, starał się najprzód dopełnić swych zobowiązań względem uczniów, jakich miał, i względem ciotki, którą kochał, potem niechazardując nie, chciał doświadczyć sił swoich w gospodarstwie; potem widząc, że to zawód nie dla niego, postanowił pracą z którą był oswojony, przysporzyć sobie do dalszej drogi taki zasób, żeby przynajmniej przez niejaki czas był pewnym swojego jutra. Nie jego w tym wina, że trafił na takich ludzi, którzy nie już płonne jakieś nadzieje, ale prosty i uczciwy rachunek zrobili niedostatecznym i zawodnym. Zawsze jednak mógł spokojnie oczekiwać przyszłości, bo miał więcej, niż kolega wówczas gdy przybył do Warszawy; bo miał krewnych, których wprawdzie nie znał, ale na których mógł choć trochę polegać; wreszcie miał do tysiąca złotych z folwarczku, które w ostatecznym razie mogły go

dójsć całkowicie, gdyby napisał do ks. Macieja, aby wszelkim nakładom i reparacyom położył koniec.

Nie mając tych wszystkich środków, gdyż ojciec zapowiedział mu, że na żaden list z proźbą, choćby o trzy grosze, nie odpowie, stanął Kański półtrzecia roku temu na tym samym dziedzińcu pocztowym, świszcząc i śpiewając, na którym ostróżniejszego Ignasia tak ciężkie i smutne opadły myśli. Nająwszy sobie stancyjkę na Starém Mieście na cały kwartał i zapłaciwszy z góry, zaczął od chodzenia na teatr, od zaznajomienia się z młodymi aplikantami, i od dowiadywania się gdzieby mu i do kogo udać się należało. I ten i ów nazywał mu właśnie tego urzędnika z Komissyi Skarbu, któregośmy widzieli, mieniać go człowiekiem surowym i ścisłym, ale dobrym, wchodzącym w położenie młodych ludzi, i mającym wpływ i powagę. Kański nie widział go nigdy w życiu, nie miał żadnego listu, żadnej rekomendacyi, ale widząc, że dno jego woreczka zaczyna pokazywać swoje wyschłe oblicze, uzbroidł się w odwagę, w patent heroldyi i świadectwo urodzenia i z gimnazyum, i ubrawszy się jak mógł najezyściiej, z ufnością w swoją gwiazdę poszedł do P.

Naczelnika. Minę miał dobrą i śmiałą, więc lokaj nie odprawił go zwykłym: *nie ma pana*. Stawiając się przed poważnym i bystro patrzącym mu w oczy człowiekiem, opowiedział otwarcie kto jest, czego żąda i dla czego do niego się z prośbą swoją udaje. Naczelnik wysłuchał go cierpliwie, potem przejrzał jego świadectwa, potem dobywszy z teki jakiś referat, kazał mu usiąść i przepisać na czysto. Kański pisał ładnie, czytelnie, prędko, a nadewszystko pisał ortograficznie. Usiadł więc z odwagą, a naczelnik tymczasem wyszedł do drugiego pokoju z kąd dochodził brzęk filiżanek i łyżeczek i gwar kilku głosików dziecinnych. Oczewiście było to śniadanie. Gdy się skończyło, i P. K... weszła, robota była gotowa. Przejrzał ją naczelnik i dawszy mu drugi papier ze stępem, kazał napisać prośbę do Komissyi, której treść mu wskazał. Tymczasem przeglądał, nie mówiąc, papiery swojej teki, i przepisany ów referat do niej włożył. Gdy prośba była gotowa, przeczytał ją, położył na wierzchu datę, w środek wsunął wszystkie świadectwa Kańskiego, schował to wszystko do teki, zamknął ją i kiwnąwszy mu głową, rzekł:

— Przyjdź pan do bióra w sobotę.— Tyle tylko powiedziawszy, wziął tekę, kapelusz i poszedł. Młody człowiek oszołomiony, odurzony, i pełen nadziei wybiegł za nim. Tego dnia poszedł zaraz na teatr, i w między-akcie, a conto przyszłego powodzenia, zjadł u Lursa filiżankę lodów, za którą właśnie byłby jutro miał obiad, bo kosztowała czterdzieści groszy. Ale Kański o tem nie myślał, wierząc i pewnym będąc, że wkrótce będzie co najuniej, to naczelnikiem stołu.

W sobotę po dziesiątej zjawił się w biórze. Tam kazano mu złożyć deklarację bezpłatnej aplikacyi, napisać *curriculum vitae* i wykonać przysięgę. Co wszystko gdy dopełnionem zostało, wskazano mu stół, przy którym miał pracować i najbliższego zwierzchnika, którego miał słuchać.

Dotąd wszystko szło gładko. Ale szczypty zasób wyczerpywał się, pokusy Warszawskie wyciągały złotówki, a żadna natomiast nie przybywała. Zafrasował się więc na seryo młody człowiek, ścisnął woreczek swój z ostatkiem gotówki i rzucił się do innéj pracy, któraby mu pomogła do utrzymania się. W biórze byli z niego kon-

tenci, w każdej bowiem rzeczy, którą przepisał, nie potrzeba było ani jednej kommy poprawić. Ta reputacya dokładnego przepisywacza, zwłaszcza w wydziale, gdzie było do czynienia z cyframi, gdzie najmniejsza pomyłka czyniła referat nie-użytecznym, dała mu cokolwiek dochodu. Było tam dwóch paniczów, którym niechciało się robić, i którzy pisali z roztargnieniem. Dla pokonania ich niedbalstwa obarczano ich umyślnie robotą, i pozwolono niektóre rzeczy brać do domu. Wszystko to przepisywał Kański, a młodzi ludzie płacili mu dobrze za spędzone nad papierami noce. Wkrótce zdarzyła się korepetycyja matematyki, która mu dała tyle, że mógł wyżyć i już po nocach pracować nie potrzebował. We trzy kwartały później urzędnik jeden z Lublina, dobrze mu znajomy, translokowanym został na wyższą posadę do Warszawy. Obaczywszy się z Kańskim, zaproponował mu u siebie stół i stancję, byle wieczorami dopilnował dwóch synków jego, pomieszczonych w klassie trzeciej Gimnazjum, żeby każdą lekcję dobrze umieli i żeby im ułatwiał zrozumienie matematyki i łaciny, Przyjął on chętnie tę propozycyją, i tym sposo-

bem zabezpieczony w najistotniejszych potrzebach życia, oddał się z tém większą przytomnością umysłu pracy biórowej.

Pilność ta, akuratność w godzinach, chętnie i prędkie wykonanie wszystkiego, co mu polecano, przy ciągłym czuwaniu nad nim i śledzeniu jego postępów przez owego naczelnika, którego względy i łaskę zjednać sobie potrafił, sprawiły to, że gdy się rok bezpłatnej aplikacyi skończył, Kański otrzymał tysiąc złotych dyet, z wielkiem podziwieniem, a może i zazdrością niektórych kolegów, którzy po dwa i trzy lata w tej samej sekcji napróżno pracowali. Potém otrzymał pochwałę i obietnicę, że pierwsze miejsce etatowe, jakie się zdarzy, będzie mu konferowane. Łatwo sobie wyobrazić, jak uszczęśliwionym był młody człowiek, mający stół, stancję i tysiąc złotych dochodu, i jak wiara jego w tę gwiazdę, co go dotąd tak zwycięzko prowadziła, ugruntowaną została.

Tysiąc złotych, to fundusz ogromny dla człowieka z głową i doświadczeniem. Obrachowawszy się dobrze, przekonał się Kański, że coroczne oporządzenie nie będzie go więcej koszto-

wać, jak czterysta kilkadziesiąt złotych, a sześćset blisko zostaje jeszcze na przypadek utraty miejsca, które mu dawało stancję i wyżywienie. Znalazł się uczciwy krawiec, który wzięwszy do siebie nominacyą młodzieńca i otrzymawszy poręczenie dwóch owych bogatszych kolegów, oporządził go od stóp do głowy i rąk, bo mu nawet kupił kapelusz i pół tuzina rękawiczek, a za to odbierał sobie co miesiąc pewne kwantum z procentem od wyłożonego kapitału. Teatr już go nie tyle kosztował, bo się z nim obeznał i chodził tylko na sztuki nowe; od innych pokus i wydatków wstrzymywał się; tym tedy sposobem postawiwszy się na nogi, nie pozwalając sobie żadnego opuszczenia się w służbie, z groszem przy duszy, z nadzieją i wiarą w przyszłość, żył sobie wesoło, i tém weselój, że przed pół rokiem zrobił znajomość, dla której o teatrze i wszystkich innych rozrywkach zapomniał, i która otworzyła przed nim szerokie pole do rojeń o przyszłym szczęściu i powodzeniu we wszelkich zamiarach.

Aleksander Kański był brunet, z ciemnymi oczami, pełnymi życia; rysy miał foremne, płeć

czerstwą i zdrową, odbijającą gorącym kolorytem przy ciemnych wąsikach, które mu się puszczać zaczynały, i przy białych zębach, które chętnie pokazywał śmiejąc się często, jako człowiek, do którego się fortuna uśmiechała. Wzrostu był średniego, ale zwinny i zgrabny. Idąc zawsze sobie śpiewał, rozmawiając w ciągłym był ruchu. Wtedy tylko siedział spokojnie, a ręka biegła po papierze, kiedy przed nim leżał referat, z którym potrzeba było na godzinę oznaczoną wyśpieszyć. Takim był przyjaciel Ignasia.



III.

GDY SIĘ skończyło przekleństwo Łucyi i jej rodziny, i Kański, imitujący głos i ruchy Dobrskiego, postąpił kilka kroków od drzwi ku oknu, jakby chciał opuścić scenę, i potem obrócił się żywo na towarzysza i postrzegł jego zafrasowaną minę, rzekł:

— Cóż tak na mnie patrzysz zasmucony. Dziwisz się może że śpiewam? Czemu nie mam śpiewać, kiedy mi dobrze na świecie, i będzie jeszcze lepiej.

— Winszuję ci z całego serca— odpowiedział Ignasz ściskając jego rękę.

— Ba! co tam winszuję; o mnie już nie ma co mówić— rzekł Kański, postawiwszy uważnie swój

kapelusz i zdejmując rękawiczki, które weń wrzucił, a na wierzchu ułożył do równowagi swoją laseczkę.— Jabył już chciał tobie winszować, co zapewne wkrótce nastąpi. Bo tu młody człowiek z twoją głową i z twoją chęcią do pracy musi się pokierować. Tu tylko takim źle, co choć skończyli szkoły, ale nie nauczyli się w nich ani czytać, ani pisać, co bazgrzą jak kury, i ile wyrazów tyle myłek robią. Jakże chcesz, żeby do czegoś doszli, kiedy się od tego zaczyna. O ciebie się nie boję. Ty piszesz lepiej odemnie, a ja przecie wszystko to piszę, co do Rady Administracyjnej idzie.

— Nie każdemu się tak udaje, jak się tobie udało— rzekł Ignas.— W rok dostałeś dyety.

— Tysiąc złotych kochanku! to nie żarty— zawołał Kański śmiejąc się i wyciągając nogi, odziane w eleganckie béciki— przytém mam stół i stancję darmo, to jest, że nie płacę, tylko wieczorami przygotowuję do lekcyj synów Jaźnickiego; któregoś musiał znać w Lublinie.

— Zapewne, to bardzo dosyć na początek— rzekł Ignas.— Ale jeżeli tak codziennie chodzisz wystro-

jony, jak teraz, to ci i te tysiąc złotych nie wystarczą.

— Gdzie tam— odpowiedział Kański, bawiąc się łańcużkiem od zegarka.— To nie tak wiele kosztuje, jak myślisz. Co roku oporządam się i wydaję na to niespełna połowę mego dochodu. Na codzień donaszam przeszłoroczne ubranie, a w kufierku mam nowe i świeże, jak z igły, od święta i wizyty. Teraz umyślnie wystroiłem się, żeby się przed tobą pochwalić, i pokazać ci się w świątecznym garniturze. Bo też to dla mnie wielkie święto, twoje przybycie. Poczciwy mój Ignaku!— dodał Kański wyciągając do niego rękę— nie mogłeś nic lepszego zrobić, jak to, żeś przyjechał.

Młodzi ludzie uściskali się, a Ignas rzekł:

— Nawet do zegarka już przyszedłeś?

— Zegarka jeszcze nie mam— odpowiedział Kański seryo— dopiero jest łańcużek. Zegarek będzie, jak pójdę na etat, co wkrótce nastąpi. Łańcużek potrzebniejszy, jak zegarek, który siedzi w kieszeni, a łańcużek błyszczy na kamizelce, i każdemu mówi, że to człowiek porządny. Nie uśmiechaj się, nigdzie może nie sądzą tak o

człowieku z powierzchowności, jak tu, w Warszawie. Szczególniej ważna ta dla człowieka kierującego się klasa ludzi, jakimi są lokaje urzędników i woźni biór, tak cię zawsze pisze jak cię widzi. Przyjdź w porządnym tużurku, z kapeluszem na głowie, w glancownych rękawiczkach, z laseczką w ręku i z łańcużkiem na kamizelce, choćby zegarka nie było; mów głośno i nie zająknij się wymawiając nazwisko pańskie, to z tobą pogada, objaśni cię i zaraz zamelduje. Przyjdź w surduciku wytartym, a broń Boże w czapce i bez rękawiczek, to cię weźmie za jakiegoś natręta, za chłopaka ze sklepu lub terminatora, powie ci bez ceremonii: *nie ma pana*, i drzwi ci zatrzaśnie przed nosem.

— Czegóż podobnego doświadczyłem już dzisiaj— rzekł Ignaś.

— To też jakim cię obaczył— mówił dalej Kański— w biórze naszym z czapeczką w ręku i bez rękawiczek, przestraszyłem się. Zmiłuj się, pójdziemy zaraz kupić kapelusz, rękawiczki i laseczkę. To najpierwszy sprawunek, jaki powinienś zrobić. Bez tego nie postąpisz i kroku naprzód.

— Muszę się obrachować z memi funduszami—
odpowiedział Ignas.

— Nie masz się czego rachować— mówił Kański powstając żywo.— To koszt nie wielki, a rezultat ogromny. Ale piérwój powiedz mi otwarcie, co myślisz robić.

— A cóż— odpowiedział Ignas— twój przykład zachęca mię. Zacznę od aplikacyi, postaram się przytém o jaką korrepetycyą; cokolwiek także będę miał z domu, i tak przepcham może początek, który naturalnie nie może być łatwy. Nie wiem tylko gdzie i do kogo się udać.

— Poczekaj— odpowiedział Kański— ja się jutro dowiem, czy niema u nas miejsca. To byłoby najlepší, raz, żebyśmy byli razem, a powtóre, że w Komissyi Skarbu, gdzie czynności są tak rozgałęzione, jest ruch urzędników największy i najprędzej jeżeli nie tu, to gdzieindziej, choćby na prowincyi pomieścić się można. Przytém ty, coś się zawsze przykładał do matematyki, człowiek rachunkowy i przytomny, prędko się tam dasz poznać. W hotelu nie zostaniesz?

— Nie chciałbym— odpowiedział Ignas.

— Niespokojnie tu i drogo— mówił Kański—

możemy znaleźć za mało co więcej stancyjkę ze stołem, a przynajmniej ze śniadaniem. Obiad za złoty i groszy trzy, możesz mieć w naszej restauracyi.

— Jako w waszej restauracyi?— zapytał Ignas.

— Bo my tu mamy swoje własne restauracye— odpowiedział Kański— gdzie się prawie sami tylko aplikanci stołują. I każde bióro ma inną. Zaprowadzę cię tam jutro, obaczysz i poznasz się. Wielu jest nygusów, ale poczciwych i zdolnych chłopaków więcej. Prawie wszyscy żyją nadzieją, a choć ona mało komu tak dopisuje, jak mnie dopisała, weseli są jednak i nie tracą odwagi. Poznać się z nimi potrzeba, żeby na ciebie nie patrzyli jak na raroga, kiedy pomiędzy nich wejdiesz. Zresztą od nich najlepiej dowiedzieć się można, czy nie ma gdzie jakiego prywatnego zajęcia, jakiego pisania, jakiej lekcyjki, którejby który z nich podjąć się nie mógł. Gdyż w takim razie każdy z nas ma za obowiązek rekomendować kolegę tam, gdzie sam pomieścić się nie chce lub nie może.

— To bardzo pięknie— rzekł Ignas ożywiając się— obowiązkiem jest tych, co tą samą idą dro-

gą, dzielić się zapasem z tymi, którym go zabraknie. Tak robiliśmy w szkołach pamiętasz.

— Bo też powiem ci— odpowiedział Kański ścisnąc rękę przyjaciela— tylko młodzi są prawdziwymi kolegami. Przypatrzyłem się już trochę temu, jak coraz wyżej, ci którzy tą samą idą drogą, idą zdaleka od siebie. Nie tak bardzo ludzi nie dzieli, jak służba w tém samém biurze. Jeżeli który ma przyjaciela, to pewnie nie tam, gdzie służy. Ale nam jeszcze do tego daleko. Czy masz tu kogo znajomego w Warszawie?

— Oprócz ciebie, nikogo— rzekł Ignas— Mam dalekiego krewnego referendarza Zabuzskiego, ale tego nie znam. Mam ciotkę rodzoną Herminiją Tonicką, ale tę widziałem kiedyś w dzieciństwie, jak była panną, i ani ja jęj nie pamiętam, ani ona mnie nie pozna, a może poznać nie zechce.

— Więc to rodzona siostra tęj poczciwęj cioci Teresi— rzekł Kański z jakąś dziwną miną, która uderzyła Ignasia— nieoceniona ciocia Teresa! jakie ona doskonałe pierożki leniwe robiła, jak kochała tych wszystkich co ciebie kochali! Cóż ona ona teraz tam robi bez ciebie? Kogo karmi i pieści?

— Siedzi sobie spokojnie u Panien Wizytek i mo-

dli się, żeby mi Pan Bóg dopomógł— mówił Ignas. Potem wzięwszy za rękę Kańskiego dodał— słuchaj Olesiu! kiedyś wspomniał o ciotce Herminii, zrobiłeś taką minę, która mię zatrwożyła. Czy o niej co wiesz?

— Lepiej obacz sam— rzekł Kański.— Plotek jest na świecie dużo. Może to nieprawda, com o ładnej elegantce, pani Herminii Tonickiej słyszał. Nie przyszło mi wówczas na myśl, że to twoja ciotka, i to co mówiono, mignęło się jakoś mimo moich uszów, że nawet dobrze nie pamiętam.

— Nie chcesz mię zmartwić— mówił Ignas puszczając jego rękę.

— Przekonaj się, obacz— dodał Kański.— Jeżeli wpadniesz na jakiś domysł i zechcesz mi powiedzieć, jaki ci się zdaje, wtedy i ja powiem ci com słyszał. A teraz mówmy o czem innem. Lubisz teatr?

— Boję się zaczynać od rozrywek— odpowiedział Ignas, cokolwiek zaszępiiony i kombinujący słowa Kańskiego ze słowami listu Eugeniusza— żebym nie skończył na głodzie i nie musiał bez bótów uciekać z Warszawy.

— Śmieję się z tego— odpowiedział Kański.— Ja

zacząłem od teatru, a widzisz jednak, że i nie głodny i mam ładne bóbki od Jägera, którego ci rekomenduję. We wszystkim jest miara, a przy pracy rozrywka koniecznie potrzebna. Wszakże dziś nie warto ekspensować. Jakieś lice sztuczki grają, w których żadnego z celniejszych aktorów nieobaczysz. Rzeczy te trzeba robić z wyrachowaniem i ze znajomością. Parę złotych stracić nie żal kiedy się człowiek zabawi i uciechy. Bezemnie nie puszczaj się, chyba obaczysz na afiszu *Lukrecyą*, albo *Łucyą z Lamermooru*, albo *Normę*, wtenczas ruszaj śmiało, ale na górną galeryę, gdzie śpiew najlepiej dochodzi i gdzie nie wiele kosztuje. A *Dobrskiego* koniecznie trzeba słyszeć!

I tu znowu *Kański* zaczął śpiewać: *Mira Norma*, robiąc odpowiednie giesta i wydobywając z piersi swych tony ładne i czyste. *Ignas* tymczasem przechadzał się po pokoju i myślał o tej ciotce, od której spodziewał się pociechy, miłości i rady, a która może tylko wstydem okryje jego czoło i wstrętem napełni jego serce. *Kański* postrzegł stan jego i biorąc rękawiczki z ka-

pelusza i naciągając je z miną człowieka, który wie, jak się nowe rękawiczki naciągają, rzekł:

— Słuchaj Ignasiu! widzę, żeś wpadł na jakiś niemiły temat. Porzuć te myśli, które nie mają gruntownej zasady. Warto tę rzecz zbadać, a przekonawszy się, że jest źle, zapomnieć o krewnej, bez której wychowałeś się i wyrosłeś, i bez której i dalej iść możesz. Oto pójdźmy lepiej po nasze sprawunki, a potem zaprowadzę cię na herbatę do jednej pani, której znajomość będzie ci miłą.

— Któż to jest ta pani?— zapytał Ignas— wołałbym zacząć od jakiejś innej znajomości.

— Obaczysz jak i z tej będziesz kontent— odpowiedział Kański i żywy rumieniec wystąpił na jego lica— opisywać ci nie nie będę, uprzedzać cię nie chcę. Powiem ci tylko, że możesz być pewnym serdecznego przyjęcia. A ja niczego bardziej nie pragnę, jak tego, żebyś takim okiem spójrzał na to wszystko, co tam postrzeżesz, jakim ja patrzę.

— Kochanku!— rzekł Ignas patrząc mu w oczy— czerwienisz się, i coś nie jasno się tłómaczysz. Czyś się ty w jakie głupstwo nie wplą-

tał. Bój się Boga, tak wcześnie! na samym początku swęj drogi!

— O ba!— zawołał Kański z zaufaniem— za pół roku najdalej będę na etacie, pójdę szybko, bo chcę iść szybko. Ale chodźmy. Rozprawa na jutro; jutro także powiem ci, co masz z sobą zrobić.

Kański nałożył kapelusz z najlepszą miną, wziął w rękę laseczkę, obejrzał surducik Ignasia, czy czysty, i poszedł naprzód, a bohater nasz w czapeczce swęj za nim. W pół godziny potém szli oba Krakowskiem Przedmieściem ku Zamkowi, trzymając się pod ręce, oba w nowych kapeluszach i rękawiczkach, z ładnymi laseczkami, oba śliczne chłopaki, na których piękne warszawianki chętnie się oglądały.

Na Śto-Jańskiej ulicy, naprzeciwko dzisiejszego kościoła księży Pijarów, jest wysoka kamienica o czterech piętrach, wazka jak wszystkie inne, bo tylko o trzech oknach, a piąta z rzędu od tęg, w której się urodziła Henryeta Duval, matka sławnęg niegdys Orzelskięg. Kamienica ta pamietna jest tęg, że była własnością czterech po sobie idących metrykantów, z których ostatnim

był Walenty Skorochód Majewski, znany ze swych badań, z postrzeżeń meteorologicznych i znajomości sanskrytu. Dla tego to nad główném wejściem od ulicy Piwnéj był wyrobiony orzeł, jako herb, którego używali wysocy urzędnicy akt publicznych. Kamienica ta ma dotąd trzy ciekawe napisy. Pod trzecim piętrem, w całą szerokość domu napisano wielkiem literami: *Adsto vestibulo Templi; sic res mea tuta; ne collapsa ruam, sustinet ipse Deus.* Widać, że dom ten był pod skrzydłem i opieką Jezuitów, którzy byli na przeciw. Pod drugim piętrem stoi napis: *Regia Sarmatiae meliores construet aedes si careant cives hospitis officio.* Co znaczy, że pałac królewski niech sobie lepszy dom wystawi, jeżeli nie będzie miał gdzie podziać obywateli zgromadzających się na sejmy i inne zjazdy. Wiadomo bowiem, że kwaterunek taki znosić musiały domy staréj Warszawy; że zaś był uciążliwym, i że od niego ten, o którym mówimy był uwolniony, świadczy trzeci napis nadedrzwiemi znajdujący się: *Regis et Rei publicae beneficio liberata ab hospite ex officio, oneribusque civilibus et militaribus.* Dziś dom ten jest własnością pry-

watną. Na dole, jak we wszystkich domach Sto-Jańskiej ulicy, sprzedają się skóry, podeszwy i wszelki materiał dla szewców i rymarzy. Na piętrach zamieszkuje uboga i z pracy żyjąca klasa mieszkańców, tém biedniejsza, im bardziej się idzie w górę pod latarnię, która oświeca schody.

Pod tym domem stanęli oba młodzieńcy, i wszedłszy na korytarz obszerniejszy tu, niż w innych sąsiednich kamienicach, i prowadzący na mały dziedziniec, ztamtąd zaś do drugiej jego części, wychodzącej na ulicę Piwną, weszli na schody ciemne i brudne, które jednak nie były wąskie i miały po obu stronach potężną dębową balustradę. Dopiero na trzeciem piętrze wyjaśniło się cokolwiek, widać było ślady szczotki i znaki, że tam porządniejsi zamieszkują ludzie. Gdy stanęli przy drzwiach, prowadzących do mieszkania od frontu, rzekł ciszej Kański, opierając się o balustradę schodów:

— Poczekaj, odpoczne trochę. Strasznie tu wysoko i zawsze mi serce bije, wiele razy tu wchodzę.

— Wątpię, żeby to od schodów— mówił Ignas

uśmiechając się.— Biedny Olesiu! ze wszystkiego widzę, że to jakieś wielkie głupstwo, z którego nie wiem czy wyjdiesz cały.

— Nie bój się— odpowiedział Kański, kładąc rękę na sercu.— Teraz właśnie nie o sobie myślę. Moja droga rozwidniła się. I jeżeli tylko zdrów będę i nie stracę głowy, dojdę pewnie tam, gdzie zamierzyłem.

— Zapewne, jeżeli nie stracisz głowy— rzekł Ignas.

— Cicho!— przerwał mu towarzysz, biorąc go za rękę; i w tej chwili dał się słyszeć duecik z dwóch czystych, świeżych i ślicznych głosików, co jakby oderwane od wyższych sfer, nauczywszy się od skowronków ich przenikających i wysokich trelów, zstąpiły na ziemię, aby ją na chwilę rozweselić i z niebem pobratać. Gdy się ten duecik skończył, którego ani Kański, ani Ignas nie znał, dało się słyszeć szebiotanie, jakby dwójga szczęśliwych dzieci, potem głośny śmiech, potem znowu odezwał się jeden głos, śpiewając z Don Żuana: *La cì darem' la mano*, drugi mu odpowiadał na wpół śmiejąc się, wpół śpiewając,

aż póki się znowu ten cudny w swój prostocie i melodyi duet nie skończył.

Młodzi ludzie stali oba mileząc i wstrzymując oddech w piersiach, aby jakim znakiem swęj bytności nie spłoszyć tych nie tutejszych ptaszków, co nie tylko zakochanego widocznie Kańskiego, ale i Ignasia głosem swym oczarowały. Gdy wszystko ucichło, Kański otworzył z lekka drzwi i weszli. W pokoju było parę szaf za szkłem, a w nich rozmaite stroje kobiece; przy każdym oknie stały krośna, i na nich robota, na stole rozrzucone były tiule, gazy, wstążki i kwiaty, a przed dużym zwierciadłem, zakrywającym cokolwiek drzwi, i ustawionym tak, że w niem nie widać było wchodzących, stały dwie panienki, jednego wzrostu, jednego zapewne wieku, zupełnie do siebie podobne i dziwnie piękne. Wzrost ich był nie wielki, kształty niezmiernie foremne, ruchy pełne zgrabności i wdzięku, włosy ciemne i rysy tak na pierwszy rzut oka powabne i ujmujące, że Ignaś zdumiał się i oczu od nich oderwać nie mógł. Jedna z nich była w paradnej materyalnej sukni, koloru jabłkowego, wygorsowana, w stroiku na głowie mężatki,

bogata ozdobionym koronką i ubranym w kwiaty ponsowe, które przy jej czarnych włosach, jasnym czole i śnieżnym i pełnym gorsie prześlicznie się wydawały. Druga w prostej, płócienkowej sukience, z białym fartuszkim, z włosami gładko uczesanemi, przypinała jej bertę do gorsu, i bukiet z takichże kwiatów, jakie zdożyły stroik. Gdy ubranie było skończone, wtedy wystrojona spójrzała w zwierciadło, uśmiechnęła się do siebie, widząc się zapewne tak ładną, a druga zakładając ręce z komiczną powagą i przechyliwszy główkę rzekła:

— Bardzo tak jasnie wielmożnej pani do twarzy.

Wtedy tamta kiwnęła jej głową z pańska i rzekła:

— Dziękuję ci kochanku żeś mi się starała dogodzić. Będę o tobie pamiętać.— Potem obie parsknęły głośnym śmiechem, rzuciły się sobie w objęcia i ścisnąć się zaczęły. Ale w téjże chwili jedna z nich spójrzała ku drzwiom i postrzegła dwóch młodych ludzi, którzy tam stali blisko siebie, trzymając się za ręce, oba zamyśleni, oba zachwyceni tym widokiem niewinnej ślicznych dziewczątek swywoli. Ta co ich postrzegła pierw-

sza, chwyciła za rękę drugą, przyglądając się jeszcze swemu ubraniu i zawołała:

— Paulinko! patrz!

Paulinka, obaczywszy niespodziewanych gości, krzyknęła i uciekła do drugiego pokoju. Druga zatrzymała się chwilę, podniosła ciemne, błękitne oczy na nieznanego sobie ładnego młodzieńca; potem obracając się do Kańskiego, rzekła niby z wymówką:

— Zszedłeś pan nas tak niespodziewanie! któż tak robi? Trzeba było przynajmniej chrząknąć wchodząc, kiedyś pan zastał drzwi otwarte. Baw-że pan za to sam swego gościa, póki mama nie przyjdzie.

— Ależ panno Julijo!— rzekł Kański...

— Nic nie słucham— gniewam się— odpowiedziała i poszła za tamtą.

Gdy się drzwi za nią zamknęły i młodzi ludzie zostali sami, Ignasz pierwszy się odezwał:

— Cóż to za śliczne stworzenie!

— Tamta?— odpowiedział Kański z błyszczącym wzrokiem!

— Tamta, także— mówił Ignasz czerwieniąc się zlekka.— Ale ta! co to za oczy, jakie spój-

rzenie, niby groźne, a jednak tak miłe. Jak żyję takich oczu nie widziałem.

— Też oczy tylko stanowią między niemi różnicę— rzekł Kański prędko i ciszej— i prześlizczna brodawka, którą tamta ma tu, przy nosku. Zresztą nie możnaby ich rozróżnić, tak są do siebie podobne.

— To siostry?— zapytał Ignaś.

— Tamta starsza od tej o godzinę— odpowiedział Kański.— To bliźniaczki, kochany Ignasiu! równie dobre, równie skromne, wesole i pracowite; ubóstwiają swoją matkę, a piękne jak aniołki, kochają się między sobą tak, jak tylko aniołowie w niebie kochać się mogą.

Ignaś położył rękę na czole i zsuwając ją na oczy rzekł:

— A takieś mi niby obojętnie o nich mówił! Bodaj cię, nie uprzedziłeś mię, co obaczę.

— Chciałem ci zrobić siurpryzę— odpowiedział Kański, kontent z wrażenia, jakie widok ten sprawił na przyjacielu.— Powiedziałem ci przecież, że będziesz kontent z tej znajomości. Teraz i ja kontent jestem, że mi to przyszło na myśl zaraz

cię tu przyprowadzić, bo widzę, że takim samym okiem patrzeć na nie będziesz jak ja patrzę.

— No, takim samym nie wiem— odpowiedział Ignasz poglądając ku drzwiom.— Ty kochasz tamtę, przyznaj się.

— A ty tę kochać będziesz, obaczysz— rzekł Kański czerwieniąc się.

Ignasz nie zaczerwienił się, ale pobałdł i odpowiedział kiwając głową:

— Nie, nie, nie. To głupstwo. Mam dopiero dwadziesty rok i dostanę może miejsce aplikanta, gdzie za cały dochód będę miał parę liber papieru i paczkę piór! Do czego by to doprowadziło.

— Kto bo te rzeczy tak bierze — mówił Kański— a od czegoż czas i praca. Główna rzecz otworzyć sobie drogę, wierzyć w siebie, i znaleźć taką gwiazdę, coby ci na tej drodze świecić chciała.

— Bredzisz— odpowiedział Ignasz zamyślony— ja nie umiem budować zamków na lodzie. Ja potrzebuję mieć coś czarno na białym, żebym się na cokolwiek odważył. Rachunek, kochany Olesiu! to najpewniejsza nadzieja; bez arytmetyki

nie ma pewnego jutra; a jak nie ma pewnego jutra, nie ma pokoju i szczęścia.

— Wiara, wiara, Ignasiu, w przyszłość, to najpotężniejsza dźwignia— mówił Kański, kładąc rękę na ramieniu przyjaciela.

— Wiara w Opatrzność i pomoc bożą, wiara w sereu, że ten co dał życie, pobłogosławi uczciwym chęciom i spoconemu czołu— odpowiedział Ignaś ożywiając się.— Ale rozsądek w każdym kroku i przedsięwzięciu i krédka w rękę. Bez tego nie ma ratunku. Żaden cud nie zatrzyma szaleńca, co samocheąc rzuca się w przepaść. Lecz przestańmy o tém, bo mię to boli i straszy. Już mam dwóch takich waryatów, których kocham, i o których się lękam, Eugeniusza i ciebie. Nie chcę być trzecim.

Kański umilkł, a Ignaś rzuciwszy okiem na wszystko, co było w pokoju, dodał:

— To jakieś widać modniarki?

— Matka ma nie wielki kapitalik— rzekł Kański— którego dochód powiększają pracą. Nie jestto zakład publiczny i głośny. Pracują prywatnie, ale że robią pilnie, akuratnie, z gustem i nie zdrzierają nikogo, znane są w celniejszych domach

i mają roboty dosyć, która im pomaga do uczciwego życia, i pomogła do wychowania tych przeszłych dziewczynek. Patrz i pianino jest, i nóty są i książeczki także. Matka to rzadka kobieta.

— Jakże się nazywa?— zapytał Ignas— boś mi tego jeszcze nie powiedział.

— Nazywa się Jelewska— odpowiedział Kański.

— Jelewska! Jelewska!— zawołał Ignas biorąc go żywo za rękę.— Bój się Boga człowieku! nie żartujesz?

— Dla czegoż bym miał żartować— odpowiedział Kański, cokolwiek zadziwiony wzruszeniem Ignasia.— Nazywa się Anna Jelewska, a tam Paulina i Julija Jelewskie, jej córki.

— Toby była rzecz szczególna!— mówił Ignas trąc czoło.

— Cóż takiego— zapytał Kański.

— Czyż zapomniałeś— odpowiedział pierwszy— że moja matka Jelewska, że ta ciocia Teresia, którą szanujesz i kochasz, Jelewska!

— A prawda, prawda, nie przyszło mi to na myśl— rzekł Kański, i uderzając się ręką w czoło dodał:— Otoż ze mnie roztrzepaniec, że też mnie

to podobieństwo nazwisk nie uderzyło i nie zapytałem się nawet, jaki to Jelewski był mężem tej pani. Kiedyż bo przy tych czarnych oczach panny Pauliny to się o bożym świecie nie myśli i Bóg wie, gdzie człowiek jest sercem i duszą. Ale dowiemy się wkrótce; bardzo być może, że to twoje krewne.

— Dałby pan Bóg!— rzekł Ignas, i twarz jego rozpromieniła się dziwną radością.

Wtedy weszła matka, z paczką sprawunków pod pachą, kobieta już nie młoda, blada, rysów na pierwszy rzut oka niekształtnych, nie wielkiego wzrostu i znacznie ułomna. Gdy się pierwsze przywitanie i rekomendacja skończyła, i Ignas z zajęciem przypatrywał się jej bliżej, postrzegł, że prześliczne oczy zostały jej jeszcze i że były takie same, jak te, co go w panny Julii uderzyły, że uśmiech pełen wdzięku i głos, okazujący pewną serdeczność i dobroć, zmieniały zupełnie twarz tej kobiety, gdy mówiła, że ją w tym nawet wieku robiły nie brzydką i zjednywały dla niej tych wszystkich, których ująć chciała.

— Gdzież to moje panny?— zapytała siadając i wskazując miejsce swym gościom.

—Uciekły— rzekł Kański— i już blisko pół godziny, widać z namowy panny Julii, siedzą w drugim pokoju i nie pokazują się.

— Musiałeś pan coś przeskrobać— mówiła z uśmiechem pani Jelewska— bo choć Julcia swywolna, ale niegrzeczna by nie była, zwłaszcza przy obcym, którego pierwszy raz widzi.

— To też właśnie za karę zostawiła nas tu— mówił Kański— i kazała mi samemu bawić gościa, któremu przyprowadził. A cała moja wina ta, żeśmy zastali drzwi niezamknięte na klucz, że drzwi cichuteńko otwierają się i nie skrzypią, i że nie chrząknął wszedłszy.

Pani Jelewska zaśmiała się, a Kański mówił dalej:

— Ale proszę pani, jak miałem chrząkać, kiedy nam się udało być świadkami ślicznej sceny. Zastaliśmy pannę Paulinę wystrojoną jak na bal i udającą wielką panią, a pannę Julię udającą pociesznie modniarkę, która stroi elegantkę i pochlebia jej, że jej tak bardzo do twarzy.

Pani Jelewska obejrzała się na stół i rzekła:

— Ach! to zapewne Paulinka przymierzała ubranie generałowej, które jej na poniedziałkowy

bal do zamku gotujemy. Co też to za swywolnice!

Gdy to matka mówiła, drzwi od bocznego pokoju otwarły się i obie siostry, jednakowo zupełnie ubrane, podobne do siebie jak dwie kropelki rosy, objawszy się wspólnie, weszły z uśmiechem na ustach i z figlarném i wesołym wejściem tych osobliwych oczów, które je jedynie rozróżniały, a były jednakowo piękne i błyszczące.

— Chodźcie, chodźcie— rzekła matka patrząc z miłością na śliczne dziewczęta— i nawzajem przeproście pana Aleksandra i jego przyjaciela, żeście ich tak zostawiły.

— Nie mogłam się tak pokazać, moja mamo— mówiła Paulina— byłam w cudzych piórach, i służyłam Julci za manekina do przymierzania tój parady, co nie dla mnie.

— A ja musiałam najprzód rozebrać Paulinkę— mówiła żywiej Julija — i ostrożnie poskładać te bogactwa, z których pani generałowa powinna być bardzo kontenta, nieprawdaż panie Aleksandrze?

— Zapewne rzekł Kański.— Jeżeliby choć przez

pół w tém wszystkiém tak wyglądała, jak panna Paulina, to powinna być kontenta.

— Otóż ma mama sąd o sukni, i sąd zupełnie bezstronny!— mówiła panna Julija uśmiechając się i poglądając na siostrę zarumienioną i na Kańskiego, który z niej nie spuszczał oczów.— A potém, trzeba mamie wiedzieć, że pan Aleksander....

— Resztę już wiem— przerwała matka, i obracając się do Ignasia i wskazując na dzieci swe, dodała:

— Córek mych rekomendować panu nie potrzebuję. Zarekomendowały się same, trochę niegrzecznie, bo panów nie przyjęły jak należało; ale proszę im to darować, kiedy się tłómaczą.— Potém ukazując dzieciom swym Ignasia, mówiła:— Pan Ignacy Zabuzski, kolega szkolny i przyjaciel pana Aleksandra.

Panny skłoniły się, a Julija znowu spojrziała na Ignasia takim samym wzrokiem, jak wtedy, kiedy wychodziła. Ignaś zapłonił się, a matka przypatrując mu się ciekawie rzekła:

— Przepraszam, że przy piérwszój znajomości, wdaję się w takie zapytania, które mię z blizka

interesują. Nazwisko pana mocno mię obchodzi. Stryjeczna siostra nieboszczyka męża mego była za Zabużskim.

— Maryanna— rzekł Ignas drząc od wzruszenia.— To moja matka!

— A mężem moim był Paweł Jelewski— mówiła ze łzami w oczach.

— Mój krewny— zawołał Ignas patrząc z dziwnem zajęciem na rozrzewnioną kobietę i ściskając jej ręce.— Więc ja tu znajduję rodzinę? więc pani mię przyjmiesz jako blizkiego, więc to.... to będą moje siostrzyczki!

Potem rzucając się na szyję Kańskiego i ściskając go ze wzruszeniem, którego źródła jeszcze nie pojmował, zawołał:

— O przyjacielu! niech ci Bóg płaci za tę chwilę szczęścia, jaką mi dałeś. Oto moja ręka Olesiu! ja twój do śmierci; tego momentu nigdy ci nie zapomnę.

Jaka była ogólna radość, łatwo sobie wyobrazić i my rozmazywać jej i psuć słowami nie chcemy. Matka poglądała na niego z wyrazem przywiązania, objęła nawet jego głowę i pocałowała go w czoło. Paulinka, która kochała Kań-

skiego, ucieszyła się niezmiernie, że jej kuzynek jest jego tak serdecznym przyjacielem, i ze swęj strony przypisując kochankowi tę radość, jakiej doznawała, podziękowała mu serdeczném ściśnieniem ręki. Gdy dano herbatę, krzątała się koło Ignasia, częstowała go najlepszymi ciasteczkami, które się znalazły w mgnieniu oka, i co moment nazywała go braciszkiem. Przy tém ożywieniu tak była piękna, tak wdzięczny rumieniec okraśniał jej lica, tak się roziskrzyły cudne jej oczy, że Ignas nie dziwił się wcale temu oczarowaniu, jakie padło na jego przyjaciela i miał go za wytlómaczonego, że o wszelkiem rozsądném rozważaniu dalszych skutków takiej miłości zapomniiał. Mniej radości, mniej uniesienia okazywała żywa zwykle i energiczniejsza Julia. Nie tak śmiało garnęła się do Ignasia, jak jej siostra, poważniej przyjęła tę wiadomość, że to jej krewny, niby na chwilę posmutniała, a ten wyraz *brat*, *bracie*, *braciszku*, który Paulinka wymawiała z taką umyślną wystawą, jakby nie chciał wyjść z jej ust i piersi. Ignas tego wszystkiego nie uważał; on był nad wszelki wyraz szczęśliwym. Ale widział to Kański i zanoto-

wał. Pierwsze to jednak wrażenie przeminęło; wkrótce i Julka wróciła do zwyczajnego swego humoru; gadali i bawili się, śmieli się i śpiewali, i ani postrzegli, jak uderzyła dziewiąta, i bęben na placu przed zamkiem dał się słyszeć. Wtedy Kański, który o obowiązkach swych rzadko zapominał, przypomniawszy, że ma jeszcze dziś wysłuchać lekeyi swoich maleców, porwał za kapelusz, pożegnał się, i Ignasia wyprowadził. I matka i córki zaprosiły ich na jutro na obiad, który miał być punktualnie o trzeciej, i pożegnały równie uprzejmie, równie serdecznie obydwóch.

Pod kolumną Zygmunta przyjaciele się rozeszli, a Kański obiecał wyprosić się jutro z bióra o godzinie dwónastej i przyjść do hotelu Smoleńskiego z tém wszystkiém, o czém się dowie. Ignaś został sam jeden. Stał on jeszcze długo na placu, patrząc na migające tu i ówdzie światła, przysłuchując się gasnącemu coraz i ucichającemu ruchowi miasta, i z głową pełną najwdzięczniejszych obrazów, z sercem pełném uczuć, jakich jeszcze nigdy nie doznawał, poszedł zwolna do stancyi. Z godzinę jeszcze chodził po

pokoju i myślał, aż zmęczony przeszłą bezsenną nocą, drogą, bieganiną po mieście i tak niespodziewanemi wzruszeniami, jakich doznał, rozebrał się prędko, rzucił się na twarde i źle posłane łóżko, i mimo to wkrótce zasnął. Wszakże nim zasnął, widział dobrze rozsądny i wyrachowany Ignaś, że ciemne, błękitne oczy, obwiedzione długą rzęsą, czarną jak heban, schylały się ku niemu i mrugnęły mu słodko na dobranoc.

Nazajutrz Ignaś obudził się o godzinie ósmej. Skoro otworzył oczy, stanęły w myśli jego wczorajsze obrazy, i te miłe, te piękne twarze odrysowały się żywo i napełniły go szczęściem i wdzięcznością dla Stwórcy, który sierocą drogę jego takimi zasiał kwiatami. Nie wątpił on już, że mu się powiedzie, gdy taki początek pokrzepił i wzmocnił jego nadzieje. A przynajmniej w każdym razie będzie pewnym, że w dobrych tych sercach znajdzie współczucie, że będzie miał gdzie się użalić, gdy mu się nie uda, że znajdzie pociechę i umocnienie, gdy mimo pracy i usiłowania nie dojdzie do niczego takiego, coby dalszy jego los zapewniło. Nigdy on jeszcze nie doznawał téj radości jaką daje przywiązanie

krewnych. Oprócz bowiem ciotki Teresy, pozostałych nawet nie znał. A tu niespodziewanie znalazł takich, jakich nawet wymarzyć sobie nie mógł: nie obojętnych, nie zimnych od egoizmu i zajęcia sobą, nie bogatych, do którychby nie miał śmiałości, ale dobrych, wylanych, pracujących na kawałek chleba, tak jak i on pracować będzie, a nadewszystko nie bardzo blizkich, co go jakoś dziwnie cieszyło, za co najwięcej w duchu dziękował Panu Bogu, choć wyraźnie nie śmiał sobie powiedzieć, dla czego mu ta ostatnia okoliczność tak miła, dla czego całe jego szczęście byłoby insze, mniejsze, a może nawet zepsute, gdyby ten stosunek pokrewieństwa był bliższym i ciaśniejszym.

W takich myślach, takiemi przejęty uczuciami, ubrał się co prędzej, poszedł na ulicę Śto Jańską, spójrzył na zielonkawą, wysoką kamienicę, przeczytał pilniej napis: *Adsto Vestibulo Templi* i t. d., na który wczoraj mniej zważał, i popatrzywszy w okna trzeciego piętra, w których tylko białe poruszały się firanczki, przesłał myślą kuzynkom swoim dobrydzień, i wszedł do fary, gdzie w kaplicy Matki Boskiej ukląkł i

serdecznie się pomodlił. Potém udał się na kawę, na rogu Podwala; a posiliwszy się, gdy obaczył, że dopiero dochodzi dziesiąta i do południa jeszcze daleko, zamiast oczekiwać przybycia Kańskiego w stancyi, postanowił pójść od razu do ciotki Herminii, i zaspokoić się w tój gryzącej trosce, która go szczerze i mocno trapiła.

Przed wskazaną mu w liście Eugeniusza apteką postrzegł piękny kocz. Ciemno szpakowate konie w srebrzystych szorach, żuły wędzidło i biły o bruk potężnymi kopytami; furman, w granatowój liberyi, ze złotemi sutemi galonami, siedział z pompą na koźle, i w rękach okrytych białemi rękawiczkami trzymał elegancki bicz, którego jedwabnym końcem poświstywał. Widok tego powozu tknął jakoś Ignasia, chociaż sam nie wiedział, z kąd mu się wzięła ciekawość przypatrywania się rzeczy tak zwyczajnej w Warszawie. Postawszy przez niejaki czas, zapytał woźnicę:

— Czyj to powóz, kochanku!

— Bankiera Glücksona— odpowiedział furman, machnąwszy biczem tak, że konie się poruszyły i wyrzuciwszy łbami, nastawiły uszy.

— Piękny ekwipaż! — rzekł znowu Ignas, żeby coś powiedzieć i pokazać że nie darmo zapytywał.

— Aj wuj! czy to u nas takie są? — odpowiedział furman z uśmiechem, i szydząc widocznie z pochodzenia swojego pana, od którego grubo był płatny.

Bohater nasz nie śmiał już dalej wypytywać się, chociaż coś mu szeptało, żeby się dowiedzieć, gdzie i u kogo jest tu właściciel tego ekwipażu. Wszedł więc do apteki i zapytał młodego człowieka, preparującego lekarstwa, gdzie mieszka pani Tonieka.

— Obok z prawej strony, na pierwszym piętrze — odpowiedział młodzieniec, i dziwnie się jakoś uśmiechnął.

Wszystko to ubodło Ignasia tak, że gdy stanął na pierwszym piętrze, serce mu okropnie biło i ręka drżała, kiedy brał za dzwonek. Przez chwilę zawahał się, czy pociągnąć za rączkę, czy nie? czy wyrzec się wyjaśnienia tej tajemnicy, która mu ciążyła, czy przekonać się od razu o prawdzie, i potem zapomnieć raz na zawsze o tym stosunku, co ich tak blisko łączył. Ale równie słowa Eugeniusza, jak i słowa Kańskiego były wątpliwe;

wyrażały tylko podejrzenie, które mogło być mylném i pozbawiłoby go téj rozkoszy, jakiejby doznał, przekonawszy się, że w życiu jego krewnej nie ma nic zdrożnego, że w jéj przywiązaniu znajdzie dopełnienie tego szczęścia, jakie mu się na samym wstępie w tém miejscu obcém, i gdzie tak łatwo zgubić się można, uśmiechnęło. Tą potrzebą serca swego umocniony, pociągnął śmiało za dzwonek.

Po kilku sekundach otwarły się drzwi i Ignasz wszedł do niewielkiego, ale bardzo porządnego przedpokoju. Przed nim stał mężczyzna już nie młody, nie zbyt słuszny, otyły, z wielką wykwinnością ubrany. Na głowie miał kapelusz, w ustach doskonałe cygaro, którego dym roznosił miły zapach, w ręku trzymał kosztowną laseczkę i ogromny arkusz francuzkiej gazety. Wielka, brylantowa spilka tkwiła w batystach jego koszuli, z aksamitnej kamizelki wyglądał misterny łańcuszek od zegarka, a bóty lakierowane połyskały jak zwierciadło. Całe to ubranie, równie jak twarz ciemna, z grubemi i wydatnemi rysami, okazywała człowieka, o którego fortunie i pochodzeniu nie można było wątpić ani na chwilę. Jakkolwiek bo-

hater nasz nie miał jeszcze doświadczenia i nie widział ani w Lublinie, ani na wsi przemożnych naszych Warszawskich magnatów, którym zabiegłość i przemysł stały za herb i urodzenie, pewnym był jednak, że widzi przed sobą bankiera Glücksona, owego *aj waj!* z którego drwił sobie jego własny furman. To go tak zmieszało, że nie wiedział, co powiedzieć.

P. Glückson, bo w rzeczy samej to był on, spójrzył jakoś podejrzliwie na ładnego młodzieńca, i wyjmując z szerokiej gęby sygare, rzekł z właściwym tym panom przyciskiem, przez który starają się dać poznać, że dobrze mówią po polsku:

— Czego pan tu sobie życzył?

— Przepraszam — odpowiedział Ignas — musiałem się pomylić. Powiedziano mi, że tu mieszka pani Tonicka.

— Nu, ona tu mieszka, ale czego pan od niej chcesz? — zapytał bankier, podnosząc głowę i mierząc wzrokiem młodzieńca, na którego twarz krew występowała.

— Chciałem się z nią widzieć — odpowiedział Ignas śmieliej i dumniej.

— A któż pan jesteś za jeden, że się chcesz z nią widzieć?— zapytał bankier.

— Nazywam się Ignacy Zabuzski, przybyłem wczoraj do Warszawy, i mam potrzebę widzenia się z P. Tonicką— mówił Ignas.

— Wczoraj pan przybywasz? to dobrze— mówił bankier. — A z jakich pan Zabuzskich? czy nie z tych, co z nich jeden jest mój przyjaciel kasztelan?

— Jestem daleki krewny kasztelana— odpowiedział Ignas — z jakich zaś pochodzę Zabuzskich, to P. Tonicka będzie lepiej wiedziała, niż pan, który nie wiem dla czego mnie tak egzaminujesz.

— Nu, to nie jest żaden egzamen— rzekł bankier krzywiąc się— ja się tylko tak pytam. Ale chodź pan tu bliżej, to ona może do pana wyjdzie.

I obróciwszy się poszedł naprzód nie zdejmując wcale kapelusza. Bohater nasz chciał po prostu uciec, tak mu się serce ścisnęło. Prawie pewnym już był, że ciotka jego jest kobietą upadłą, na którąłoży izraelski bogacz. Ale przyszło mu na myśl, że jest wdową, że może bankier jest już ochrzczonym, że może złudził ją widok dóbr i perspektywa milionów, któremi obraca, i że stara

się przyprowadzić go do uczciwego związku. Tym sposobem perswadując sobie i łagodząc tę przykrość, jaką mu sprawiało to wszystko co widział, wszedł także, chcąc koniecznie się z nią obaczyć i ostatecznie przekonać, jak rzeczy stoją.

Salonik był także nie wielki, ale z przepychem i gustem przybrany. Wszędzie był axamit i mahoń, brzozy i złoto, zwierciadła i malowidła. Spójrzawszy na to wzgardliwie uczciwy Ignas, i niechcąc się dotykać nawet tych mebli, może wstydem krwi jego nabytych, nie usiadł, ale stał na środku na pięknym kobiercu, który cały pokój zaścierał. Bankier spójrzawszy na niego i rzekł:

— Siadź pan tymczasem, ja się spytam—i zapukawszy do drzwi nie zupełnie zamkniętych dodał:— Pani Tonicka! Pani Tonicka!

— A cóż tam? — odezwał się z drugiego pokoju miły głos, na który wstrząsł się Ignas, bo mu głos ciotki Teresy przypomniał.

— Masz tu pani Tonicka gościa— mówił bankier—który chce się z panią Tonicką obaczyć. On przyjechał wczoraj do Warszawy. Niejakie pan Zabuzski.

— Czy Eugeniusz? — odezwał się znowu głos z drugiego pokoju.

— Czy pan jesteś Eugeniusz, bo nie uważałem jak pan mówiłeś swoje imię— spytał bankier, obracając się do Ignasia.

— Jestem Ignacy Zabuzski— odpowiedział niechętnie zapytany.

— To jakieś pan Ignacy Zabuzski— mówił znowu bankier, obrócony do drzwi.

— Ignas!— zawołała głośniej Herminija.— W ten moment wyjdę, tylko się ubiorę. Zaczekaj chwilę Ignalku!

— To pan zna dobrze pani Tonickę, że ona mówi panu Ignalku? — zapytał bankier.

— Widziałem ją, jakim był dzieckiem— odpowiedział młody człowiek.

— A dla czegoż ona mówi panu Ignalku? — zapytał znowu zakłopotany widocznie milioner, puszczać dla fantazy duży kłęb dymu.

— Zgadnij pan— mówił Ignas czerwieniąc się.

— Co ja mam zgadnąć? zapewne pan jaki krewny pani Tonickiej — mówił bankier.

Ignas chciał się zaprzecić swego pokrewieństwa, chciał głośnym słowem wzgardy upokorzyć ciotkę;

ale w tejże chwili drzwi się otwały i wybiegła z drugiego pokoju przystojna bardzo, z wielkim gustem i elegancją ubrana kobieta. Na twarzy, odrobinę podróżowanćj, widać było, że trzydzieści lat już dobrze minęło, ale oczy jęj błyszczały, usta ślicznie uśmiechały się i okazywały zęby jak perły; figurka nie zbyt wielka, ale była tak zgrabna, tak kształtna i zwinna, i całość miała tyle wdzięku i powabów, że Ignas na chwilę zapomniał o bankierze, który zdiał kapelusz, i na swoje bóstwo patrzył rozmiłowanem okiem.

— Więc ty jesteś Ignas? — rzekła przystąpiwszy do bohatera naszego, i podała mu białą i pulchną rączkę, którą młody człowiek wziął zimną dłonią, ale jęj do ust nie podniósł. — Jakiś już słuszny! Nie widziałam cię już lat piętnaście! tak, prawie piętnaście. Nie tyle przypominasz matkę co Eugeniusz, ale jednak jest, jest coś i w twojęj twarzy, co mi mówi o biednej naszej Maryni.

Gdy Ignas stał nieporuszony i nie odpowiadał, Herminija postrzegła się widać, spuściła oczy, potarła ręką czoło i obracając się do bankiera, rzekła:

— Dziękuję panu za tę grzeczność, jakąś mi

chciał wyświadczyć, ale już z niej korzystać nie będę.

— Jako? pani nie pojedziesz? — zapytał bankier zmieszany.

— Nie pojedę — odpowiedziała stanowczo.

— Jakże będzie z projektem? — zapytał znowu.

— Tak będzie, że dziś nie pojedę. Jedź pan sam i obacz — mówiła z kapryśną miną.

— Ja już widziałem, ja chciałem, żebyś pani obaczyła — mówił bankier, rzucając na nią wzrok proszący.

— Proszę mię nie nudzić, bo nie pojedę wcale, i nie widzieć nie będę — rzekła odwracając się.

— Masz tu pani lożę na dzisiejsze widowisko, na pierwsze piętro — mówił bankier, chcąc ją ubłagać i niechętnie zabierając się do wyjścia.

— Dziękuję panu, a teraz do widzenia — rzekła kiwnąwszy mu głową.

Bankier wziął jej rękę, cmoknął parę razy, i spojrzawszy jeszcze raz z wyrazem i przywiązania i zazdrości, wyszedł. Gdy się drzwi za nim zamknęły, wtedy Ignas odstał od niej, usiadł, zakrył twarz dłońmi, i nie mogąc powstrzymać wzruszenia swego, zaczął płakać.

—Ignalku! co to jest? czegoż ty płaczesz?—
zapytała go zawstydzona Herminija.

—Biedna ciociu!— zawołał wówczas młody
człowiek powstając— wszak to żyd.

Herminija zaśmiała się, a Ignas spojrział na
nią boleśnie, porwał za kapelusz i uciekł. Ten
jój śmiech wytłómaczył mu wszystko.

Powróciwszy do stancyi, nie mógł sobie dać
rady. Żal i wstyd miotały nim na przemiany.
Nie mógł on pojąć, jakim sposobem kobieta tak
miła, tak pełna wdzięku, tak nawet dobra, bo
to widział z jój twarzy, czuł w jój głosie, i po-
znał dawniej z dwóch czy trzech listów, które do
ciotki Teresy pisała, mogła się tak dalece poni-
żyć. Nie wiedział on do czego doprowadza wszę-
dzie, a szczególnie w Warszawie, miłość tych
świątecznych gałganków, któremi kobiety nasze tak
lubią się obwieszać; jak nisko zrzuca próżność
i chęć błyszczenia meblami i powozem; w jakiej
kałuży tkwią nogi tych, na których szyi świecą
brylanty w łożach teatru, których ręce ściśnięte
białą rękawiczką, okute w kosztowne bransolety,
trzymają ogromną lunetę ze słoniowej kości i

zwracają ją częściej do krzesel niż na scenę. Ignaś od wczorajszego dnia zaczynał pojmować miłość, ale nie pojmował takiego handlu, takiego rodzaju przemysłu, tak obrzydliwego zarobku. Odsuwał więc od siebie ten obraz, który w nim budził wstręt, i usiadłszy przy swym stole, wsparłszy głowę na rękę, uciekał od tych pięknych kobierców, od tych aksamitnych kanapek i krzesel, od tych zwierciadeł, gdzie widział odbijającą się postać brzydkiego żyda z hardą miną i cygarem w gębie, a chronił się myślą na trzecie piętro, do pracowitego kącika uczciwych kobiet, gdzie mu wszystko wydawało się tak piękném, tak czystém, jak ich serca, tak niewinném jak ich swywola, tak harmonijném, jak ich głosy, tak błyszczącém jak te oczy, któremi go pożegnały, które jeszcze przed okiem jego duszy w chwili zasypiania błysnęły.

W takiej pozycyi, i w takich pogrążonego myślach zastał go Kański. Wszedł on cicho i nie śpiewając, bo nie miał wesołej nowiny, ale uśmiechnął się, widząc przyjaciela tak zamyślnego, że nawet przyjścia jego nie słyszał.

— Stawię się na termin, kochany Ignasiu—

rzekł Kański— sama dwónasta. Mamy czas do pogadania.

— Dziękuję ci— odpowiedział Ignas wyciągając do niego rękę.

— Ale coś chmurny jesteś i zmieniony. Czy to wczorajsza nasza wizyta tak cię osępiła?

— Nie wczorajsza— odpowiedział młodzieniec— we wczorajszej szukam pociechy i oczyszczenia od tego błota, w które dziś wstąpiłem.

— Nie rozumiem cię— rzekł Kański, stawiając kapelusz i układając na nim laseczkę swą, jak wczoraj.

— Byłem u mojej ciotki— odpowiedział Ignas powstając.— Wszystko czegoś mi wczoraj powiedzieć nie chciał, a com z twojej miny i z twych oczów wyczytał, prawda.

— To magnat, drogi Ignalku— mówił Kański uśmiechając się— człowiek z wielkiem znaczeniem. Gdybym cię nie znał, tobym ci poradził, żebyś zamknął oczy na niektóre drobiazgi moralne, a korzystał z jego wpływu. Protekcyja to pewniejsza, niż wszelka inna. Popchnąłby cię prędko.

— Fe!— odpowiedział z oburzeniem niedawny

gimnazista— wolałbym z torbą i z kijem wyjść z Warszawy.

—Więc zapomnij o tém.

—Zapomnę— mówił Ignaś ozywiając się— Śto Jańska ulica najlepiej mi do tego dopomoże. Jeszcze raz ci dziękuję, że tam pierś moja będzie mogła odetchnąć świeżem powietrzem, i oko moje zdoła spocząć na twarzach aniołów, nieskażonych żadną myślą próżności i zepsucia.

—Bodaj czy już nie takim okiem patrzysz na nie, jak ja— rzekł Kański.

—Nie mówmy o tém— odpowiedział roztropny młodzieniec.— Nie zarzekam się, żeby to nie przyszło. Ale jeżeli przyjdzie, to będzie świętością, ukrytą tu, której nie dotknę słowem, żeby się z niej technienie boże nie starło. Czy masz mi co pociesznego powiedzieć?

—Otóż to właśnie bięda, że nie mam— rzekł Kański.— Dla tego przyszedłem tu nie śpiewając, choć czuję, że jestem przy głosie, i wczorajszy duecik brzmi mi jeszcze w uszach. U nas nie pomieścisz się. Oprócz zwyczajnej liczby aplikantów, którzy mogą mieć jakąś nadzieję otrzymania jakiej takiej płacy, jest jeszcze ośmiu nad-

kompletnych, którzy pracują, tak sobie na wiatr, żeby tylko niepróżnować i muszą czekać, aż tamci sprzykrzą sobie i wyjdą, lub się posuną dalej. Ale na to trzeba lat, i może trzech, czterech i pięciu. Zmarnowałbyś młodość i wyczerpał wszystkie siły i zasoby jakie mieć możesz. Trzeba szukać miejsca gdzieindziej.

— Wszystko mi to jedno— odpowiedział Ignasz— byle nie w sądownictwie. Tam się nie zdam. Prawa nie uczyłem się i nie mam usposobienia do tego zawodu i tej nauki. Nie lubię zaś robić tego, czego nie robię chętnie, i czego nie potrafię wykonać śmiało i dokładnie.

— Będziesz musiał udać się do referendarza— rzekł Kański.— On w inszém biórze administracyjném zajmuje wysoki stopień, a dowiedziałem się dzisiaj u nas, że ma tam powagę i znaczenie. Rekomendacya jego pomoże ci; a bez rekomendacyi i protekeyi trudno wszędzie. Mnie się tylko udało szczęśliwie— dodał z zaufaniem— bo też trafiłem na człowieka, który nawet po dobrym obiedzie czuje to i pojmuję, że inni mogą być głodni. Ale takich jest mało. Nie wielu wchodzi w położenie biednych młodych ludzi, któ-

rych przez ośm lat pędzą do nauki, a jak się nauczą, to ich odpędzają od wszystkich drzwi, gdzieby ta nauka mogła załatać ich dziurawe boty i zaszyć popruty pod pachami surducik. Jestto nieludzkość, której nie jeden u nas z ludzi możnych, mających wpływ i mogący podać rękę chętnemu do pracy chłopakowi, dopuszcza się, a której zapewne nie dopuści się referendarz, przynajmniej względem ciebie, który przecież jesteś jego krewnym i nosisz to samo nazwisko.

— Obaczymy — rzekł Ignas — pójdę jutro. I tak miałem pójść i dać mu się poznać. Wolałbym o nie nie prosić, gdyby się bez tego obeszło. Ale gdy nie może być inaczej, cóż robić! trzeba pychę z serca zrzucić.

— Przecież to obowiązek — mówił Kański. — Nie prosisz go o jałmużnę. Zaprotegowanie cię nie wiele go kosztować będzie. Kilka słów powie, i basta. Pieniążki będą i bez niego.

— A to zkąd? — zapytał Ignas.

— Mam dla ciebie w perspektywie — odpowiedział Kański — nie złą korrepetycyjkę matematyki. Jutro dowiemy się szczegółów. Pójdziemy pod *gruszkę* na *chléb* z *obiadkiem* i tam je-

den z kolegów powie ci, gdzie to jest i jak się ułoży.

— Na chleb z obiadem?— zapytał Ignas ciekawie.

— Uważaj to dobrze: nie na *obiad z chlebem*, ale na *chleb z obiadem*— odpowiedział dyetaryusz śmiejąc się.— Bo pojmujesz to, że za złoty i groszy trzy, musi być więcej chleba, jak obiadu. Wszakże w restauracyach naszych, a szczególnie pod *gruszką*, gdzie się schodzą aplikanci, goli po większej części, jak święci tureccy, gdzie się zbiera cały ten drobiazg etatowy, któremu się nie wiedzie, i który musi czekać słońca, a tymczasem rosa wyjada mu oczy, nie idzie o marcepany i francuzkie ciasta, ale o to, żeby jakkolwiek głód odpędzić, obaczyć się, pogadać, pośmiać się wspólnie, pożyczyć bilet obiadowy temu, który już na jutro nie ma ani grosza przy duszy, ani biletu w kieszeni, i tym sposobem jako tako zamydlić oczy biedzie, zaglądującej przez wszystkie szpary surduta i butów.

— Dobrze— rzekł Ignas, siadając i ścierając z pięknego czoła swego przykre myśli, jakie mu dzisiejsze odwiedziny nasunęły.— Pójdziemy ju-

tro pod *gruszkę*. Dziś mamy miłszy obiadek, który ciebie nasyci, choćby tylko składał się z onegdajszego chleba, a rosółu i mięsa wcale nie było. Nie prawdaż Olesiu?

—A ciebie Ignalku?— zapytał Kański uśmiechając się z twarzą rozjaśnioną, wyrażającą miłość głęboką i serdeczną. Ignas zaczerwienił się i odpowiedział:

—Powiedz mi, jakim sposobem poznałeś się z niemi?

—Trafem kochanku— odpowiedział Kański—trafem szczęśliwym, takim samym, jak wynaleziono szkło, proch, druk i Amerykę.

—Przecież Ameryki nie wynaleziono— rzekł Ignas śmiejąc się.

—Owszem, owszem— odpowiedział Kański—wynaleziono ją tak, jak ja wynalazłem Święto-Jańską ulicę, a na niej ten dom z napisem. Wyobraź sobie, jak Kolumbowi uroiło się, że coraz dalej i dalej na zachód musi być ziemia, tak i mnie skorom odkrył Święto-Jańską ulicę, a na niej ten dom, który o sobie powiada, że stoi w przedsięwzięciu świątyni, wbiło się w głowę, że tam coraz wyżej i wyżej jest dla mnie zbawienie. Nim

więc przyjechał Jaznicki i ofiarował mi u siebie stół i stancję, chciałem koniecznie zamieszkać w tym domu. Chodziłem więc co tygodnia patrzeć czy nie ma na nim wywieszonej karty. I cóż powiesz? bolało mię to, robiło się ciężko na sercu, jak gdyby kto przedemną świat zamykał, gdy nadedrzwiami było pusto, a ładna szewcowa, która tam w sklepiku sprzedaje skury, powiedziała mi, że wszystkie lokale zajęte. Ale rok temu właśnie przyszedłem znowu obaczyć. Karty nie było, ale szewcowa stała we drzwiach swojego sklepiku, i śmiejąc się, notabenc wcale ładnie, bo ma prześliczne zęby, rzekła:

— Panu widzę koniecznie chce się tu mieszkać. Otóż powiem panu, że od Śgo Michała jeden kancelista wyprowadza się, i będzie pokoik do najęcia, ale aż na czwartém piętrze.

Nie dałem sobie dwa razy mówić. Pobiegłem, obaczyłem i tego samego dnia najałem. Ciasno tam było, brudno; biédak co tam mieszkał, ostrzegał, że zimno i dymno, ale ja byłem tak uszczęśliwiony tym nabytkiem, jak gdybym wielki los wygrał. Zkąd się to we mnie wzięło, dla czego uważałem to za jakąś konie-

czność, której wymijać i lekce jej ważyć nie powinienem, tego nie wiem. I jeśli by kto wziął się rzecz tak dziwną i tajemniczą wytłómaczyć, daremnie nałamałby sobie głowę, i nicby nie odkrył. Że jednak tak było, za to ci ręczę, i to do tego stopnia, że w nocy budził się w niecierpliwości i oczekiwaniu kwartałowego terminu, i jeszcze kancelista nie zupełnie się wyniósł, gdy już moje manatki były w stancyjce, z której okienka mogłem wszystkie wróble na dachu kościoła pojezuickiego policzyć. Rzeczywiście, nie było mi tam dobrze. Tanio wprawdzie, ale okropnie wysoko, brudno, usługi żadnej, tak, że musiał sam zamiatać i wodę sobie nosić; przytém w dzień ciągły krzyk i kłótnia jakiegoś niezgodnego małżeństwa, które mieszkało obok, a w nocy płacz i pisk chorowitego ich dziecka. A jednak byłem spokojny i wyglądałem skutku tego natchnienia, które mię tu przyciągnęło. O sąsiadów moich nie wypytywałem się, bo o tём w Warszawie nikt nie myśli, i najczęściej ci, co w jednym domu mieszkają, albo nie znają się wcale, albo się porządnie nienawidzą. Ale raz, w półowie października, kiedym wracał z pod *gruszki*

uderzył mię śliczny śpiew na trzecim piętrze. Stałem więc oparłszy się o tę potężną dębową balustradę, gdzieśmy wczoraj stali, i słuchałem. Śpiew prędko ucichł, nie zaczynał się na nowo, i ja postawszy jeszcze z kilka minut, pobiegłem na górę z uszami pełnymi tych skowronkowych tonów. Nazajutrz idąc do bióra, wstąpiłem do ładnej szewcowej i zapytałem jej, kto mieszka na trzecim piętrze od frontu. »Pani Jelewska», odpowiedziała mi uśmiechając się, bo się zawsze uśmiechają wszystkie kobiety, które wiedzą o tem, że nie brzydkie. Ja chciałem czegoś więcej się dowiedzieć. Zmiarkowała to widać sprytna blondynka i dodała: »Warto, żebyś się pan poznał. Pani Jelewska bardzo dobra kobiecina, pracuje i stara się jak może, ale ma dwie córeczki, śliczne jak laleczki.» Nic śmiałem dalej wypytywać się, i wkrótce siedziałem przy swoim stoliku i zepsułem parę arkuszy papieru, omyliwszy się w milionach, którem zliczał. Gdy przyszła niedziela i miano grać nową sztukę, kupiłem sobie bilet na galeryą skoro tylko otwarto kassę. Jako prawdziwy amator poszedłem wczesnie i czekałem na otwarcie teatru. Obok mnie była

jakaś pani i dwie przesłiczne panienki, trzymające się za ręce i podobniuteńkie do siebie, jak dwie krople wody. Drżały biedaczki i z ciekawości i z obawy, żeby je gdzie w ciasny i ciemny kąt nie wepchnięto. Powiedziałem sobie w myśli, że im pomogę do dostania się do pierwszej ławki. Gdy się drzwi otwarły, rzekłem z grzecznością do pań: »Trudno to będzie dostać się naprzód, bo ścisk wielki. Ale niech panie idą przedemną, a pani dobrodzika niech będzie łaskawa podać mi rękę.»— »Serdecznie dziękujemy, rzekła matka, my takie z tym natłokiem nie oswojone, że przyjmujemy przysługę pana.»— Podała mi rękę, a ja nadrabiając miną, śmiałem słowem, a w potrzebie i łokciem doprowadziłem je do drugiej ławki, zkąd doskonale było widać, i usiadłem przy nich. Żebyś mię zabił, jak cię kocham, nie wiem dotychczas, jaka była treść tej sztuki. Gdy się skończyła, śmielej już podałem rękę matce, i ofiarowałem się odprowadzić je do domu, jeżeli idą piechotą, bo już było po jedenastej i noc ciemna i wilgotna.

Dokąd że panie każą sobie służyć, zapytałem, gdyśmy się wydobyli ze ścisku i ujrzeli się na

placu. »Ach mój Boże! jakże pan będziesz się dla nas fatygować, rzekła matka, niespokojna o swoje dziewczątkę; my mieszkamy, aż na Śto-Jańskiej ulicy.» Więc idziemy w jedną drogę, odpowiedziałem, bo i ja mieszkam na Śto-Jańskiej ulicy. »Jakże to szczęśliwie!» zawołała matka. Ja nie nie odpowiedziałem, ale serce mi uderzyło i powiedziałem sobie w myśli, że to bardzo szczęśliwie. Przyszliśmy do *Przedsienia świętyni*. »My tu mieszkamy, rzekła matka, dziękujemy panu serdecznie.» I ja tu mieszkam, odpowiedziałem, i wówczas owo natchnienie, co mię tu przyprowadziło, zrobiło się tak jasnym, jak podanie Archimedesza, *centum boves*, które pamiętasz, takiś mi doskonale wytłómaczył przed egzaminem. Pokazało się, że to moje skowronki, które mnie tak zajęły; że za daną im protekcją były wdzięczne i zaprosiły mię do siebie, żem się poznał, że teraz... O! teraz wszystko będzie dobrze, chociażby *fractus illabatur orbis*, jak mówił z energiją nasz poczciwy professor, który nie wiem co umiał lepiej, czy katechizm, czy ody Horacyusza. Taka cała historia. Wytłómacz ją sobie teraz jeśliś mądry.

Ignas chodził po pokoju przez niejaki czas i nic nie mówił. Po chwili stanął przed Kańskim i patrząc na jego kamizelkę, na której błyszczał złoty łańcużek, zapytał w roztargnieniu:

— Która już godzina?

— Ba odpowiedział Kański— stanął mi zegarek— i z filuterną miną wydobyl ołowiany zegareczek za piętnaście groszy, który na to tylko był, żeby się łańcużek trzymał w kieszeni. Wtedy zaśmieli się obydwaj, uściskali się, i wzięwszy kapelusze i laseczki, obaj równie niecierpliwie wyglądający godziny trzecięj, poszli na ulicę, aby się dowiedzieć, jak prędko będą mogli stanąć tam, gdzie ich serce i myśli równie ciągnęły.

Obiad był skromny, ale smaczny i wesoły. Panienki jednakowo ubrane, w popielatych zgrabnych sukienkach, z kokardami ponsowemi pod szyję, były równie piękne, równie ożywione, i nawet Julcia śmielęj przystępowała i poufalej mówiła z kuzynkiem dziś, jak wczoraj. Matka wypytała się Ignasia o resztę rodziny jęj męża. Ze współczuciem słuchała tego wszystkiego, co młody człowiek mówił o ciotce Teresie. Nie dziwiła się wcale, że nie zna swoich rodzonych wujów,

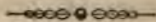
że z niemi żadnego nie ma stosunku i żadnej od nich nie doswiadczył pomocy. »Powieś ci kiedyś, dodała, jak się ze mną obeszli. Bóg mi nie dał szczęścia zbliżając mię do tój rodziny, która zepsuła moje życie. To jedyna moja nagroda, rzekła ciszej i ukazując wzrokiem na panienki, które obie szczebiotały trochę o podał z Kańskim, to jedyne, ale wielkie błogosławieństwo, które mi płaci za wszystko, com ucierpiała. Gdzież się obraca ciotka twoja Herminija.»

— Nie wiem— odpowiedział Ignas prędko.— Nie znam jej wcale. Ciotka Teresa nigdy mi o niej nie wspominała; a ja przywykły od dzieciństwa do nieinteresowania się krewnemi mojej matki, od których byliśmy zawsze zdaleka, nie miałem nigdy ciekawości zapytać.

Gdy to mówił pobladł i serce go zabolalo. Ale wolał się zaprzecć upadłej kobiety, niż dać poznać wstyd krwi swojej, i słowami, malującemi jej ponizenie, któreby mogły dojść do uszu panienek, zarumienić te czoła, przez które się pewnie żadna myśl zepsucia nigdy jeszcze nie przesunęła. Po niejakiem nawet czasie, wzięwszy niezna-
cznie na bok Kańskiego, prosił go, aby żadnem

słówkiem nie dał poznać, o egzystencyi jego ciotki, i że o niej cokolwiek bądź słyszał.

Kilka godzin przeszło niepostrzeżenie. Kański wyszedł weześniej, prosząc Ignasia, żeby nazajutrz o wpół do trzeciej był przed bramą Komisyi Skarbu, z kąd mieli razem udać się pod *Gruszkę*. Bohatér nasz został jeszcze do dziewiątej, a gdy bęben dał się słyszeć na placu zamkowym, pożegnał matkę i córki. Odedrzwi obejrzał się jeszcze i obaczył za sobą obie panienki, które objawszy się szły za nim, jeszcze raz spojrzaly wzrokiem przyjaznym, który rozjaśnił ich prześliczne oczy, jeszcze raz powiedziały mu obie dobranoc, a gdy już drzwi otworzył, Julka powtórzyła już sama: dobranoc ci braciszku! Z tém brzmieniem, które wplezło się we wszystkie jego myśli i przecinało słowa pacierza, zasnął nasz bohater, z tém brzmieniem nazajutrz się obudził.



IV.

SWIAT urzędowy Warszawski, do którego mamy szczęście należeć, stanowi zupełnie oddzielną sferę i ma wybitny swój charakter, odróżniający go od innych. Chociaż mieści w sobie indywidua z rozmaitych klas, z różnych szczebli społeczności pochodzące, chociaż tu są i panowie i szlachta, mieszczenie i dzieci pod wiejską urodzone strzechą, chrześcijanie starzej i świeżuteńkiej daty, wszystko to traci mniej więcej pierwotne swoje cechy, a przejmuje te, jakie daje hierarchia, do której wchodzi i z którą się ściśle zlewa. Pomimo więc wielkiej różnorodności pochodzenia, i ogromnego stopniowania w dochodach, możności, wpływie i władzy, składa się on, róż-

wnie jak atmosfera, z tychże samych prawie pierwiastków, rozmaicie tylko na różnych warstwach, od niższej do wyższej modyfikowanych. Jak wszystko na ziemi ma dwie strony, tak i tu jedne pierwiastki są dodatne, drugie ujemne. Do głównych dodatnych należą: *praca*, która jest wszędzie, a najcięższa i najgęściej rozłożona na dole; *nauka*, która jest mniej więcej wszędzie, a najrozległej i najobficiej rozpościera się w warstwach środkowych i górnych; *zasługa*, która także jest mniej więcej wszędzie, ale powiększa się, idąc coraz ku górze, nabiera coraz więcej mocy i wagi, tak, że na szczycie staje się najważniejszą, w miarę prawości indywidualnej, rozciągłości wpływu i skutków władzy, jaka w rękach dygnitarza złożona. Do głównych ujemnych pierwiastków należą: *niespokojne zajmowanie swojego miejsca i dążenie ciągle myślą ku górze*, ztąd zaniedbywanie się w pracy, nieoświecanie się w tém, co do obowiązku należy, umniejszanie zasługi, jakąby każdy na swoim stanowisku mógł się ozdobić; *zazdrośne poglądy na tych, którzy są na równi, aby który nie podniósł się i nie wyprzedził*, a ztąd brak koleżeństwa, poni-

żenie moralne przez zajmowanie się sprawami innych, kopanie pod niemi dołków i zaprzątanie serca trującą namiętnością, a ztąd znowu uszczerbek w pracy, we właściwem stopniowi swemu ukształceniu, w należnej sobie i krajowi zaśludze. *Wystawa, prowadząca do życia nad możność i chęć pokazania się czemścis więcej, niż się jest, niż pozwala stopień i miejsce, a ztąd długi i to wszystko, co one za sobą ciągną; ztąd albo niedostatek odbierający pokój, niszczący zdrowie, prowadzący do rozpaczyny lub do nałogu; albo wchodzenie w pewne układy z sumieniem, a ztąd nieuczciwe zarobki i przedajność, która znowu albo wyrzuca na bruk w łachmanach, albo stawia pod pręgierz opinii, z nieufnością władzy i pogardą współbraci. Pierwszy i drugi z oznaczonych wyżej ujemnych pierwiastków jest mniej więcej wszędzie, ale umniejsza się ku górze i niknie na szczycie; ostatni zaś, a najzgubniejszy ze wszystkich, grasuje szczególnie w warstwach środkujących, zaczyna się dość nisko i dosyć wysoko dosięga. Że on więcej jak oba poprzednie neutralizuje pierwiastki dodatne, to widzimy codziennie; bo jak ma iść praca przy ta-*

kim niepokoju? z kąd ma się wziąć czas do kształcenia się i nauki? jak dojść do jakiej bądź zasługi, kiedy od niej odpycha pogarda lub śmiešność, kiedy na twarzy i na czole piętnują się ślady lub złego nałogu, lub elastycznego sumienia.

Nikomu zapewne nie przyjdzie do głowy, abyśmy to dobre i złe, któreśmy upatryli w ogóle tego ciała, którego cząstkę stanowimy, upatrywali w każdej jego cząstce, jako warunek konieczny, i owe pierwiastki dodatne i ujemne widzieli w każdym indywiduum światu urzędowy składającym. Byłoby to i niedorzecznem i nieprawdziwem. Wielu jest bardzo pomiędzy nami, w których nie ma ani pracy, ani nauki, ani zasługi; wielu jest takich, co dostawszy się do jakiego miejsca, siedzą na niem spokojnie, nie myślą o żadnym awansie, i dziękują Panu Bogu i rządowi za kawałek chleba, jaki mają; wielu jest także takich, co oddając sprawiedliwość zdolniejszym, podają życzliwą dłoń koledze, który ich wyprzedza i przed nimi się podnosi; wielu jest nawet takich, co mierząc się ściśle swoim dochodem, trzymając na wodzy i próżność wła-

sną i próżność swojej jęjmości, żyją skromnie i eicho, i przechodzą zawód swój nie naraziwszy się na żadną śmieszność, nie poddawszy się żadnej naganie, nie splamiwszy ręki żadnym groszem, któryby na liście płacy nie był dla nich zapisany. Nikt wszakże nie zaprzeczy, aby tych wskazanych przez nas pierwiastków nie było, aby one nie stresezały w sobie tego wszystkiego, co w nas jest dobrém i zdroźném, aby nie stanowiły w całości swęj odrębnęj jakiejś cechy, która nas charakteryzuje. Czy zaś wskazanie tych pierwiastków było tu potrzebne, czy zachęci kogo-bądź do wzmaganania w sobie dodatnych, a strzeżenia się i pokonywania ujemnych, zatém czy ten rozbiór chemiczno-moralny przyda się, choćby tylko tym ze współbraci naszych, co mają u siebie *wtorki*, *czwartki* lub *soboty*, to jest zupełnie inna kwestya, którą zostawiając na teraz bez odpowiedzi. przystępujemy do dalszego ciągu opowiadania.

Między dziewiątą i dziesiątą, Ignas udał się na Nowy Świat, cheąc zastać referendarza wprzódy, nim wyjdzie do bióra, aby mu się dać poznać i prosić go o protekeyą i rekomendacyą.

Według wskazania Eugeniusza trafił od razu. Dom wprawdzie nie był zielonkawy, ale w innym, żółtawym, obaczył na pierwszém piętrze w trzech oknach czerwone franki, sutemi ozdobione frendzlami, a w każdém z nich twarz kobięcą, patrzącą na ulicę. Jedna z nich była już nie młoda, z puklami siwych włosów, które z pod czépka wyglądały; dwie drugie młode, wydatnych rysów, blade i zmęczone, klęczały widać na krzesłach, łokciem wspierały się na czerwonej, aksamitnej poduszce, która leżała na oknie, a drugą ręką, prawie całkiem obnażoną i piękną trzymały przy oczach lornetki.

Uśmiechnął się Ignasz, znalazłszy postrzeżenie brata swego tak trafném i wierném, i wszedłszy na schody brudne, zaśmiecone, ale ładnym, wązkim wyłożone dywanikiem, pociągnął śmiało za dzwonek. Przez niejaki czas słyszał tylko wewnątrz szorowanie posadzki, ale nikt nie otwierał. W kilka minut dopiero, gdy znowu pociągnął za dzwonek, i pomnąc na przestrogi Kańskiego, mocniej i energiczniej, otwarły się drzwi, i stanął przed nim lokaj rozezochrany, brudny i bosy, który widać tylko co zlaźł ze szczotki, a

na kurtee wytartéj i rozprutéj na łokciach miał przez ramię przewieszoną ściérkę. W przedpokoju, do którego wszedł śmiało, gdy mu oznajmiono, że pan referendarz jest w domu, zastał Ignas woźnego, który zapewne czekał na papiéry. Fagas ów bosy, wsadziwszy nogi w jakieś wydeptane pantofle, rzuciwszy ściérkę na kosztowny stolik, ale zakurzony, poplamiony i podrapany, poszedł nowo przybyłego zaanonsować panu. Przedpokój okazywał dostatek i nieład, pretensją do elegancyi i brudne niedbałstwo, które jej utrzymywać nie umie i wszędzie czémścis neutralizuje. Było tam w złoconych ramach zwierciadło dla gości wchodzących, ale stłuczone i popstrzone; były stoliki politurowane, ale na jednym stał dzbanek wyszezerbiony i bez ucha, i blaszanka do wynoszenia śmiecia stara, pokrzywiona i zdrapująca politurę; krzeselka wyplatane, z politurą, zgrabne i zapewne dosyć drogie, dźwigały, jak wszystko kurzawę, w słomce miały dziury, na poręczach szramy i rany; na jedném leżał płaszcz woźnego, na drugiem suknie referendarza, jeszcze nie poczyszczone, zmięte i zmieszane, jak kupa starzyzny; na inném była

miednica blaszana, z nalówką porcelanową odrutowaną, tonącą w brudnej i zamydłonej wodzie, w której się referendarz umywał. Bóty jego, nie wyczyszczone jeszcze, stały na środku pokoju, jeden patrzył nosem na północ, drugi na południe i w takiej od siebie były odległości, że gdyby w nie wlaźł referendarz, wyglądałby jak kolos Rodyjski. Kienkiety były bronzowe, kosztowne, ale szkła w nich poszczerbione i pełne kopcium, na bronzie był kurz i plamy, a na ścianie pod niemi struga rozgałęziona oleju, przypominająca ową kartę historyczną, która nazywała się *Potok czasów*, a którą niegdyś nie jeden dzieciak, bezużytecznie męczony, daremnemi oblewał łzami. Było to wprawdzie jeszcze dość rano, sługa oczywiście był niedbały i nieporządny flejtuch; ale Ignasł wniósł, że gdyby pani i panny nie siedziały o tej porze w oknie i nie patrzyły na ulicę, nie byłby się spotkał ani z miednicą, ani ze dzbankiem, ani z wczorajszą kurzawą, i nie musiałby przeskakiwać, ani przez bóty referendarza, ani przez szczotki, które się na kupkach śmiecia wspięrały.

Po niejakiem czasie wyszedł lokaj, wyniósł zie-

lony i zamknięty portfel, oddał go woźnemu i kazał odnieść do bióra; potem obróciwszy się do bohatera naszego, poskrobał się w głowę i oznajmił, że go pan prosi.

Za przedpokojem był korytarz wązki, o jedném oknie, prawie próżny, mający tylko parę szaf, kilka krzeseł i ozdobiony sztychami, których ramy złożone, obdrapane i zakurzone, świadczyły o takiej saméj staranności pani i sług, jaką widział w przedpokoju. Wprost, drzwi w półotwarte prowadziły do salonu, z którego słychać było francuzką rozmowę panien o tych koczach i karétach, które przejeżdżały. Sługa wskazał mu w głębi korytarza drzwi na prawo, które prowadziły do gabinetu, wychodzącego na dziedziniec.

Gdy Ignaś wszedł, referendarz stał przy krześle swém odwróconém od biórka i patrzył ku drzwiom. Miał na sobie szlafrok z kosztownej zapewne materyi, ale zasmolony, zaklapany atramentem i. cokolwiek popruty tak, że w niektórych miejscach wyglądała wata i podszewka z rękawów wylaziła strzępkami. Był to mężczyzna słuszny, już niemłody, przygarbiony, i co poznać można było z pierwszych ruchów, powolny

i zamyślający się. Na twarzy ściągłej, i dość chudziej i bladziej sterczał nos śpiczasty i wązki, spodnia warga była trochę obwisła; na czole łysym, obrzuconym siwymi włosami, leżały złote okulary, a oczy siwe i zamglone przymrużały się i z niejakiem wysileniem patrzyły. Mileząc, kiwnął ręką Ignasiowi, żeby się przybliżył, i zmrużywszy mocniej oczy i przypatrzwszy się rzekł:

— A, a, pan Zabuzski? proszę. Brat Eugeniusza; a, znam, znam. Młodszy zapewne, młodszy.

— Młodszy, JW. panie— odpowiedział Ignasz skłoniwszy się.

— A, dobrze, proszę się— mówił referendarz i sam usiadł, ukazując młodzieńcowi krzeselko.— Jakże imię?

— Ignacy.

— A, Ignacy, tak, słyszałem, przypominam— mówił referendarz i poprawiając okulary na czole, dodał:— Oba synowie pana Sebastjana Zabuzskiego. Prawda, tak, pana Sebastjana. Jakże się ma pan Sebastyan?

— Ojciec nasz już od pięciu lat nie żyje— od-

powiedział Ignaś, któremu się jakoś serce ścisnęło i łzy nabiegały do oczów.

— A, a, nie żyje, tak, przypominam, słyszałem— rzekł referendarz.— Więc sierota, zostawiony bez wszelkiego funduszu. A, dobrze, dobrze. A szkoły gdzie?

— Skończyłem gimnazjum w Lublinie— odpowiedział Ignaś, który nie wiedział, coby w tém było tak dobrego, ze został sierotą bez funduszu.

— A, w Lublinie? wiem, wiem, są w Lublinie— mówił referendarz— gdy Ignaś, któremu rozmowa ta odejmowała odwagę i odbierała wszelką nadzieję, milczał i prósy swój nie wyrażał, referendarz dodał:— Więc teraz do Warszawy, tak dla ciekawości, dla obejrzenia?

— Nie JW. panie— odpowiedział Ignaś— na to jestem za ubogi. Przybyłem tu dla pomieszczenia się w jakimś biurze, gdziebym mógł pracować, i zasłużyć sobie na tyle łaski, żebym w niedługim czasie znalazł w pracy mej utrzymanie i nadzieję dalszego pokierowania się.

— A, pokierowania się w biurze!— rzekł referendarz, zsunął okulary na oczy i patrzył na mło-

dego człowieka—praca tak, zapewne, utrzymanie potrzebne. Dobrze, dobrze, ale cóż?

—Właśnie przyszedłem tu—mówił Ignas, któremu słowa więzły w gardle—aby się zaprezentować JW. panu, przedstawić mu moje świadectwa i prosić, abyś raczył, przez wzgląd na to dalekie wprawdzie pokrewieństwo, którym się szczycę, dopomódz mi swoją protekcyą i wpływem.

—A, wpływem, tak, bez protekcyi ciężko, wiem—mówił podnosząc znouu okulary i mrużąc prawie zupełnie oczy. Potém posiedziawszy tak chwilę w milezeniu, dodał:—Dobrze, dobrze, ale to trudno. Aplikacya, to rzecz długa, a utrzymania nie ma. A, Eugeniusz u brata mego; a tak, pojechał z moim synowcem do Włoch; przystojny i światły młodzieniec. Ale kasztelan, a, to co innego. Pokrewieństwo! tak, zapewne, to dobrze, ale cóż, ja nie mam syna.

—Ja prosiłbym tylko—rzekł Ignas zmiarkowawszy z tój siekaniny słów, czy zwyczajnej mu, czy umyślniej, że się wykręca—o zarekomendowanie mię zwierzchnikowi tój władzy, w której JW. pan tak wysokie zajmujesz miejsce.

—A, a, zarekomendowanie!—odpowiedział

niby chętniej.— Świadcstwa zapewne są. Gimnazjum Lubelskie, wszak tak? i metryka? Ochrzczony, a, zapewne i dyplom, cóż Zabużski, szlachcie naturalnie?

— Wszystko to mam, JW. panie— odpowiedział Ignas, który z tym osobliwszym sposobem mówienia zaczynał się oswajać. I dobywszy z kieszeni surducika swego plizek z papierami, powstał z uszanowaniem i podawał go referendarzowi.

— A na co to?— zapytał referendarz zsuwając z czoła okulary.— To gdzieindziej, nie do mnie. Ja już wiem. A, Zabużski, Ignacy, wszak tak? a zdolności zapewne są, i usposobienie piękne. Eugeniusz, a! bardzo ładnie ukształcony młody człowiek. Po francuzku i po włosku, jak po polsku. Zabużski, to dosyć, a obyczaje? no, to widno. Chodźmy do mojej żony na śniadanie.

I niedotknawszy się papierów, które Ignas na powrót schował, poszedł naprzód, a bohater nasz sam niewiedzący, co myśleć o tym człowieku, który mu się raz wydawał głupim i roztargnionym, drugi raz filutem udającym roztargnienie, poszedł za nim.

Minęli wspomniany wyżej kurytarz i weszli do salonu, w którym były owe okna, ozdobne frankami i złotem, wychodzące na ulicę. Były tu paradne meble, wybite aksamitem, kosztowne lampy stały na stolikach przed zwierciadłami, był fortepian, piękne stoły, a na nich w ładnej oprawie jakieś książki i misterne koszyki z biletami wizytowymi; było kilka portretów i sztychów w sutych ramach, słowem był to salon na pierwszy rzut oka pański; ale i tu jeszcze nie było sprzątnięto. Krzesła nie stały na swoim miejscu, kobierzec przy kanapie był odgarnięty i zgnieciony, na kanapie, przy drzwiach do dalszego pokoju prowadzących, leżały rzucone kapelusze, sukienki i spodniczki pańien, i to zapewne te, które zdjęły wczoraj, bo choć wycinane w zęby i haftowane u spodu, ale tam gdzie haft, widać było zdaleka i błoto. Ignas rzucił bystro okiem po tém wszystkiém co go otaczało, i wyminawszy szczotkę froterską i sukienko do wycierania podłogi, które przy niej leżało, wszedł za referendarzem do jadalnego pokoju, mającego okna na dziedziniec.

Na środku był stół okrągły, zastawiony ma-

szynką do kawy, garnuszkami śmietanki, samowarem, czajnikami i filizankami. Na przeciwko drzwi siedziała sama pani, obok z lewej strony córki, wszystkie w rannych ubraniach, okazujących więcej pretensyi, niż skromności i czystości; z prawej był przyrząd i miejsce dla referendarza.

Gdy się zbliżyli, a panny widząc wchodzącego tak rano młodego człowieka, podwracały się poprawiając na sobie szlafroczki i przyglądając włosy, rzekł referendarz do żony:

—Saluniu! pan Zabuzski, brat, brat Eugenisza.

Referendarzowa kiwnęła mu głową, a panny zawołały:

—*Le frère de Mr Eugène! charmée de faire votre connaissance Mr*— rzekła starsza.— *Et moi aussi, Monsieur,*— dodała młodsza.

Tymczasem referendarz usiadł i zaczął z pośpiechem zapijać kawę, którą mu żona podała.

—Niech pan siądzie— rzekła referendarzowa, poglądając dość obojętnie na młodego człowieka, który się cokolwiek zmieszał, nie mogąc odpowiedzieć pannom po francuzku, a bojąc się odpo-

wiadać po polsku.— Może filiżankę kawy?— dodała gospodyni domu.

— Dziękuję JWnej pani,— rzekł Ignas, siadając skromnie— już jestem po śniadaniu.

— Pan Ignacy, wszak Ignacy, a, tak, przypominam, raniiej wstaje od was— rzekł referendarz.

— Wróciłyśmy wczoraj tak późno z wieczoru— rzekła starsza.

— Księżna była tak uprzejma— dodała młodszą— *tout à fait aimable! et quel aimable soupe!*

— Pan dawno przybył do Warszawy?— zapytała referendarzowa.

— Przed dwóma dniami, pani— odpowiedział Ignas i uważał, że się referendarzowa skrzywiła, że tytuł JWnej odrzucił.

— *Vous vous amuserez beaucoup, Monsieur*— mówiła starsza panna referendarzówna— Warszawa teraz tak pełna; tyle pań najechało, *et la première jeunesse du pays.*

— A, tak, zabawa,— rzekł referendarz, kończąc i wychylając filiżankę.— Nie każdemu zabawa w głowie, tak jak wam. Bo wy macie, macie; a, tak, macie dużo, to dobrze; a on o aplikacyą stara się.— I to powiedziawszy, obtarł u-

sta, wstał, i wychodząc spójrział na Ignasia i dodał:— A, zaraz, zaraz, ubiorę się.

Wyraz ten *aplikacya* jabby zimną wodą oblał panny, które spójrzały po sobie i same nie wiedziały, z jakiej beczki zacząć z młodym człowiekiem, który nazywa się Zabuzski, tak jak i one, a przyjechał nie dla zabawy, nie dla użycia Warszawki, ale na aplikanta. Nastąpiło więc milczenie, tém przykrzejsze, że biedny Ignas, któremu się to wszystko co widział, dziwnie niepodobało, wahał się, czy wstać i pójść, czy czekać tu, aż się referendarz ubierze i wezwawszy go, powie co zrobić i dokąd się udać. Siedział więc i przypatrywał się pannom, z których twarzy znikła początkowa uprzejmość i które obojętnie kończyły śniadanie. Po niejakiem dopiero czasie odezwała się gospodyni domu, z wejrzeniem i tonem źle z pańska zimitowanym;

— Zapewne asan już się ulokował w Warszawie?

— Jeszcze nie JWna pani— odpowiedział Ignas, poprawiając swój błąd poprzedni— stoję dotąd w hotelu Smoleńskim.

— Nie musi tam panu być dogodnie— rzekła

znowu łaskawiej referendarzowa, i bohater nasz zmiarkował zaraz, że dodana JWność wyrugowała z rozmowy asana.

— Czyż jest w Warszawie jaki hotel Smoleński?— zapytała panna Emilija, starsza córka referendarza.

— Na ulicy Bednarzkiej— odpowiedział Ignas.

— A, *rue de Bednarze! c'est different*— rzekła panna Emilija i uśmiechnawszy się do siostry, wstała, poszła do salonu i stanęła przy oknie.

— Czy pan nie masz wiadomości od brata— zapytała referendarzowa znowu po chwili milczenia.

— Miałem tylko jeden list przed wyjazdem jego z Warszawy— odpowiedział Ignas— z zagranicy nie miałem dotąd żadnego.

— Brat pana jest *bardzo dobrze*— mówiła dalej z pańska— braterstwo lubią go i zapewne pokierują.

— Szczyci się on ich łaską— odpowiedział młody człowiek— a ja cieszę się z serca, że znalazł takich opiekunów.

— *Mathilde! Mathilde!*— krzyknęła wtedy pan-

na Emilija— patrz, książę Janusz jedzie konno i patrzy w nasze okna.

Młodsza panna referendarzówna porwała się z miejsca, tylko co nie wyróciła samowaru z pośpiechu i pobiegła czémprędzej do siostry. Tam obie zaczęły się nadstawiać, przykładając twarze do szyb zamkniętych, i kiwać głowami. Gdy widać przyjechał ten, co tak sciągał ich uwagę, zaczęły szczebiotać między sobą po francuzku i śmiać się, zapewne z biednego kuzynka, który przyjechał na aplikanta i stanął *rue de Bednarze*. Po długim znowu milczeniu, kiedy Ignas siedział jak na szpilkach, referendarzowa powstała i poszła do salonu za córkami. Wszedł więc i młody człowiek za nią. Wtedy matka zapytała:

— A cóż? widział was książę Janusz?

— Rozumie się— rzekła Emilija— zatrzymał nawet konia.

— Tak, póki ja nie przyszłam do okna— mówiła Matylda— jak mnie obaczył, dopiero uśmiechnął się, ukłonił i pojechał.

Quelle folie!— rzekła starsza ruszając ramionami.

— *Pourquoi pas?*— odpowiedziała matka ze znaczeniem.

Panna Emilija nadała się trochę i przystępując do stolika, na którym był elegancki koszyk z biletami wizytowymi, i przy którym stanął Ignas, zaczęła niby od niechcienia przeglądać bilety i wykladać je tak, że były nie daleko ręki młodzieńca. Nie mając co robić, gdy ani matka, ani córki do niego nie mówiły, rzucał na nie okiem i widział, że to były bilety samych książąt i hrabiów, samych takich pań, z których każda była *née princesse* lub *née comtesse*, o czém żadna nigdy na bilecie swym nie zapomni. Widocznie panienka chciała mu dać poznać, jakie to u nich bywają osoby, pochwalić się swojemi stosunkami, co jest zwykłą u nas słabością klass środkujących, a podniesionych cokolwiek znaczeniem i urzędem; a może też chciała mu dać do zrozumienia, że w takiej kompanii nie będzie miejsca dla niego, że ani do ich zażyłości cisnąć się, ani do ich pokrewieństwa nie bardzo przyznawać się powinien.

Gdy się to działo, wtedy Matylda, która ciągle stała przy oknie, zawołała— *Regardez, il revient!*

Panna Emilia poskoczyła do okna, obie wytrzeszczały oczy na ulicę, a matka stała za nimi i wyglądała skutku. Ale tym razem przyszła kolęj tryumfu na pannę Emilię. Po chwili ce. zaśmiała się i rzekła:

— Przejechał galopem, i ani spojrział w okno.

— *Pas possible!*— rzekła matka.

— *C'est vrai*— odpowiedziała młodsza córka— lecz musiał mieć coś bardzo pilnego, kiedy tak prędko wrócił.

— To bardzo być może— odpowiedziała referendarzowa; ale w tężże samęj chwili rzuciła okiem na świadka tēj sceny, malującęj próżność i głupstwo i jēj i córek. Na twarzy Ignasia był uśmiech ironiczny, którego powstrzymać nie mógł, i taki wyraz, który pani zrozumiała, i który się jēj nie podobał. Sądząc więc, że mąż już się dawno ubrał, i chcąc się pozbyć gościa, który, chociaż krewny, ale jako biedak nie mógł być dla nięj interesującym, zadzwoniła na służącego. Wszedł ten sam lokaj, ale już w surducie i w bótach.

— Czy pan już ubrał się?— zapytała.

— Oho! Pan już dawno poszedł do bióra— odpowiedział sługa.

Wtedy znowu referendarzowa uśmiechnęła się, pomyślawszy, jak zgrabnie mąż jej wymknął się przed proszącym o protekeyą kuzynkiem, i obrażając się do Ignasia rzekła:

— Mój mąż wraca po trzeciój; potem je obiad; potem spoczywa; wieczorem zaś jedziemy albo na teatr, albo mamy wizyty.

Ignas zrozumiał, zaczerwienił się, i nic nie odpowiedziawszy skłonił się i wyszedł. Gdy już był we drzwiach, słyszał, jak panna Emilija mówiła do siostry:

— Patrz, patrz! karéta hrabiny! dokąd ona tak rano jedzie.

— A tego pułkownika huzarskiego w doróże uważałaś?— odpowiedziała panna Matylda— i tym sposobem dalej ciągnęłyienne swe zatrudnienie.

W przedpokoju bohater nasz nałożył kapelusz z dumą, gniewem i żalem, i dawszy sobie słowo, że już tu więcej noga jego nie postanie, pobiegł prędko po schodach, dotąd jeszcze nie zamiecionych.

Nie poszczęściło mu się z krewnymi. Wczoraj

znalazł próżność, która doprowadziła do upadku i hańby; dziś znalazł egoizm, który zniżył człowieka poważnego do wykrętów i filuteryi, i próżność doprowadzoną do głupstwa i śmieszności, która próżniaczki miejskie napełniła fałszywą pretensją, niszczącą wszelką uczciwą sympatię i wysuszającą serce z tych wszystkich uczuć, od których zależy szczęście domowe i które karmić w sobie powinny kobiety, gotujące się do tych ważnych obowiązków, jakie je czekają.

Takiemi zajęty myślami, i znowu szukający pociechy w tych słodkich obrazach niewinności, wdzięku, dobroci i pracy, jakie mu imaginacya kręśliła, przenosząc go na trzecie piętro Sto-Jańskiej ulicy, szedł Ignas zwolna Nowym Światem, wymijając obojętnie tych wszystkich przechodniów, z obcemi mu i zajętemi sobą twarzami, którzy tam i na powrót śpieszyli. Gdy się zrównał z Saskim placem, postrzegł zdaleka idącego naprzeciw siebie mężczyznę, którego postać i twarz były mu niby znajome. Odznaczało go ubranie przystojne, łączące prostotę z powagą, układ szlachetny i wzrost przenoszący innych. Twarz miał zamyśloną, kapelusz trochę na ba-

kier, a w ręce odzianej czarną rękawiczką trzymał cienką laseczkę. Gdy się zbliżył, Ignas poznał dylizansowego towarzysza swego, którego rozmowa tak go uderzyła i tak mu była pamiętną. W rzeczy samej był to hrabia Adam. Poznał on młodego człowieka, który mu się uprzejmie uklonił, zatrzymał się i podając mu rękę rzekł:

— A, pan Zabuzski! Jakże się panu wiedzie. Czy zrobiłeś już co z sobą? zdecydowałeś się na to lub na owo?

— Jeszcze nie, panie hrabio— odpowiedział Ignas.

— Śpiesz się pan— mówił znowu hrabia— bo ostrzegam pana, że w Warszawie czas jest trzy razy droższym, jak gdzieindziej, to jest, że na jedną godzinę trzeba tu trzy razy tyle sił i pieniędzy, niż w każdym innym miejscu. Ciekawość zostaw pan na potem. Tym lepiej później przypatrzysz się temu, co warte widzenia, im będziesz spokojniejszym. Zkądże pan teraz wracasz?

— Wracam od krewnego mego, referendarza Zabuzskiego— odpowiedział Ignas.

— Więc zawsze w myśli biuro— rzekł hrabia, usuwając się ku placowi gdzie było próżne miej-

see, w widocznej intencji dłuższego pogadania z młodzieńcem, który go zainteresował.

— Chciałbym od tego zacząć panie hrabio— odpowiedział Ignaś— mam dopiero dwadzieścia lat; jeżeli więc jeden rok, lub nawet trochę więcej stracę, stracę nie wiele, a nabędę przekonania i doświadczenia, że to nie moja droga.

— Jest racya — rzekł hrabia.— Jakże pana przyjął referendarz?

— Wstydzę się wyznać, panie hrabio— odpowiedział Ignaś spuszczać oczy.— Widocznie się wykręcił od podania mi ręki, nawet uciekł przedemną z domu, nie dawszy mi żadnej odpowiedzi, i zostawił mię ze swemi kobietami, które próżne i śmieszne.

— Znam je cokolwiek— odpowiedział hrabia uśmiechając się.— Ale mię to dziwi, że pana tak referendarz przyjął. Zapewne chce poznać pana lepiej, żeby cię mógł tém śmielej rekomendować jako krewnego.

— Ja sędzę, panie hrabio!— mówił Ignaś— że właśnie ta okoliczność, iż obaczył we mnie krewnego, była powodem i ambarasu, w jakim go widziałem, i roztargnienia, z jakiem do mnie mó-

wił, a które mi się wydaje więcej udaném niż prawdziwém.

—Być może, że domysł pana słuszny— rzekł hrabia.— Trudna to próba dla rozumu i serca ludzi możnych i w znaczeniu, kiedy na ich progu staje ubogi krewny. Rzadko który wychodzi z niej uczciwie i z konsekwencyą. Kiedyż pan znowu pójdiesz do referendarza?

—Nigdy, panie hrabio— odpowiedział Ignas stanowczo i z zarumienieniem.— Gdybym był tak ograniczonym i nie poznał się ani na jego mowie, ani na jego postępowaniu, gdybym się zjawił raz jeszcze z prośbą o protekeyą i rekomendacyę, bo niczego więcej nie żądałem, przypisałby zapewne to zapomnienie o mnie roztargnieniu. Ale ja widzę to dobrze, że prawdziwy powód jest ten, że nie chciał mi nic obiecać i do niczego się względem mnie, jako krewnego, zobowiązać. Z próby téj, o której pan hrabia mówiłeś, wyszedł referendarz jako filut i egoista— dodał Ignas czerwieniąc się mocniej i ze łzą w oku.

— Surowo pan ludzi sądzisz— rzekł hrabia, patrząc jednak ze współczuciem na roztropnego i energicznego młodzieńca. Ignas zawstydził się,

spuścił oczy i umilkł, a hrabia dodał:— Do kogoż się pan teraz udasz?

— Nie śmiałem nadużywać dobroci pana hrabiego— odpowiedział Ignas, podnosząc głowę— chociaż teraz widzę, że od tego powinienem był zacząć.

Hrabia uśmiechnął się, postąpił ku ulicy, zatrzymał jadącą właśnie próżną dorożkę i siadając w nią rzekł:

— Siadaj pan.

Pojechali na Senatorską ulicę i wysiedli przed mieszkaniem hrabiego. Szwajcar otworzył drzwi ozdobne, z bronzami i szkłem, które świeciło, jak zwierciadło; w sieni obszernej, bez żadnej pstrocizny, ale marmurową wyłożonej posadzką i mającej wspaniałe schody prowadzące na górę, było dwóch lokai w liberyi, z których jeden z pośpiechem otworzył drzwi do dolnego apartamentu na lewo. Tam przeszli parę pokoi, nie uderzających żadnym świecidłem, których meble obite były zielonym safranem, a ściany w jednym zawieszane rysunkami rozmaitych narzędzi rolniczych i fabrycznych, planami budowli gospodarskich, gorzelni, stodół, owczarni i t. p., tudzież

wizerunkami jakichś ośobliwych baranów, by-
dła i koni; w drugim zaś kartami geograficz-
nymi, planami rozmaitych miast i widokami cel-
niejszych w nich gmachów. Trzeci pokój obszer-
ny, o trzech oknach, był właściwie gabinetem
hrabiego. Tam były szafy z książkami, stoły i
biórka do pracowania stojąc, rozmaite maszyny
fizyczne, modele maszyn rolniczych, pługów,
sieczkarni, młockarni i t. p. Umeblowanie było
równie proste, jak w poprzednich, cały tylko po-
kój wybity był suknem zielonem, a ogół miał
takie piętno powagi i prawdziwie pańskiej syme-
tryi, myśl użyteczna i obywatelska tak widna
była we wszystkiem, że dosyć było rzucić okiem
na to miejsce ciche, poważne i uroczyste, aby
powiedzieć, że tu przebywa i pracuje pan, który
zna ważność swojej pozycyi i wie, dla czego go
Bóg postawił wyżej nad innych.

Ignas przejęty uszanowaniem stanął z boku ze
skromnością; przyszło mu na myśl, jakim szcze-
gólnym trafem mógł się zejść na budzie dylizan-
su z człowiekiem, który to wszystko posiada, i
oczekiwał, co mu też hrabia powie. Ale hrabia
wskazał mu tylko krzeselko, aby usiadł, a sam

stanął przy biurku i zaczął pisać. Gdy skończył list, który pisał, zapieczętował go i położył adres, wtenczas przystąpił do młodego człowieka, który powstał, i rzekł:

— Ponieważ pan koniecznie chcesz próbować szczęścia w pracy biurowej, życzę zacząć ją w Komisji Skarbu. Są tam czynności takiego rodzaju, które przydadzą się panu nawet wtedy, jeżeli biuro opuścisz, a do czego innego się weźmiesz. Żyjemy w takim czasie, w którym ścisłość we wszystkiem, buchalterya i rachunek stają się podstawą wszelkiego przedsięwzięcia i rękojmią powodzenia. Tam się pan tego prędzej nauczysz, niż gdzie indziej. Proszę to oddać do rąk osoby, do której piszę. Mam nadzieję, że pan będziesz dobrze przyjętym. Reszta zależeć będzie od pana, i... i od szczęścia, jak we wszystkiem. Do widzenia,— dodał podając mu rękę— gdyby kiedy co ważnego wypadło, drzwi moje dla pana otwarte.

To powiedziawszy i nie czekając podziękowania, które zresztą widział w twarzy i w oczach młodzieńca, wziął kapelusz, nałożył go sobie jak zwykle trochę na bakier, wdział czarne swe rę-

kawiczki, i nie zapominając laseczki, wyszedł razem z Ignasiem, skończyć zapewne interes, który sobie dla niego przerwał. W przedpokoju rzekł do jakiegoś niemłodego już sługi, który tam miał minę starszego:

— Jeżeli ten pan tu kiedy przyjdzie, jestem w domu.

Stary przypatrzył się pilnie młodemu człowiekowi, a hrabia wyszedłszy z nim na ulicę, kiwnął mu raz jeszcze głową, uśmiechnął się uprzejmie i poszedł szerokimi krokami, które go wkrótce od bohatera naszego oddaliły.

— W pół do trzeciej Ignas był przed kratą Komisji Skarbu. Wkrótce wybiegł Kański, i gdy obaczył przyjaciela, rzekł mu z pośpiechem:

— Mam dla ciebie nowinę. Mój protektor, którego widziałeś pamiętasz, pytał się o ciebie. Opowiedziałem mu kto ty jesteś i jaki jesteś; odmawiałem cię naturalnie czarno, jak się możesz domyśleć, i dodałem, że ci odradziłem wprosić się do nas, dla tego, że jest tak wielu. Wiész co mi odpowiedział? Oto, skrzywił się trochę, jak to on umie i rzekł: Złeś pan zrobił, bo właśnie kilku niecierpliwych i mniej zdatnych wycho-

dzi. Jeżeli chcesz, możemy do niego uderzyć. Nie bardzo to uśmiechający się człowiek, nie wiele gada i obiecuje, ale wiele robi.

— Mnie także radzono, abym się trzymał waszego bióra— odpowiedział Ignasz, ucieszony tą nowiną— i mam tu list rekomendujący mię do jednej z waszych wyższych figur.

— Pokaż— mówił Kański, i obaczywszy adres, dodał:— A to właśnie do niego. A od kogo to list? od referendarza?

— Dajże mi pokój z tym filutem— odpowiedział Ignasz czerwieniąc się— opowiem ci potem, jak mię ci krewni moi przyjęli. To list od hrabiego Adama S***.

— Od hrabiego Adama? ba! ba! ba! na cóż lepiej!— zawołał Kański— ale gdzież się z nim poznałeś?

Ignasz w krótkości opowiedział spotkanie swe z hrabią i treść swęj z nim rozmowy.

— To bardzo szczęśliwie— rzekł Kański— może ci to i nadal posłużyć! To człowiek, którego tu wszysej znają i którego wszysej szanują. Ale słuchaj, do obiadu jeszcze mamy czas. Zwierz-

chnik mój jeszcze jest w biórze. Chodźmy zaraz oddać mu list. Będziesz miał lepszy apetyt.

Poszli więc śpiesznie i gdy stanęli przed naczelnikiem, postrzegli, że porządkował swoje papiery i zabierał się do wyjścia. Ignas, którego nazwisko Kański wymówił, oddał mu list hrabiego. Pan K... popatrzył przez niejaki czas na młodego człowieka, potem czytając list, podnosił jeszcze na niego wzrok, jakby sprawdzał słowa hrabiego z wyrazem twarzy młodzieńca, o którym zapewne światły i przenikliwy protektor pochlebnie się rozpisał. Gdy skończył, wyciągając rękę, rzekł tylko:— Świadectwa.

Ignas podał mu wszystkie. Gdy je przejrzał i postrzegł między niemi *bieg życia*, dziś właśnie, przed wyjściem do referendarza napisany, przeczytał go z uwagą i skończywszy, zapytał:

— To pan sam pisałeś?

— Ja sam JW. panie— odpowiedział Ignas.

I znowu jak wprzód Kańskiemu, podał mu arkusz papieru z właściwym stemplem, wskazał tytuł władzy, w kilku słowach dał treść i kazał napisać prośbę. Gdy Ignas usiadł i pisał, a Kański stał z boku w milczeniu, pan K..., zaczął da-

lój przezierać swoje papiery, odkładając jedne do portfelu, inne chowając do szuflady. Wśród tego zatrudnienia rzucał jednak okiem na piszącego młodzieńca, jakby chciał się przekonać, czy pisze prędko i śmiało. Widać, że z tego względu był zaspokojony, bo Kański uważał, że się uśmiechnął, co mu się niezmiernie rzadko zdarzało.

Gdy prośba była skończona, powstał Ignas i podał mu ją z uszanowaniem. Pan K... porównał ją naprzód z *biegiem życia*, przeczytał, i włożywszy w nią wszystkie papiery bohatera naszego, zamknął do swego portfelu, i znowu rzekł mu tylko:

— Przyjdź pan w sobotę.

Młodzi ludzie skłoniwszy się wyszli; w sieniach rzucili się sobie w objęcia i Kański podnosząc w górę kapelusz, zawołał:

— Wiwat! rzecz skończona; jesteś nasz. A teraz chodźmy pod *Gruszkę*.

Na rogu ulicy Bielańskiej i Długiej była wówczas owa traktyernia pod *gruszką*, którą cały proletaryat urzędowy znał dobrze. Szczególniej aplikanci byli tu w przemagającej liczbie, chociaż

nie brakło i na starszych, niefortunnych i siedzących po kilka i więcej lat na jednej posadzie kancelistach, którzy równie dla posilenia odsiedziałego i spisanego ciała, jak i dla odżywienia zakrzepłego jednostajną i mechaniczną robotą ducha, przychodzili do pani Szelcowej na *chleb z obiadkiem*, gdzie się znaleźli wśród grona młodzieży biednej, ale wesołej, głód dzisiejszy karmiącej jutrzejszymi nadziejami, podarte bóty i suknie latającej tą świetną tkanką, jaką imagi-nacya ich i wiara w przyszłość w dalekich snuły obłokach.

Szelcowa miała tu jeden duży pokój, o trzech oknach, czyli tak nazwaną salę, i dwa pokoiki małe, komunikujące z wielką i wygodną kuchnią, gdzie mieszkała sama, i gdzie stając na progu i przypatrując się swoim gościom, lub się cieszyła ich dobrym humorem, lub karciała swy-wolę, jeżeli przebierali miarę, przywołując do porządku to tego, to owego i zowiąc każdego po imieniu, bo ich wszystkich znała i dla wszystkich ze szczególniejszą była sympatyą. Nie jednemu nawet pokredytowała obiad jeden i drugi, a czasem i ustąpiła pół lub trzecią część zadłużo-

nej kwoty, jeżeli widziała ciężki jaki zawód i biędę wielką, odsyłając wypłatę kapitału i procentu na później, jak biedny aplikant zostanie Radcą Stanu i naczelnikiem jakiego wydziału. Wszakże nie dała się nigdy unosić sercu, wiedząc, że młodzież nadużyłaby prędko jej słabości i zadłużyłaby się nad miarę. Najwyższy kredyt był do pięciu obiadów. Kto szóstego nie miał czém zapłacić, nie już nie dostawał i psuł interes innym, bo wtedy stawała się twardszą i nieubłaganą dla wszystkich. Sama dobra kucharka, z jedną tylko pomocnicą i jedną pomywaczką w kuchni wystarczała wszystkiemu. Ona rozlewała rosół lub barszcz na poręce, ona sama krajała mięso tak zręcznie, że się każdemu jednakowa dostawała waga, sama szczególniej krajała chleb, który kładziono na każdym talerzu i który fundament obiadu stanowił. Była to już kobieta nie młoda, niegdyś ładna, jak wszystkie prawie warszawianki téj klasy, biała blondynka z niebieskimi oczami. Ale wiek uszczuplił trochę białości i rumieńca, przyćmił oczy, zmienił kolor włosów, a szczególniej zepsuł kibić, zrobiwszy ją mocno otyłą, dawszy potężny podbródek i wy-

stający brzuch, na którym zwykle trzymała ręce odpoczywając po trudach, i rozmawiając spokojnie to z tym to owym, który nie mając czem zapalić w swoim piecu i ogrzać swęj stancyjki, w jesieni i w zimie, dosiadywał u pani Szmelcowęj do późna, i nabierał tu w siebie tyle ciepłika, żeby mu na całą noc pod lekką kołdrą, a w jej braku pod niewatowanym płaszczykiem wystarczył. A jednak, gdy przychodziła godzina trzecia i goście jej dobrze głodni schodzić się zaczęli, trudno sobie wyobrazić, jak zwinną była i rzutką ta kobieta, gdy ambicya dogodzenia tym biedakom, których lubiła i których zwała się opiekunką i mamką, podwajała jej siły i ujmowała o połowę ciężaru. Rozlawszy rosół i pokrajawszy mięso, stawała najprzód w swoich drzwiach dla obaczenia czy wszyscy mają, czy wszyscy jedzą z apetytem. W tém miejscu i w tym czasie widzieć ją można było zawsze, w czépku téj saméj formy, z dużą szlarką, z czerwona wstążką, w sukni ciemnej staroświeckim krojem, i obejmującej ciasno potężne wymiary, w fartuchu popielatym, czystym, wyciętym okrągło na piersiach, i zapiętym jednym końcem za pas, z kie-

szeniami na wierzchu, w których jednej były rozmaite klucze, napaśtek, nożyczki, igielniczek i kłębuszek z niemi, a w drugiej drobna moneta lub bilety abonamentu, któremi jej płacono. Potem wracała szybko do kuchni; a gdy ostatnią wydała potrawę, z kuchni zjawiała się w sali, a w sali z jednego końca stołu przechodziła na drugi, chwając to mięso, to pieczenie, dziesięć razy lepszą od innej polędwicy, to buraczki, które wyglądały jak rumiana twarzyczka, to kapustę, która miała zapach i delikatny kwasek ananasów. Obecność jej była jeszcze potrzebną i dla tego, żeby młodzież nie pozwalała sobie zbyt wyrazistych gościom z dwoma dziewczętami, które usługiwały, a które pani Szelcowa, chociaż sama kobieta dobrych obyczajów i pilnująca ścisłego *decorum* w swoim domu, wybierała jednak tak, jak tego wymagał zwyczaj warszawski i polityka wszystkich kawiarni i restauracyj. Były więc obie dziewczyny ładne, zwinne, czyściutko ubrane, umiały się odciąć, gdy im się co niepodobalo, ale czasem umiały i mrugnąć ślicznem oczkiem na ładnego chłopca, co choć nie miał co rzucić na tacę, gdy przychodziło jakie święto,

lub imienniny której z nich, ale przynajmniej ścisnął za rączkę, a gdy się pani Szmelcowa odwinęła i pocałował ukradkiem.

W sali był duży stół na środku, mogący mieścić do trzydziestu osób. Nakrycie było bardzo oszczędne, pod sobotę nie grzeszące weale czystością; talerze były jak najtańsze, serwetki małe i tygodniowe, które wolno było związać jakim sznureczkiem i dla siebie oznaczyć. Łyżki tylko były srebrne, ale noże i widelce kościaną miały oprawę, i nie błyszczały zbyt starannem utrzymaniem. Musztardy nikt tam na stole nie widział, o occie i oliwie nie było nigdy żadnej wzmianki, ale za to chrzan w kilku słoikach przyrządzony stał ciągle w różnych punktach, tak, żeby każdy mógł go dosięgnąć ręką, a dwa razy na tydzień, do tej okrasy mięsa przybywała jeszcze i ćwikła. Kilka karafek zielonkawych i ordynaryjnych stało z wodą w pewnych dystansach, a przy każdej szklanka, która miała służyć każdemu, kto mógł jej dosięgnąć. Każdy więc, kto pił, musiał wypić do dna; nie wolno było zostawiać nic w szklance; to było prawo, które już tam zwyczaj uświęcił, i którego się

wszyscy dla własnego interesu trzymali. Zaczynał się traktament od chleba, który podawano każdemu, jak tylko usiadł. Porcja jego była zupełnie dostateczna, i przy lekkim dodatku ciepłej strawy i kawałka mięsa, nasycala i restaurowała młode żołądki. Dodatek ten składał się z rosółu, z mięsa i jeszcze jednej potrawy mącznej lub jarzynnej, albo z barszczu i pieczeni, do której były buraczki lub kapusta. W niedziele i święta była i sztuka mięsa i pieczeń, ale za to już prócz buraczków lub kapusty, innej potrawy nie było. Wszystko to miał gość za złoty, groszy sześć, kiedy płacił pojedynczy obiad, za złoty zaś i groszy trzy, kiedy kupował bilety. Mniej jak piętnaście biletów nie można było kupić. Za taką cenę nikt nie wymagał więcej i lepiej, tém bardziej, że te proste potrawy były rzeczywiście przyrządzone dość czysto, że uprzejmość ze strony gospodyni była wielka, że zbytkownisze i krezusy, jeżeli się pomiędzy goszczącymi tu który zdarzył, mogli jeszcze za dziesięć groszy mieć filiżankę kawy i za pięć groszy cygaro, lub fajeczkę tureckiego tytoniu. Taką była restauracya pod *Gruszką*, do której oba przy-

jaciele śpieszyli z dobrym apetytem i w najlepszym humorze.

Gdy weszli, zastali już ze dwadzieścia osób przy stole, i zapach barszczu, bo na tę kolej trafili, rozchodził się po sali. Milczenie i brzęk przyspieszony łyżek po talerzach dowodził, że barszcz był dobry, i że ręce zmachane pisaniem wypróżniły żołądki, które z właściwą sobie bezwzględnością na kieszenie i stan tego, do którego należą, domagały się materiału dla przeobrażenia go na krew, którą czas biurowy zepsuł. Znajomi przywitani Kańskiego kiwnieniem głowy, a on, stanąwszy u górnego końca stołu, gdzie było kilka nakryć niezajętych, obrócił się do wszystkich i rzekł:

— Panowie! rekomenduję wam nowego kolegę, pana Ignacego Zabuzskiego, aplikanta w Komisji Skarbu.

— Ale zawcześnie mnie tytułujesz — rzekł Ignaś — dopiero podałem prośbę.

— Masz już nominację w kieszeni — odpowiedział ufny w przyszłość Kański.

— Kiedy Kański mówi, że pan masz już nominację w kieszeni, to ją masz. Jemu się wszyst-

ko udaje. Wkrótce będzie sekretarzem referentem — rzekł jeden śmiejąc się.

— Więc za zdrowie przyszłego referenta i nowego kolegi! — zawołał drugi, i obracając się do dziewczyny, która zdejmowała talerze, dodał z umizgiem: — Marysiu złota! buteleczkę wina.

— A pieniądze? — rzekła dziewczyna z ładną minką.

— Na kredyt, duszo! — odpowiedział młodzieniec.

— Nie ma wina na kredyt — rzekła Marysia.

— A buzia? — dodał obojętnie, czy pani Szelcowa nie stoi we drzwiach.

I buzi nie ma na kredyt — odpowiedziała.

— A cóż jest? — zapytał chłopak ze znaczeniem i chcąc ją objąć.

— Figa jest — odpowiedziała wykręcając się i poszła do kuchni.

To była pierwsza rozmowa, którą bohater nasz pod *Gruszką* słyszał. Nie bardzo go ona zbudowała, i nie zbyt miłe na nim zrobiła wrażenie. Doświadczył on takiego uczucia, jakiego doznaje każdy nowo przybyły, nim oko jego i ucho oswoi się z giestem i dowcipem gości i sług po kawiarni.

niach i garkuchniach miejskich, a zwłaszcza drugiego i trzeciego rzędu warszawskich. Nie okazał jednak ani Kańskiemu, ani innym, że wolałby tu nie być i usiadł spokojnie obok Kańskiego, na miejscu które było wolne. Podano im zaraz dobrą porcyę chleba, potem przyszedł barszcz, a dalej pieczenia z buraczkami. Gdy się obiad kończył i zjawiała się gospodyni, odbierająca pieniądze i bilety, i ciekawa czy im smakowało, zaczęły się śmiechy, koncepta i rozmowa wesola i głośna.

— Kochana pani— mówił jeden niby seryo — każ tam uważnie umywać mój talerz, który Marysia tylko co wzięła.

— A toż dla czego?— zapytała Szmelcowa, obcierając pot z tłustych i czerwonych policzków.

— Musi tam być— mówił młody człowiek figlarnie— moich parę zębów, które zostały w pieczeniu. Niech je popłucze i odda, bo szkoda.

Wszyscy się zaśmieli, a gospodyni, zaczerwieniwszy się jeszcze mocniej, odpowiedziała:

— Żartuj pan zdrów, a jak się skończą bilety, przyjdiesz do Szmelcuni prosić o inne, choć

pieczenia u niej twarda i zęby w niej zostają. Wtenczas pogadamy— i poszła dalej.

— Pan Kazimierz żartuje, dobra była i kucha— odezwało się kilku.

— Żart gotowy i grosz gotowy, jak są razem, to ujdą. Inaczéj lepiej dać pokój— mówiła dalej gospodyni.

— Coś Szmelcunia dziś w złym humorze. Jak mamka się rozkaprysi, dzieci będą płakać— mówił inny.

— Bo staram się i zapobiegam, spuszczam wam i kredytuję i jeszcze wam źle— rzekła zliczając bilety i kładąc je do kieszeni.

— I owszem, dobrze i smaczno. Dziękujemy, dziękujemy. Wiwat Szmelcunia! niech żyje i pęcnieje Gruszka!— odezwało się kilkanaście głosów.

— Oj! swywolniki!— rzekła udobruchana, uśmiechając się i obcierając policzki— pustki wam w głowie. Choć biéda, to hoc! widać żeście nie głodni. Za to jutro będziecie mieli doskonałe ogóreczki do sztuki mięsa.

— Brawo! brawo!— zawołali wszyscy i zaczęli bić widelcami po talerzach.

Gdy gospodyni była na drugim końcu stołu,

rzekł młodzieniec siedzący na przeciwko Ignasia do jego sąsiada.

— Józiu! wiele ty masz jeszcze biletów.

— Jeszcze mam sześć— odpowiedział zapytany.

— Zmiłuj się pożycz mi parę— mówił pierwszy— bo baba zbliża się, a nie mam już żadnego i jutro mieć jeszcze nie będę.

— Gdzieżes podział pieniądze za korepetycyę— zapytał Józef, rzucając mu nieznacznie parę biletów.

— Myślisz że dostałem?— odpowiedział tamten— kazali mi czekać do pierwszego, a ja tymczasem od sześciu dni rozbiéram się bez świecy, a wczoraj ostatni tu oddałem bilet.

— Cóż będzie po jutrze?— zapytał Józef.

— Spodziewam się jutro zasiłku od siostry, do której pisałem— odpowiedział.

— A jak nie przyjdzie— zapytał Józef.

— Ha! to jużci złożycie się na mnie po pięć groszy, żebym miał na bułkę i na szklanekę mléka, póki nie dostanę pieniędzy— odpowiedział tamten śmiejąc się i wykalając sobie zęby z akcentem smakosza.

Ignasiowi zimno się zrobiło gdy słuchał o tój

nędzy, która go także mogła spotkać, i wydziwić się nie mógł wytrwaniu i humorowi, z jakim i ten i inni położenie swoje znosili. Nie taili się oni z trudnościami, przez które przechodzą. Mówili o obecnej biedzie z taką pewnością, że minie, jakby o rzeczy już minionej, i każdy dla objaśnienia nowicyusza, który do grona ich wchodził przydał coś takiego, co nie tylko nie zasmucało innych, ale owszem wywoływało śmiech i oswajało ich z temi obrazami, o których nie wiedzą zapewne ci, co przed biedną młodzieżą przycho-
dzącą prosić o protekeyą, radę i ukazanie drogi zamykają swoje drzwi i uszy zatykają bawełną.

— Ciekawy jestem, co się ze mną stanie— rzekł jeden— jak się skończy kwartał. Gospodyni wypowiedziała mi stancyą, a innéj nie mam. A stancyjka niezła, na Podwalu, na drugiem piętrze, nie bardzo wysoko. Weź pan ją, jeżeli potrzebujesz— dodał obracając się do Ignasia.— Tę ma tylko niedogodność, że się najmuje z opałem, ale ma oddzielny piec, w którym się pali z pokoju.

— A cóż to złego? to właśnie dogodnie— odpowiedział Kański.

— Zapewne, kiedy kto ma czém palić— rzekł pierwszy— ale dla mnie to było fatalnie. Przeszłej zimy wycierpiałem tam męki piekielne. Czasem przez dwa tygodnie nie miałem i polanka drzewa. A jak przyszedł z kąd grosz i kupiłem sobie wiązeczkę za dziesiątkę i przyniosłem pod płaszczem, to spłonęła jak świeca i tylko podrażniła mię rokoszą, jakiej pewnie nie cenią ci, co kupują drzewo sążniami. Gdyby nie Staś Kliński, który mię ratował w najcięższe mrozy, byłibyście mi zaśpiewali *requiem* i wynieśli zmarłego na Powązki.

— Jakże cię Staś ratował— zapytał inny.

— Oni stali we dwóch— mówił pierwszy— i mieli także piec, w którym paliło się z pokoju, ale mieli oraz ten rozum, jakiego ja nie miałem, że najęli z opałem. Otóż przyzwyczajili dziewczkę, która przynosiła drzewo, żeby je zostawiała przy piecu, a oni zapalą sobie sami. I wtenczas poczciwe chłopaki kradli sami u siebie, i po trzy, po cztery polanka przynosił Staś pod płaszczem do mnie. A jak im było zimno, wołali dziewczkę i pokazywali jej chłodny piec. Przekonana stopniem ciepła pieca i stancyi, a do tego dodaną

jeszcze dziesiątką przynosiła im po kilka polan więcej, i tym sposobem przebyłem jakoś najcięższe chwile. Teraz będzie gorzej, bo nie wiem, gdzie się podzieję. Nie mam nawet na zadatek. I tylko tyle, że wystarcza na bilety dla Szmelcuni, i rano na śniadanie na bułkę i na mleko.

— Przenieś się do mnie— mówił inny, który widać należał do Krezusów, bo palił cygaro i miał przed sobą filiżankę kawy.— Ale darmo cię nie wezmę.

— Chyba pokredytujesz— rzekł pierwszy— bo w tych czasach nie spodziewam się powiększenia moich funduszów.

— Ja pieniędzy nie chcę— odpowiedział Krezus— zapłacisz mi przyjacielską usługą. Nie mogę się na to zdobyć, żebym sobie stancyą zamiótł i łóżko posłał. To zaśpię i śpieszę się do bióra, to się nie chce dla innej jakiej przyczyny; dosyć że stancya moja po tygodniu, po więcej nie zamiatana i łóżko prawie nigdy nie słane. Jeżeli chcesz przyjąć na siebie tę funkcyą, żebyś mię codzien, oprócz niedzieli, budził o ósmej, i cały tydzień zamiatał stancyą i łóżko słał, to zgoda. Za to w niedzielę ja pozamiatam, pościelę i two-

je łóżko i swoje, i w dodatku wyczyszczę ci suknie i bóty wyglancuję tak, że będą błyszczeć jak zwierciadło.

Wszyscy się zaśmieli, a oba młodzi ludzie podali sobie ręce i zgodzili się na układ. Ignas jakoś się ożywił, poznawszy, że wchodzi w kompanię, gdzie wprawdzie bięda, ale jest humor, jest moc duszy i pocziwa pomoc w ostatecznym i ciężkim razie.

— Na herbatę dziś do mnie przychodziecie— zapytał inny.

— A gdzież mamy iść?— odpowiedział inny— Dobrzeby pójść do Baurowej, zajrzeć w oczki Frani i przeczytać gazetę, ale tam zawsze jakiś diabeł się zdarzy, co złotówkę wyciągnie z kieszeni. Już mię to zdradziło nie raz. Trzymajmy się lepiej naszej. Cukier jeszcze masz?

— Przecież złożyliście się na herbatę i na cukier— odpowiedział pierwszy— kupiłem, co było potrzeba i będzie jeszcze na parę tygodni. Ale kto dziś kupuje bułki?

— A to ja— odezwał się inny.

— Nie zapominajże, że trzeba sześć— rzekł pierwszy— a czyja kolój do mieszka.

— Ślenickiego— mówił inny— ale on już widzę drapnął. Jak się spóźni do obowiązku, to nic nie dostanie.

— Cóż to znowu mieszek?— zapytał Kański.

— Ty jesteś wielki pan— odpowiedział pierwszy— ciebie o nie głowa nie zaboli, bo i pieniądze masz i stół dobry i herbatę doskonałą. My co innego. My składamy się miesięcznie po kilka złotych i za to mamy herbatę, która się daje u mnie, dla tego że mam kilka szklanek, a co najgłówniejsza samowar. Ale diabelski ten samowar, który pochodzi od mojej ciotki, równie jest uparty, jak ona. Trzeba go tedy rozdymać mieszkiem. Chcieliśmy mieszek kupić: kilka złotych! zkad tu wziąć na takie zbytki. Przypadek, który jest ojcem wszelkich odkryć i wynalazków, podał nam myśl genialną. Między mojemi bótami znalazł się jeden z dziurą na nosie, przez którą wielki palec długo wyłaził. Że to mogło być, to pojmujesz łatwo. Ten bót zastąpił nam miejsce mieszka, i odtąd jest w poszanowaniu i niedaje się do reperacyi.

— Jakimże to sposobem— zapytał Kański uśmiechając się.

— Manipulacya jest taka— odpowiedział pierwszy z komiczną powagą.— Bierze się bót za podszwę jedną ręką, ot tak. Ścisza się cholewa drugą ręką w samym wierzchu, i potem zbliżają się i oddalają od siebie ręce. Powietrze ściśnione wypada przez dziurę i powiadam ci rozdyma tak nasz samowar, że w kwadrans wre i kipi, że para aż bucha. Ale że to praca nie lada, wykonywamy ją z kolei, która dziś właśnie na Slenickiego wypada.

Takie i tym podobne wiedzli między sobą rozmowy, które dały Ignasiowi wyobrażenie o życiu, jakie prowadziła ta młodzież, z której nie jeden może przeznaczony do figurowania na świecie, do rozpierania się w krzesłach sessyjnych, z których nie jeden oblepi się później haftem, zapomni o biedzie, jaką przeżył, i nie zrozumie głosu młodzieńca podającego mu świadectwo szkolne, i proszącego dobitniej wygłodzoną twarzą i wytartą suknią, niż słowami, któreby stan jego odmalowały.

Ów kolega Kańskiego, który miał przynieść wiadomość o korepetycyi dla Ignasia, nie przyszedł na obiad. Zjawił się dopiero wtedy, kiedy

się już rozebrać mieli. Gdy się poznał z Ignasiem, podając mu rękę, rzekł:

—Przepraszam was, żeście czekali. Ale wołałem o wszystkim dobrze się wywiedzieć, żeby przyjść z czemścis pewnym. A nie mogłem tego zrobić, aż po trzeciej. Marysiu złota!— dodał obracając się do dziewczyny sprzątajacęj salę— będzie tam co jeszcze dla mnie przekąsić.

—A czegoż pan wążasz się nie wiedzieć gdzie— odpowiedziała z razu nadąsana; ale gdy jęj posłał całusa od ust, dodała:— No, będzie, będzie.

—To dawajże, moje życie— odpowiedział i obracając się do naszych przyjaciół, mówił:— Jest tu bogaty stolarz, trochę niemiec, trochę polak, jak oni wszyscy, który ma dwóch synów w szkołach w klassie drugiej. Ale podobno negusy, szczególniej w matematyce. Proponował mnie, abym im te trudności ułatwiał. Ale chce, żeby do nich tylko przychodzić wieczorem od godziny piątęj do siódmęj. Ja mam właśnie ten czas zajęty i przyjąć takiego warunku nie mogę. Otóż teraz biegałem do niego, żeby mu powiedzieć,

że mam takiego korrepetytora, który tę rzecz lepiej załatwi odemnie, jako świeższy w nauce i wolniejszy. Niemczysko, jakaś poczciwa dusza, polega na mojej rekomendacyi, oczekuje pana, i ofiaruje pięćdziesiąt złotych na miesiąc i herbatę wieczorem. Jaka tam będzie niemiecka herbata, nie wiem, ale pięćdziesiąt złotych to płaca niezła, jakiej tu nie jeden z nas doczekać się nie może. Zresztą, może i herbata dobra, bo to człowiek bogaty, ma warsztat wielki i prowadzi swoje rzemiosło na dużą skalę, cóż pan na to?

— Ale naturalnie, że przystaję— odpowiedział Ignaś— i kwituję go z herbaty, którą znajdę gdzieindziej— i w tej chwili przyszła mu na myśl daleko słodsza, daleko wonniejsza herbata, ręką ślicznej kuzynki na Święto-Jańskiej ulicy nalana.

Tym sposobem rzecz niezmiernie ważna, *nervus rerum*, załatwiła się prędko i niespodziewanie. Posiedzieli jeszcze przez niejaki czas, pogadali, dopóki ów usłużny kolega Kańskiego obiadu nie skończył. Ztamtąd Kański poszedł do domu zająć się swoimi malcami, których przez

tę parę dni cokolwiek zaniedbał, a Ignas z nowym swym protektorem udał się zaraz do stolara, gdzie po poznaniu się i krótkiej przemowie wziął się od razu do roboty. Przez cały czas korrepetycyi ojciec przysłuchiwał się, a widząc że młody człowiek bierze się dobrze do rzeczy, że się jasno tłumaczy, że się o wszystko gorliwie wypytuje, a nie tylko matematykę, ale i łacinę, którą na jutro mieli, chętnie i dobrze im objaśnia, tak się ucieszył, że sprowadził żonę, przed którą go wychwalał, i gdy młody człowiek podziękował za herbatę, wsunął mu w rękę trzy ruble, jako zadatek za idący miesiąc, który się od połowy września miał liczyć.

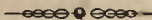
Nazajutrz Ignas wyszukał stancyę owego młodego człowieka, który nie miał czém palić, zamówił ją dla siebie, gdyż była jeszcze wolna; a gdy znalazło się w niej miejsce na drugie łóżko, od razu się tam sprowadził. W sobotę załatwiły się wszystkie formalności w biurze; a tak w przeciągu pięciu niespełna dni, znalazło się i zajęcie, i jakie takie utrzymanie, była swoja własna stancya, odszukali się krewni, o których

nie marzył, i wśród których mógł szukać zapomnienia o tych, o których myślał i na których polegał, a którym i przywiązania i szacunku odmówić musiał.

Wszystkie te okoliczności Ignas opisał szczegółowo Eugeniuszowi, ale pisząc o swych kuzynkach pisał zawsze o obydwóch, żadnej nie dawał pierwszeństwa, a choć czuł, że jest pomiędzy nimi różnica, unikał, lub zdawało mu się przynajmniej, że uniknął wszystkiego, coby ją bratu wskazać mogło. Adres swój oznaczył dokładnie, i list ten dość gruby posłał do Rzymu *poste restante*.

W oczekiwaniu odpowiedzi Eugeniusza, a także listów od księdza Macieja i od ciotki Teresy, którym o powodzeniach swych doniósł, urządził sobie życie jak można najregularniej. Od dziewiątej do trzeciej był w biurze. Jadał pod *gruszką*, a w niedzielę i święta na Święto-Jańskiej ulicy razem z Kańskim, od piątej do siódmej trwała korepetycja, potem znowu szedł na trzecie piętro owego domu, gdzie myśli jego coraz chętniej przebywały. A gdy bęben na placu dawał się słyszeć, żegnał zacne kobiety, i

ze słodkiem: *Dobranoc ci hraciszku*, które codziennie, a coraz melodyjniej z ust panny Julii wychodziło, wracał na Podwale i spokojnie zasypiał. Przy końcu dopiero listopada odebrał Ignas od Eugeniusza list następujący:



V.

»**Z** Rzymu dnia 14 listopada 1840 roku.— Kochany Ignasiu! Z daty, którą umieściłem na początku mojego listu, widzisz dostatecznie gdzie jestem. Wczoraj przybyliśmy do tego wiekowego miasta, które było głową dawnego świata, a sercem jest nowego. W jak gorączkowym stanie przepędziłem noc, łatwo sobie wyobrazisz. A jednak mimo to, zém wiedział, iż w koło mnie jest Rzym, najpiérwój myśli moje uniosły się ku wam, najpiérwój zapragnąłem listu od ciebie. Sercu memu potrzebny był twój głos, choćby zaklęty w słowa, któreś nakreślił. Zdawało mi się, że martwe twe litery wskrzeszę swym oddechem, i zmuszę je do zabrzmienia tą słodką mową, któ-

ra nigdzie tu nie dzwoni, tylko w cichych naszych rozmowach, a której mi potrzeba było głośniejszej i rozlanej wszędzie jak powietrze, bo w niej doszło do uszu moich i rozległo się w sercu to wszystko, co mi jest najmilszym na ziemi. Skoro więc sądzić mogłem, że biuro pocztowe już otwarte, pobiegłem na plac *Colonna* gdzie jest poczta, i wydobywszy twój list, ucieszony jego grubością, nie wracałem już do domu, ale szedłem, gdzie mię oczy niosły, żeby znaleźć miejsce ustronne i ciche, gdziebym go mógł swobodnie przeczytać. Nie wiem jakim sposobem znalazłem się przy wspaniałych schodach, prowadzących do Kapitolu. Wstąpiłem więc na te stopnie, pojęte myślą i skreślone ręką Michała Anioła, i mając w okóło siebie Muzeum Kapitolińskie, pałac konserwatorów i kościół N. Panny *d'Aruceli* z dawniejszej świątyni Jowisza Kapitolińskiego przerobiony, w cieniu, który padał od konnego posągu Marka Aurelijusza oparłem się o marmurową jego podstawę i tam czytałem. Ileż tu wielkości zamierzeń i obecnej, ile czasów leżało wyrytych na tych wymownych kamieniach, ile tchnienia wielkich geniuszów przeszłości było

jeszcze w powietrzu, które mię owiewało! A jednak uważaj, jak silną jest ta struna, która wiąże serce człowieka ze wspomnieniami dzieciństwa, z życiem rodzinną ziemi, z głosem i wejrzaniem tych, co wykołysali śpiącą duszę, kiedy ona nie pękła pod naciskiem tych wrażeń, jakich tu doznaje każdy, ale owszem na widok twoich wyrazów zabrzmiała tak słodkim dźwiękiem, że zapomniał zupełnie, iż stoję na Kapitolu, że tuż przy mnie skała Tarpejska, a dalej *Forum romanum*, gdzie zamiast grzmiącego głosu Cyncerona, słyhać dziś ryk krowy, którą sprzedają.

»Łatwo pojdziesz kochany Ignasiu, jak mię ucieszył obraz córek pana Pawła, owych ślicznych naszych kuzynek, któreś tak szczęśliwie znalazł, owę Paulinki i Juliei, jednakowych we wszystkich przymiotach ciała i duszy, równie pięknych, ale przyznaj się, nie równie, a przynajmniej nie jednakowo ci miłych. Mimo całą ostrożność, z jaką je opisujesz i w jedną zlewasz całość, widzę to jednak dobrze, że je odróżniasz w myśli i w sercu. I dla mnie Julka piękniejszą jest już dla tego, że ma błękitne oczy, po-

dobne do tych, które widzę ciągle, które tu nawet, gdzie mię tyle rzeczy zajmuje, zdają mi się odłamkiem tego błękitu, który nad głową moją jaśnieje. Żal mi szczerze ciotki Herminii. Ale to już taki upadek, z którego tylko w późniejszym wieku szczerą i prawdziwą pokutę podnosi czasem kobietę, i to więcej w oczach Boga, niż ludzi. Ludzie surowsi są na ułomność i grzech, bo sami ułomni i grzeszni. Dobrześ zrobił, żeś jej więcej nie czynił wymówek i nie wchodził w żadne usprawiedliwienia się. Przypadek objaśnił ci wszystko, a wszelkie tłumaczenie się byłoby tylko dodaniem kłamstwa do niewstydu. Nie idź tam więcej; to syrena, która będzie się starać ująć cię i rzucić ci zasłonę na oczy. I możeby się jej to udało; nie wiem bowiem czy w gruncie jest dobrą, ale ma wszystkie pozory najlepszego serca."

»Śmiałem się z opisu rozmowy twój z referendarzem. Jest to jego zwykły sposób, kiedy czego zrobić nie chce. Parę razy zdarzyło mi się słyszeć, jak tymże samym, niby nielogicznym galimatiasem odpowiadał żonie i córkom, kiedy im się chciało dać wieczór i sprosić wszystkich

panów, z któremiby się mogły nagadać po francuzku. Nie głupi to zresztą człowiek i ma być urzędnik dobry. Słyszałem, że we wszystkiem co napisze trzyma się tak jedno drugiego, jakby było spojone ołowiem. Ale egoista to, nielubiący dla nikogo i palcem ruszyć, i skapieć, choć bogaty. Ona, córka jakiegoś przemysłowca spanoszonego i świeżo uszlachconego, pyszni się stopniem swego męża, a w domu, jak to uważałeś, żadnego nie umie utrzymać porządku. Lezie do panów ze swemi córeczkami, którzy z nich drwią; szczególnież czepia się kasztelanowej, którą to nieskończenie żenuje. Ale ona na to wszystko nie zważa, i gdzie tylko może, czy na balu, czy na jakim koncercie, czy w inném miejscu, gdzie się ludzie zgromadzają, wszędzie sadowi się na widoku i pierwsze zajmuje krzesła. Z przyjęcia panien, któreś mi zacytował, wnieść możesz, że miałem u nich łaskę, jakiej ty nie zyskałeś. A wiesz dla czego? bom się wychował między pannami, bo na mnie widziały niby odbłask tego świata, do którego ciągle się obracają, bo umiem paplać po francuzku, i umyślnie zawsze z niemi tym mówiłem językiem, żeby je wyciągać na

baki i błędy, które nas bawiły, które Staś z najkomiczniejszą powagą przy nichże powtarzał, a za co ja odbierałem czasem wymówki od panny Jadwigi, martwiącej się tém, że jej siostry Stryjeczne głupie i śmieszne. Wymówki te dawały mi powód do przepraszania, przepraszanie sprowadzało przebaczenie, a przebaczeniu towarzyszyło czasem takie wejrzenie, w którym zdawało mi się widzieć tyle nieskończoności, ile jej nie ma w tém niebie włoskiém, co jednak tak czyste i głębokie.”

»List mój, któryś odebrał w Warszawie, był krótki i niewyraźny. Nie śmiałem wdawać się w szczegóły, zostawiając w ręku sługi te słowa, któreby mogły zdradzić najdroższą serea mego tajemnicę, dostając się do rąk tych, dla których nie były przeznaczone. Dziś pewny jestem, że tylko ty czytać je będziesz, i dzięki tym kuzynkom, któreś wynalazł, lepiej mię zrozumiesz i nie rozbijesz moich nadziei wszystkimi przystającami i nieprzystającami do siebie trójkątami. Nie zdołam ci wypowiedzieć, jakiego uczucia doznawałem w ostatnich dniach mojego pobytu w Warszawie. W oczach jej widziałem wyraźnie,

że jej dusza przelewa się na mnie, że pójdzie ze mną, że mnie okrywać będzie jak aureola, i strzedz, jak anioł opiekuńczy, nad każdym krokiem moim czuwający. Tak patrzyła na mnie zawsze, wiele razy pewną była, że nikt na nią nie zważa, i że ja tego nie widzę. Wtedy twarz jej stawała się bledszą i przezroczytszą, czoło jaśniało myślami, które ją całą podnosiły od ziemi, i nigdy żadna kobieta podobniejszą nie była do świętej, zapominającej o sobie i o tém wszystkim, co tu jest próżnością i pychą, co krępuje i więzi duszę w tych momentach, w których wyrywa się do nieba z miłością i modlitwą. Nie dziw się, że tak o niej piszę. Ja nie pojmuję miłości bez czci. Wiele rzeczy kocham na ziemi, tak w dziełach Boga, jak w dziełach sztuki, a każdej takiej miłości istotą i duszą jest uwielbienie, jest to, że przedmiot ten podnoszę wysoko nad wszystko co zwyczajne i pospolite. Ale koroną tej miłości jest miłość dla niej. W niej zlewa się wszystko, co uwielbiam w naturze i sztuce, bo w niej łączą się wszystkie ideały, i do piękności formy przybywa jeszcze piękność myśli i duszy, a ztąd ta świętość, która

ją wiąże z niebem. Więcej kochać, więcej czcić mogę tylko Boga, ale nie na ziemi.”

»Odgadłeś od razu, kochany Ignasiu, że sam siebie oszukiwałem, nazywając miłość tę przyzwyczajeniem, przyjaźnią, wdzięcznością za tę dobroć, jaką mi zawsze okazywała. Teraz widzę to dobrze, czem jest i dla czego stanowi istotę mojego wewnętrznego bytu. Rosła ona we mnie wraz ze mną, rozwijała się bez wiedzy, jak rozwijały się wszystkie siły moralne i umysłowe, i społa się z niemi w jedno, tak, że trwać i żyć musi póty, póki ja sam żyć i trwać będę, nie ciałem, bo tu o tem nie ma mowy, ale duszą. Będzie więc nieśmiertelną jak ona. Nie uśmiechaj się, nie nazywaj mię szaleńcem, dającym nieśmiertelność dwódziestoletnim illuzjom. Widzisz, że piszę bez uniesienia, ale zastanawiam się i wyrażam tylko mocne przekonanie, tak, jak gdybym dowodził jakiego geometrycznego twierdzenia. Dla mnie żadne twierdzenie, żadna prawda matematyczna nie ma więcej pewności i siły. Czy te oznaki jęj wzajemności, którym postrzegłem przy pożegnaniu, to ogarnianie mię wzrokiem, te kilka słów, które drżącym głosem wy-

rzekła, ta łza, która zabłysła w jej oku, były prawdziwem świadectwem, że jestem dla niej tém, czém ona jest dla mnie, to zupełnie inne pytanie. Może to być prawdą, w którą lubię i chcę wierzyć, może być złudzeniem, które nieobecność i czas rozwieje. Ale czy jest prawdą czy złudzeniem, nie ujmie ani na włos z téj nieskończoności, która czyni miłość moją niepodległą zmianie i nieśmiertelną. Bo to co nieskończone, ani się umniejszyć, ani umrzeć nie może. Zrobi mię tylko nad wszelki wyraz szczęśliwym, lub da nieopisaną niedolę; co i jedno i drugie stanie mi się równie miłem, bo i jedno i drugie pochodzić będzie od niej.

»Ale osądź sam, kochany Ignasiu, co to jest i co mnie czeka. Powiem ci króciutko, jak to było. Im bardziej zbliżał się dzień naszego wyjazdu, tém częściej spotykałem jej wzrok, tém głębszym był jego wyraz, tém więcej jakiejś dziwnej i przenikającej piękności rozlewało się po jej twarzy. Mówiła mało, choć nie była zamyśloną; do mnie odzywała się bardzo rzadko; a jeżeli zaś usłyszał kilka słów, to było w nich coś macierzyńskiego, coś wyrażającego tę czułą opiekę, jaką ma kochająca kobieta nad tym, co

się oddała. Głos jęj nie był drzący, a jednak zdawało mi się, że półowa tylko jęj myśli była w słowach; drugą zaś półowę tłumilo jakieś wewnętrzne łkanie, nie dające jęj zwykłej pełności i mocy. Postrzegłem to jęj mocowanie się z sobą i unikałem sam takiej chwili, która mię głęboką przenikała boleścią. I kiedy mi serce pękało na tę myśl, że odjeżdżam, musiałem udawać radość, że jadę i oddalam się od tego słońca, co mię tak wyraźnie oświecać i ogrzewać zaczynało. W wiliją naszego wyjazdu, gdyśmy byli razem zgromadzeni, wyszła ze swego pokoju ostatnia i wyniosła trzy książki jednakowo i równie pięknie oprawne. Każdemu z nas oddała po jednej. Były to księgi czyste, przeznaczone na to, aby każdy z nas notował w nich swoje wrażenia, swoje myśli, jakie mu natchną te wszystkie przedmioty, które w podróży swęj obaczy. Na każdej był na pierwszej stronicy napis, wyrażający krótko jęj przeznaczenie, a pod spodem: dla Stanisława Zabuzskiego od siostry; dla księdza Augustyna Mleckiego od J. Zabuzskiej; dla Eugenisza Zabuzskiego od *Jadwigi Z.*— Patrzejże kochany Ignasiu, jakie ja z tego wszystkiego wy-

prowadziłem wnioski. W sercu przekonany byłem, że mnie tylko chciała taką pamiątką na drogę obdarzyć. Wiedziała bowiem dobrze, że książka Stasia będzie prawie prózną, że ksiądz Augustyn, który zapewne nie powróci bez notat obszernych i uczonych, nie będzie miał ani czasu, ani cierpliwości zapisywać je na welinowym papierze i tak, aby je mógł jej pokazać; że zatem ja tylko wiernie i pilnie opiszę co uczuję i pomyślę, patrząc na wszystko wielkie i piękne dawnego i nowego świata, i myśląc o niej przy każdym przedmiocie, który mię przeniknie, zadziwi i wzruszy. Ale tej tajemnej myśli nie mogła zdradzić. Więc pamiątki te oddała nam wszystkim razem i oddała przy ojcu i matce. Myśl ta wyraziła się w napisach książek. Dla brata podpisała, że to od siostry, dla księdza Augustyna, że od Zabuzskiej, dla mnie tylko był podpis, że to od Jadwigi Z., bo czuła to i sama, że sercu memu niepotrzebne było jej nazwisko, że wszystko co w niej czezę i kocham odnosi się nie do jej urodzenia, stopnia i znaczenia na świecie, ale do niej tylko samej, i uosabia się w tém imieniu, które samo brzmi w mojej

duszy i które ona trochę inaczej i widać drżąca napisała ręką. O! jeżeli to jest złudzenie, drogi mój Ignasiu! cóż jest na świecie prawdą? Tego samego dnia przed wieczorem znaleźliśmy się na chwilkę sami.— »Jutro więc odjeżdżasz Eugeniuszu,» rzekła mi, patrząc tak, jakby chciała, aby oczy dopowiedziały to, czego nie będzie w słowach. Mogłem tylko powtórzyć jej wyrazy, że odjeżdżam jutro. »Urośniesz głową, mówiła dalej, dojrzejesz myślą, imaginacya twoja uskrzydli się i wzmoże tём wszystkiём, co ci przybędzie do skarbów nauki i wiadomości. Ale sercem wróć Eugeniuszu takim, jakim wyjeżdżasz.» Głos jej drżał, ja wziąłem jej rękę i zapytałem tylko: A cóż zastanę?— »Zastaniesz to samo, co zostawiasz»— odpowiedziała mi ciszej, i łza w której widziałem i widzę więcej prawdy, niż jest w tём wszystkiём, co ludzie dowiedli rozumowaniem, co dojrzeli szklami i czego dotknęli ręką, dopowiedziała mi reszty. Jeżeli kiedy pisać do mnie będziesz o tём, nie zbijaj tego artykułu mojej wiary. Należy on do istotnych pierwiastków mojego moralnego życia. Zresztą próżnobyś się silił. Choćbyś napisał coś

równie logicznego, jak jest Euklides, nie przekonasz mię i nie zachwiejesz we mnie tego przekonania, że gdybym nawet za dziesięć i za dwadzieścia lat powrócił, zastanę to samo, com zostawił.

»W tém, co teraz mówię, jest cokolwiek kontradykcyi z tém com wyżej sam napisał; ale w każdéj rzeczy wielkiej i nieogarnionéj jest to samo. Czasem myśl zachwieje się i uważa za złudzenie to, co ją ośmiewa zbyt wielką jasnością i daje uszczęśliwienie, które w sercu zmieścić się nie może. Bywaj zdrów, drogi Ignasiu! oczy zachodzą mi łzami, dusza rwie się do was; a tymczasem z okna mojego widzę kopułę Śgo Piotra, która się majestatycznie dźwiga nad miastem i pod niebem złotym krzyżem swym połyska. Biegnę tam szukać pociechy, i zapewne tam ją znajdę. Nieskończoność jedna jest tylko. A czy się ona objawi na ziemi w wielkiej myśli znakomitego geniuszu, czy w wielkiem uczuciu nieznanego serca, zawsze to ten sam Bóg, jeden i żywy, który jest wszędzie i w każdym dziele swém równie mądry, równie niepojęty, równie nieograniczony.»

»Dnia 21 listopada. Od tygodnia jesteśmy w Rzymie i spracowaliśmy się ogromnie. Ksiądz Augustyn widział już prawie wszystkie kościoły, Staś prawie wszystkie pałace i wszystkie polskie panie, które tu obecnie mieszkają; ja widziałem mniej więcej wszystko ciekawsze i godniejsze uwagi, co w granicach murów miasta uderza oko i myśl zastanawia. Jeszcze tak przez czas niejaki chodzić będziem luźnie, i oglądać zabytki dawne i dzieła nowsze osobno, żeby jeden drugiemu nie przeszkadzał, i nie ziewał tam, gdzieby drugi chciał się zastanowić swobodnie i bez świadków. Gdy tak każdy zaspokoi się w rzeczach głównych, które go interesują, potem dopiero, przygotowawszy się lepiej, niż dotąd jesteśmy przygotowani, przejdziemy wszystko zwolna i systematycznie. Obóz nasz bowiem rozbiliśmy w Rzymie, a ztąd zrobimy tylko wycieczkę do Neapolu, do Sycylii, a może i do Malty i wróciwszy na powrót, zostaniemy tu póty, póki będziemy we Włoszech. Rzym jest księgą ogromną i nie łatwą do pobieżnego czytania. Pisały ją wieki kamieniem, marmurem i granitem. Bryły te zlepiła krew i łzy, urabiało je natchnie-

nie starego i nowego świata, pogańskie i chrześcijańskie, uwięzione przy ziemi i rwące się do nieba; kruszyła je i dźwigała dłoń barbarzyńców i tych co błogosławią *orbis et urbi*; zdobyła je dłutem i pędzlem ręka geniuszów, jakich już ziemia nie obaczy, których czas przeminął, którzy już nie powstaną więcej, jak niepowstanie ta potęga, co mi dostarczyła środków wypowiedzenia tej myśli, co także już umarła. Nie spodziewaj się odemnie porządnego opisu tego com widział, com przez ten tydzień przemyślał i uczuł. W takim natłoku przedmiotów, z których każdy zastanawia, każdy interesuje, wśród tych olbrzymich całości i olbrzymich szczątków, nie wiedzieć od czego zacząć, na czym skończyć, co pominąć, a co pomieścić, żeby temu, co tych rzeczy nie widział, dać jakiegokolwiek wyobrażenie i przesłać mu choć odrobinę tego uczucia, jakiego się tu doznaje, i które nie daje odpoczynku myśli i sercu. Tomy już o tem napisano, i tomy jeszcze napisane będą, a jednak każdy człowiek z duszą, który się tu znajdzie, będzie miał jeszcze co do powiedzenia. Otóż i ja powiem ci bez porządku, bez wyczerpania jakiej

ładź materji, co mi się nawinie pod pióro. Czytając ten rys dorywezy, niejasny i niedokładny, więcej może obaczysz moje myśli i uczucia, niż to co mi je natchnęło.”

»Cała prawie droga z Florencyi do Rzymu jest smutna i przykra. Byłaby ona prawdziwem nieszczęściem dla podróżnego, gdyby nie wiedział o tém, że jedzie do Rzymu. Gdzie się kończy państwo wygasłych wulkanów, zaczyna państwo *malaryi*, i owa zielona pustynia, wyludniona przez to zarażone powietrze, gdzie nie widać, prócz kilku ruin, gdzie zupełna cisza i brak życia usposabia duszę do poważnych medytacyj i dobrze przygotowuje serce do tych wrażeń, jakich ma doznać, i których niecierpliwie wygląda. Po południu przebyliśmy Tyber po wspaniałych łukach mostu, tak nazwanego *ponte molle*. Nie mogę ci wyrazić, jakiego się doznaje uczucia, słysząc szum tych fal mętnych i żółtawych, przypominających wody Wisły, i mogąc sobie powiedzieć: przebywam Tyber, i o dwie mile włoskie mam przed sobą Rzym, który obaczę! Ile tu wspomnień opada głowę! ile postaci powstaje z grobów, po nad któremi tysiąc lat przemijało?

jak wieki i zdarzenia przesuwają się przez pamięć, mieszają się z sobą, i olbrzymieją tём zbliżeniem się nagłóm, szybkiém, jak olbrzymieje każda prawdziwa wielkość, która ani pod okiem mierzącém ją nie maleje, ani pod ręką, która jéj dotyka, w proch się nie rozsypuje. Wypatrzyłem oczy, tłumilem oddech w piersi, sądząc, że w tój ciszy, jaka mię otaczała, usłyszę nagle jakiś odgłos, jakiś objaw potężnego życia dawnéj stolicy świata, który może będzie owym grmiącym oklaskiem, jaki wychodzić musiał z amfiteatru Flawiusza, lub cyrku Aleksandra, kiedy kilkadziesiąt tysięcy rąk przyklaskiwało śmierci biédnego gladyatora. I wtedy przyszło mi także na myśl, że może ten gladyator pod strzechą słowiańską piérwszy raz odetchnął, że może konając dla uciechy swych panów, zegnał wspomnienia dzieciństwa takim językiem jak mój, takim szeptem, którybym ja uczuł i zrozumiał, gdyby do uszów moich doleciał.

»Wśród tych myśli minąłem tę krótką przestrzeń. Już okiem i oddechem dotknąłem Rzymu, i za piękną willą Borgeznych obaczyłem bramę i plac przepyszny *Piazza del popolo*. Nie

można było wymyślić godniejszego wstępu do dzieła, na które się tysiące lat składało. Zgasła potęga, gasnąca sztuka, trwająca tylko wiara, każda z tych wielkości ma tam swego reprezentanta, który wymownie przemawia do zdumionego oka i wzruszoném sercem potrząsa. Obelisk, *Aqua Virgo* z paszczy lwów tryskająca, gmach ekspozycji sztuk pięknych i inne publiczne budowy, dwa podobne do siebie i przepyszne kościoły, wszystko to opowiada dzieje, które minęły, i te co już zachodzą w pamiątki, i te które trwają i których następne nie spożyją wieki. Plac ten tém jest wspanialszym, tém więcej uderza oko, pragnące od razu wejrzyć w te cuda, których tak chciwie wygląda, że z niego odkrywa się perspektywa na trzy wielkie ulice, które Rzym nowożytny przerzynają. Środkowa, *Corso* prowadzi do Kapitolu, bliżej brzegu Tybru idzie *Strada Ripetta*, a trzecia na wschód *Strada Babuino*, idąca przez plac hiszpański, prowadzi do *Monte Cavallo* i Kwirinalskiego pałacu papieżów, gdzie stoi znowu obelisk i sławne kolosy Dioskurów.

»Jeszcze z Florencyi mieliśmy zamówione mie-

szkanie w najzdrowszej części miasta, powyżej placu hiszpańskiego, na którym najbardziej uczęszczane znajdują się hotele, i niedaleko od kościoła *Trinita de monte*. Ze wzgórza tego widać cały prawie Rzym nowożytny, ulice w różnych przeryniają się linijach, kościoły i pałace rysują się w rozmaitych perspektywach, zdaleka szarzej *Janiculus*, a nad tem wszystkiem, na tle niebios maluje się kopuła Śgo Piotra, ku której myśl i oko zwraca się z podziwieniem i ku której serce dąży z pokorą.

»Ulokowawszy się co prędzej w ładnej i wygodnej stancyi domu, w którym niegdyś mieszkał Salvator Rosa, obok którego przebywała królowa Sobieska, bo widzisz, że tu na każdym punkcie jest wspomnienie, a wszędzie gdzie stąpisz, potrącasz o jakieś niezapomniane imie, poszliśmy na los szczęścia obaczyć, jak też w rzeczy samej wygląda to, co nam znane już było z czytania, z rysunków, a co jednak inaczej przemawia do duszy, gdy oko patrzy, gdy można dotknąć ręką tej kształtnej lub rozłamanej bryły, przez którą przechodziły wieki. Zstąpiwszy ze wspaniałych schodów, prowadzących od kościoła *Trinita* na plac Hiszpański,

przez *Via de Condotti* przeszliśmy na *Corso*. Pyszna ta ulica, niezbyt szeroka, ale długa i równa, ciągnie się wśród pałaców i kościołów, które zdumiewają formą; a ta myśl, że wszędzie jest choćby jeden kamień, którego dotykała ręka, lub na którym spoczywało oko którego z wielkich ludzi dawnego świata, że w każdym z tych pałaców i kościołów spotkasz się z dziełami tyłu geniuszów, których późniejsze czasy wydały, nie daje odpoczynku głowie i wzmaga wrażenie, niecierpliwosć i interes. Z takimi uczuciami mijaliśmy pałac Ruspoli, pałac Chigi, plac *Colonna*, gdzie stoi kolumna Antonina, i obok którego na prawo plac *Monte Citorio*, gdzie wzgórek urósł z gruzów i odkopywanych dawnych pomników, pałace *Sciara* i *Doria*, w których się znajdują zbiory, jakich gdzieindziej królowie nie mają, i pałac *Torlonia*, w którym widzieć można to, co rzeźba nowożytna najznakomitszego wydała. Przeszedłszy plac Wenecki, i nie pytając nikogo, aby nam nie zepsuł uroczystego wrażenia obojętną odpowiedzią, przez oswojenie się z temi dziwami natkniętą, zostawiliśmy na prawo Kapitol, i przez *Via di Marforio* dostawszy się na *Forum roma-*

num, stanęliśmy przed łukiem tryumfalnym *Septima Severa*. Piękny ten pomnik, obłożony marmurem, ozdobiony rzeźbą, imponujący wielkością swą i formą, choć się już znacznie zasunął w ziemię, świadczy o potędze i kunszcie tego czasu, który go dźwignął. Ale nie będę ci teraz opisywał tych niezliczonych pamiątek, które widzieć jeszcze można na tym sławnym placu, na tym teatrze wszelkiego rodzaju tryumfów, a który dziś zarzucony gospodarstwem. Nie powiem ci więc ani o kolumnie *Fokasa*, która tam stoi samotna, jak jedyny, wielki frazes, który z zaginionego dzieła pozostał; ani o złomkach *Curii Hostilii*, i naprzeciw stojącej świątyni Antonina i Faustyny; ani o szczątkach złotego domu Nerona, ani o Bazylice Konstantyna, łuku tryumfalnym Tytusa, kościele *Veneri* i *Romy*, i o innych, innych, których tu nawet wyliczyć nie mogę. Minęliśmy to wszystko śpiesznie, pobieżnie, bośmy dążyli do tego olbrzyma, który się zdaleka wznosił przed okiem naszym, a który od kolosu Nerona, co tam stał przy wejściu, Kolosseum nazwano. Jakże spojrzeć bez zdumienia na tę potężną ruinę, największą ze wszystkich,

jaka ze starożytności pozostała? Chociaż czas, wojny, pycha i próżność nie szczędziły jej weale, chociaż nawet papieże, jak Paweł IIgi do pałacu Weneckiego, a Paweł IIIci do Farnezyjskiego, Barberini do swego, inni do innych kazali tu łamać kamienie, tak, że z jednego tylko oderwanego boku pięć wzniosło się gmachów, zostało jednak jeszcze tyle, że żadna dzisiejsza potęga nie byłaby w stanie zdobyć się na taką masę, żadna imaginacya dzisiejszych architektów nie umiałaby pojąć takich form i odważyć się na takie wymiary. Dopiero Benedykt XIVty w XVIII wieku ochronił ruinę tę od dalszego niszczenia; była jednak głęboko zasypana ziemią, zaniedbaną, chwastami i zielkiem porosłą. Pius VIImy otoczył ją równem staraniem, a Francuzi przyczynili się stanowczo do jej podniesienia, oczyszczenia i okazania całej tego olbrzymiego arcydzieła piękności. Następni papieże, przejęci taką samą gorliwością, pomnik ten, uświęcony stacyami Męki Pańskiej, przyprowadzili do tego stanu, w jakim się dziś znajduje. Nie będę ci opisywał szczegółów, a przeznaczenie tej budowy, wzniesionej przez Wespazyana Flawiusza, skoń-

czonój i inaugurowanej przez Tytusa, pewnie ci dobrze wiadome. Powiem ci tylko, że przy olbrzymiej grubości murów, powtarzających się w kilka rzędów, jak tego wymagały galerye i siedzenia dla ośmdziesięciu kilku tysięcy spektatorów, miał ten amfiteatr 1,683 stopy obwodu, a 183 stóp wysokości. Władcy świata powinni byli mieć taką widownią tych igrzysk, których dziś nie pojmujemy, jak nie pojmujemy tego luku, jaki tam powstać mógł, kiedy osiemdziesiąt tysięcy widzów jednoczesnym oklaskiem i potężnym okrzykiem wyrażało swe uniesienie, na widok człowieka, który dla zabawy wszystkich pasował się z życiem, ciężkie odbierał rany, i przy oklaskach umierał. Nie podobna usiąść tu na złomie kamieni, bez głębokiego zadumania się o tych kolejach, już nie mówię potęgi i losów państw i narodów, ale o tych kolejach, jakie wyobrażenia i uczucia ludzkie przechodzą. Dziś, kiedy dzwon na Kapitolu ogłosi początek karnawału, Rzymianie lecą z takim samym zapałem na *Corso* patrzeć na wyścigi koni, na bitwę cukierkami, na wykrzywiające się maski i bujające w powietrzu wstążki, z jakim dawniejsi Rzymianie szli do

Koloseum, służyć ryku lwów i tygrysów, i patrzeć i przyklaskiwać zapasom z niemi człowieka, którego krew i rany nie mogły ich zaspokoić, który musiał skonać koniecznie, aby odeszli kontenci. I kiedy dzisiejsi po ukończeniu pustej swywoli idą do kościoła, posypują głowy swe popiołem, a nie jeden szczerze nawet bije się w pierś, żałując za grzech, jakiego się mógł dopuścić; tamci nie wiedzieli nawet o tém, że oklask ich był zbrodnią, wracali spokojnie i z uśmiechem do swych uciech i biesiad, i potem stawali w szeregach legionów, odbierając podobne rany i konając równie cicho i bez jęku, dla chwały tego pana świata, tego Rzymu, który był dla nich pojęciem, skupiającem w sobie terażniejszość i przyszłość. Myśmy zapewne karły w porównaniu z tymi olbrzymami. Ale czyż tamto byli ludzie? W takich pogrążony myślach, takie robiąc sobie zapytanie, podniosłem głowę, i oko moje padło na krzyż, tkwiący dzisiaj w środku téj areny. Nie wielki on, prosty, drewniany, a jednak dziwnym mi się wydał okryty blaskiem i wytłomaczył mi wszystko.

»Nie tak nie zastanawia, jak zejście całkowite

z ziemi ludu, który tak zapełnił dzieje czynami swojemi, i takie zostawił pamiątki, jakie tu wszędzie widzieć można. Już te szczątki, jakie pozostały po Tarkwiniuszu Starym i Tarkwiniuszu Pyszny, choć niezmiernie uszkodzone, zwiastują pierwsze poruszenia i kroki przyszłego olbrzyma. Jakoż rósł on potężnie i dorósł do zdumiewających wymiarów. Zdobycze wojenne dawały mu siłę i możność; i prędko marmur zastąpił drzewo i kamienie, a na tém miejscu gdzie była chata Romuła, wznosił się pałac Augusta i potem złoty dom Nerona. Z prywatnych budynków owych sławnych z potęgi i zbytków Rzymian, prawie nic nie pozostało. Nawet willa Mecenasa w Tivoli, której wielka została ruina, służyła, jak świadczy napis, nie do użytku prywatnego, ale do ochronienia drogi i zmniejszenia jęj spadku. Wyraża się w tém duchu tych panów świata, a może i tłumaczy się przez to tajemnica ich wzrostu i siły. Oni jedni mieli prawdziwe wyobrażenie *Rzeczy publicznej*, wyobrażenie, które nie znikło nawet pod despotyzmem Cezarów. Ogromne skarby, zdarte z tyłu podbitych narodów, nie szły całkiem na zbytko-

we domy i pałace tych, co te miliony zwozili do Rzymu, ale dla Rzymu samego. Tak nabytemi środkami Metellus wznosił z marmuru świątynię Jowisza Statora i Junony; Pompejusz wy-murował teatr, Cezar ozdobił *Forum romanum*. Trzydzieści milionów złotych miało kosztować samo zakupienie budynków i placów, aby na tém miejscu *Venus genitrix* znalazła świątynię. Reszty pozostałe świadczą, ile to tam było podobnych świątyń, kiedy wszyscy bogowie, nie tylko Rzymu, ale i podbitego świata, wszystkie przymioty i cnoty, jako wstydlivość, honor, męstwo i t. d. miały swój przybytek. A każda świątynia wznosiła się ręką wodza zdobywcy lub Cezara, który, jakąś czy publiczną, czy osobistą pamiątkę, jak np. August ocalenie swe od piorunu, uwieczniał budową, upodobanemu sobie bóstwu poświęconą. Jakie zaś mogły być te świątynie, jakim był kościół Wenery i Romy, którego sam Hadryan był architektem, jaką świątynia pokoju, której cudną kolumnę Paweł V postawił przed kościołem *Santa Maria Maggiore*, jakim kościół Jowisza Statora, którego trzy kolumny stoją na *Forum*, jakiemi inne, których

tyle pozostało szczątków, to łatwo wnieść z tychże szczątków, dających miarę całości, a szczególnie wnieść można z Panteonu Agryppy, który pozostał całkowicie i którego formy i wykończenie zdumiewały Michała Anioła.

»Niewyrachowane summy pochłonęły także wody, wszystkie kolosalnemi wodociągami sprowadzone. Dzieła te użyteczności publicznej, stanowiące dziś największą ozdobę Rzymu, sięgają najdawniejszych czasów. *Aqua Appia*, *Aqua Virgo*, *Aqua Trajana* dziś *Paola*, *Aqua Alexandrina*, blisko dzisiejszej *Aqua Felice*, wszystko to są zdumiewające roboty, które tylko w stolicy świata wykonać się mogły. A cóż powiedzieć o wodach urządzonych i ozdobionych przez Agryppę? Pojmiesz, jaki on koszt wyłożył na swoje sadzawki studnie i wodotryski, i jak one wyglądały, kiedy do ich ozdoby służyło trzysta marmurowych i bronzowych posągów i czterysta marmurowych kolumn.»

»Dla zgromadzeń senatu budowali pojedynczy ludzie Bazyliki i Kurye wspaniałe, ozdobione przepychem portyków i rzędami kolumn, a które no-

siły nazwiska tych, co je wystawili. Nie dawno nawet, bo w roku 1812 odgrzebaną została *Basilica Ulpia*. Równie dla ozdoby miasta, jak i dla zajęcia igrzyskami tej masy, którą trzeba było umiejętnie kierować, powstawały cyrki, teatry i amfiteatry. Ogrom ich dla nas, nazywających wielkim teatrem taki, gdzie się parę tysięcy ludzi mieści, wydaje się czémścis bajeczném. Teatry Pompejusza i Balba należały do najmniejszych tego rodzaju budowli, a jednak mieściły po kilka tysięcy widzów; teatr zaczęty przez Cezara, a przez Augusta poświęcony Marcellowi, mieścił ich dwadzieścia tysięcy. O Koloseum już ci mówiłem. A cóż dodam o cyrkach? *Circus Maximus*, dokończony przez Augusta, mieścił w sobie więcej niż dwa razy tyle widzów, ile dzisiejsza ludność całego Rzymu wynosi; *Circus Flaminius*, *Circus Agonalis*, później Aleksandra, gdzie dzisiejszy plac Novona, i na którym odbywały się Naumachie, gdyż mógł być wodą zalany, miały olbrzymie rozmiary. Sam Portyk przy teatrze Pompejusza nazywał się hekatostylon, bo się składał ze stu kolumn. I wszystko to wznosiły ręce tryumfatorów, dla chwały, ozdoby i za-

bawy Rzymu, sobie tyle tylko zostawując, że do tych murów, świadczących o potędze senatu i ludu rzymskiego, gdyż w tych kilku wyrazach zamykało się pojęcie panowania nad światem, przyczepione było ich imię i miało tam tkwić na wieki.

» Nawet pałaców cesarskich i tych Termów, czyli łaźni, które same, postawione obok siebie, złożyłyby ogromne miasto, nie można nazwać budynkami prywatnemi. Noszą one wprawdzie, również jak wodociągi, cyrki i teatra, nazwiska tych, co je budowali, są to więc łaźnie Agryppy, Nerona, Tytusa, Dyoklecyana, Karakalli, Konstantyna; nie były jednak przeznaczone na użytek osobisty tych władców, ale służyły do ozdoby miasta i do wygody dwómilionowej jego ludności. Jaki zaś był ich przepych i wielkość, wniesć możesz ztąd, że w Termach Tytusa znaleziono taki posąg, jakim jest Laokoon, że w Termach Konstantyna na Kwirynalu, gdzie dziś stoi pałac Rospigliosi, odkryto kolossy Kastora i Polluxa z końmi, dzieła nieśmiertelne Praxytelesa i Fidyasza, że z jednej sali Termów Dyoklecyana, Michał Anioł, nie tykając jej kolumn

i wymiarów, zrobił ogromny kościół *di Santa Maria delli Angeli*.

»A jednak mimo taką potęgę, mimo tak olbrzymie środki, jakie potrzebne były do dźwignienia tych pomników, których resztki zdumiewają, a które ci tu pobieżnie i w drobnej tylko części wymieniłem, pomniki te są tylko ruiną. I na kolumnie Trajana stoi dziś Śty Piotr, na kolumnie Marka Aureliusza Śty Paweł, pod tryumfalnymi łukami Septima Sewera, Tytusa i Konstantyna przeciągają pobożni pielgrzymi, a na obeliskach ze zdobytego Egiptu niesłychanym kosztem sprowadzonych, i z których jeden na to tylko był, aby służył za skazówkę do kompasu Augusta, połyskują krzyże, i o znikomości rzeczy ludzkich dopowiadają to, czego hieroglif powiedzieć nie chce. I nie tylko państwo Rzymskie upadło, co jest rzeczą mniej dziwną i powtarzającą się w dziejach, ale lud rzymski znikł, z językiem, z wiarą, z wszelką tradycją swęj wielkości i obyczajów. I czemuż to? oto temu, że to nie był właściwie naród, ale kolonia militarno-polityczna, złożona ze zbieraniny ludów, sztucznie i doskonale w jedną uorganizowana ca-

łość. / Naród, dzieło boże, wychodzi z rąk Wszec-
 mocnego na wieczne czasy, wraz ze swym języ-
 kiem, wraz z życiem wewnętrznem sobie tylko
 właściwem. Może on zniknąć politycznie, ale
 wielkiej tej jednostki społeczności ludzkiej, przez
 Stwórcę na miejscu swém postawionej, niepodo-
 bna zupełnie usunąć z ziemi i przerodzić tak,
 żeby o sobie nie wiedziała. Instytucya ludzka
 jest rzeczą czasową. Wzmaga się ona, rośnie,
 doskonali i trwa póty, póki nie spełni swęj mis-
 syi. Gdy się staje niepotrzebną, zaczyna się psuć,
 upada i niknie ze szczeniem. Żydzi byli narodem;
 są więc i będą zawsze, a ślady Rzymian zostały
 tylko w złomach kamieni, i w trwalszych od mar-
 muru i granitu dziełach kilku wielkich pisarzy.

»Rzym chrześcijański nie prędko mógł całą
 myśl swoją wypowiedzieć. Nad przyszłym gro-
 dem Apostoła męczennika, którego ślad pozostał
 w źródle mamertyńskiego więzienia, które wydo-
 był ze skały, aby ochrzcić więźnia, który uwie-
 rzył, przeszło mnóstwo przemian. Rzym tyle
 wytrzymał napadów, szturmów i rewolucyj, iż
 nie dziw, że doliny między dawnymi pagórkami
 znacznie się wyrównały, że ze zwalisk nowe po-

wstały pagórki, jak *monte Citorio* i *monte Cesario*, że dawny grunt, po którym stąpali Cyccero i Hortensyusz, Wirgilijusz i Horacy, po którym przechadzał się Agryppa i Mecenas, po którym huczały wozy wiozące tryumfalnego Pompejusza, zasunął się głęboko w ziemię, i pociągnął za sobą tyle dzieł sztuki, których część wydobyto, a których większa zapewne połowa dotąd tam pogrzebana. Nie od razu nawet nowi władcy pierwszego na świecie miasta pojęli znaczenie wielkich jego ostatków. Niektórzy, jak ci to już wspomniałem, przyłożyli się do ich zburzenia. Tymczasem pokazało się, że wzrost nowego Rzymu zależał od uszanowania i ochronienia dawnych jego pamiątek. Zrozumieli to papieże Alexander Vity, Pius IIIci, Juliusz IIgi i Leon Xty, że stolica ich powinna być razem stolicą wiary i sztuki, że o tyle przybierze charakter wielkości i powagi, o ile nowym formom, w jakie się z bogaci, służyć będą za podstawę olbrzymie fundamenta dawnych i kolosalne wymiary tych ostatków, jakie czas oszczędził. Następowala też epoka takich architektów jak Bramante i Peruzzi, takich geniuszów sztuki, jak

Rafael i Michał Anioł, którzy rozpoczęli systematyczne odgrzebywanie dawnego rzymskiego miasta, i umiając złożyć wydobyte złomki i doskonałość ich wykazać, byli w stanie urzeczywistnić każdą myśl, która się w głowie papieżów poczęła. I znowu, jak dawniej, ze wszystkich chrześcijańskich krajów zaczęło się zlewać złoto do Rzymu, dostarczając mu środków do odzyskania swego znaczenia. I znowu Rzym stał się powtórnie stolicą świata, wielając myśl, jaką wyraża, duszę swęj wielkości i trwałości swego bytu, w te przepyszne pałace, które są przybytkiem sztuki, i w te wspaniałe i ogromne kościoły, które są razem przybytkiem sztuki i wiary.

»Pałaców tych jest takie mnóstwo, że ci ich wszystkich wyliczyć nie mogę. Do wyżej wspomnianych dodam tylko pałac *Corsini*, pałac *Colonna*, papieżów na Kwirynalu, pałac *Rospigliosi*, willę *Albanich*, pałac *Farnezych*, *Barberinich*, willę i pałac *Borghezów*. W każdym z nich architektura jest pięknym pomnikiem tej sztuki; każdy zamyka w sobie kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt arcydzieł wielkich mistrzów malarstwa;

a wszystko to razem wzięte robi Rzym jednem wielkiem muzeum, do którego nie darmo tęskni każdy artysta, poczuwający w sobie choć cząstkę tego bożego tehnienia, jakie ożywiało tych ludzi w dawnym czasie, póki sztuka była tém dla nowego Rzymu, czém dla starego była wojna i zwycięstwo. Dziś wszystko to zamieniło się tylko w pomnik geniuszu, który wygasł jak wulkan, i którego już żadna siła na nowo zapalić nie zdoła.

»Muzeum Kapotolińskie i galerye Watykanu są zbiorem niesłychanym rzeźby starożytnej. Gładyator, Faun, Wenera w pierwszym, Laokoon, Apolin Belwederski i cały nieprzeliczony szereg posągów w drugiej, mogą dopiero dać wyobrażenie, czém była ta sztuka, wyłączone dziedzictwo starożytnego świata, wyłączny i najpotężniejszy wyraz przedchrześcijańskiego życia, wiary i obyczajów. Dla nas jest ona tylko zbytkiem, a nie istotną potrzebą ducha, któremu te formy tak ściśle ograniczone wystarczyć nie mogą. Marmur najsilniej ożywiony, najwyżej podniesiony do idealnych kształtów, zawsze mówi tylko o ziemi i jēj doskonałość wyraża. Obraz

ogarnia ziemię i niebo, i w nieograniczonych perspektywach swoich, w niezmierniej różnaitości barw i kształtów, a często w rzuconych tylko rysach, dających więcej do czynienia domysłowi, niż oku, daje pojęcie i przypomina wszędzie myśl tej nieskończoności, która jest istotą i napiérwszą potrzebą chrześcijańskiej duszy. To też wśród tak ogromnego szeregu wielkich mistrzów malarstwa, Włochy nawet mają tylko kilku prawdziwie wielkich snycerzy. Z nich piérwszym był Michał Anioł, którego *Pieta* w kościele Watykańskim, a szczególniej Mojżesz w kościele Sgo Piotra *in Vincoli*, wyrażają najwyzszość tej sztuki w czasach nowożytnych, a ostatnim Kanowa, którego *Perseusz i Herkules*, choć piérwszy przypomina *Apolina Belwederskiego*, mogą stanąć obok wielkich tworców starożytności. Ale czymże są dla nas te dzieła, jakkolwiek wielkie, w porównaniu ze *Stacyami* Rafaela w pałacu Watykańskim, z *dziejami Genezy i Sądem Ostatecznym* Michała Anioła, w kaplicy Sykstyńskiej, z *Transfiguracją* Rafaela i *Komuniją Dominikina*, w galeryi Watykanu? W tych to wiekopomnych pomnikach geniuszu wyobraża się najwyzszość nowożytniej sztuki

ki, a myśl chrześcijanina korzy się przed natchnieniem, które je wywołało i podnosi się do źródła, z kąd jedynie wypłynąć mogło.

»Łatwo pojmiesz, że główną rzeczą, istotą i duszą takiego miasta jak Rzym, muszą być kościoły. Jakoż trudno wyobrazić sobie ich wspaniałość, bogactwo, i ten artystyczny wyraz, którym każdy prawie przypomina, że jest, jak powiedziałem, nie tylko świątynią wiary, ale razem i świątynią sztuki. Kościół Laterański, właściwie główna Katedra wszystkich, Bazylika Śgo Pawła, która w roku 1823 spłonęła i na nowo z ruin swych powstaje, Santa Maria Maggiore, Santa Maria del Popolo, Santa Maria degli Angeli, ad Martyres i Sopra Minerva, Santa Maria d'Araceli, Santa Trinità de monti, Santo Augustino, Santo Andrea della Valle, San Pietro in Vincoli, i tyle a tyle innych, uderzają formą, wielkością i bogactwem lub pozostałem ze starego Rzymu lub przez nową stworzoném sztukę. Tu spotkasz się z mozajką według rysunków Rafaela, tam ze zdjęciem z krzyża Daniela di Voltera, tu z prorokiem Izajaszem Rafaela, tam znowu z jego grobem, tu ze czterma Ewan-

gielistami Dominikina, tam znowu z jego freskami z legendy Stój Cecylii, tu ze statuą Chrystusa Michała Anioła i grobowcem Angelico da Fiesole, tam znowu z jego Mojżeszem, który stanowi cząstkę niedokonanego grobowca Juliusza II. A wszędzie, albo przy wnijsciu do świątyni, albo na jej ganku, albo w jej fundamentach, lub pod jej sklepieniami, stoi lub obelisk starożytny, lub złomek dawnego portyku, lub potężny mur przedchrześcijański, lub szereg kolumn z marmuru lub porfiru, na których dawne opierały się rzeźby i połyskujące złotem arkady. Takich kościołów jest w Rzymie 328, a wszystkich summa, że tak powiem, jest ów cud świata, tkwiący w myśli każdego pielgrzyma, każdego podróżnika, który się zbliża do grodu Śgo Piotra, jest to jego wzniosła Bazylika na Watykanie. Nie będę ci jej opisywał, boby mi na to nie wystarczyło ani sił, ani miejsca. Powiem ci tylko, że w żadnym kościele nie jest duszy tak dobrze jak tu, gdzie jej ogrom nie gniecie, gdzie harmonia wszystkich części przypomina harmonią świata, gdzie ozdoby nie rażą zbytkiem, i zdają się nawet prostotą i skromnością, gdzie żadna

pojedyncza część nie krzyczy, nie woła do siebie i nie rozrywa tego uroczystego wrażenia, jakim cudowna ta całość napęłnia wszystkie władze człowieka. A jednak rozpatrzywszy się, przekonasz się, że to największa budowa na całym świecie, że długość kościoła, wraz ze wspaniałym przysionkiem ma 666 stóp, a szerokość 284, że kopuła wznosi się wewnątrz na 487, a zewnątrz na 503 stopy pod niebo, ma 130 stóp średnicy i sama przez się ogromny stanowi kościół; schyliwszy wzrok ku ziemi, postrzeżesz, że depcesz po najdroższych marmurach z niezmierną ułożonych sztuką; podnosząc go w górę, obaczysz nad sobą najcudniejsze rzeźby, a w wyłóconej kopule same mozaiki; na olbrzymich pilastrach, na ścianach, na ołtarzach nie widzisz, tylko marmur, bronz i mozaikę. Nawet olejne malowanie było już za nadto drobną, za nadto ubogą tej świątyni ozdobą. Nie ma więc tu ani jednego obrazu olejnego w ołtarzach, ale za to owe arcydzieła, które są klejnotami galerij i innych kościołów, jak Transfiguracya Rafaela, Komunija Dominikina, Śta Petronella Guercina i inne, są tu powtórzone w cudnych i nie-

ocenionych mozaikach. Żadna budowa nie łączy tak w sobie tego wszystkiego, co w każdym wieku, który myśl swoją wyraził, było najwyższem. Jój kolosalne wymiary mają charakter dawnego Rzymu, jój kopuła gubiąca się w obłokach wypowiada ducha średnich wieków, doskonała harmonia jój form, wytworność a razem prostota w ozdobach, czystość i poprawność każdej linii, uprzytomnia geniusz Grecyi. A wszystko razem czyni tę świątynię do tego stopnia chrześcijańską, że gdziekolwiek staniesz i pogrążysz się w zadumieniu, czujesz tylko niezmierną swoją małość, i niezmierną wielkość tego Boga, który dopomógł ludziom, aby mu taki przybytek wzniesiono.

»W tém zadziwiającem dziele Bramanta, Juliana San Gallo, Rafaela, Peruzego i Michała Anioła, chciano widzieć wyraz doczasowej potęgi papieżów i objaw ziemskiej ich pychy. Jak liche i mizerne pojęcie ducha czasu i tej myśli, która ich ożywiała! Czyż dla celów tak drobnych, dokonałby się był pomnik tak wielki, mimo tylu lat, przez które powstawał coraz rosnaący, mimo tylu genialnych głów, które nad nim pracowały,

zdumiewający taką jednością pomysłu i wykonania? W Bazylice Śgo Piotra jest myśl wyższa, jest natchnienie nie z ziemi, lecz z nieba. Powstała ona na grobie księżęcia Apostołów i uważać ją należy za symbol materialny tego Kościoła mystycznego, który Chrystus na tej skale dźwignąć obiecał.

»Mówią w Rzymie, że gdy Kolosseum upadnie, Rzym upadnie, a gdy Rzym upadnie, świat upadnie. Jest w tém cokolwiek prawdy, tylko trzeba to wyrazić inaczej. Jabym powiedział, że gdy kościół Śgo Piotra upadnie, upadnie wszystko, co w świecie chrześcijańskim wznosiłem jest i wielkiem. Nastąpi zupełny rozbrat ludzi z niebem, i Europa zamieni się na ogromną fabrykę wyrobów jedwabnych i bawełnianych, żelaznych i stalowych.

»Ale dosyć już tego, kochany Ignasiu! Przestraszyłem się patrząc na ćwiartki mojego listu, któremi cały zarzuciłem stolik. Biedny aplikancie! dla ciebie kolosalną zapewne będzie ta summa, którą za tę kolosalną ramotę zapłacisz. Ale nie żałuj tych kilku złotych. Będziesz za nie miał przed oczami całą moją duszę, która po-

trzebowała wygadać się. Pisz do mnie jeszcze do Rzymu, według adresu, który przyłączam. Ale nie pisz póty, póki jej nie obaczysz. Na początku grudnia pewnie będą już w Warszawie. Pójdź więc do kasztelana i zaprezentuj się temu człowiekowi, którego śmiało dobroczyńcą mym nazwać mogę. Niestety! syn jego im bardziej się rozwija, im więcej dojrzewa, tém mniej staje się podobnym do ojca. Znosi on mnie, jako towarzysza swojej młodości, ale ja czuję to, że w duszy nie uznaje mnie za brata i ma się za coś bez porównania wyższego. Duma i próżność pańska bierze w nim górę i tłumi wszystkie dobre przymioty. O jakże różnym jest od siostry! pomów z nią Ignasiu! pomów śmiało, byle nie o mnie. Niech cię Bóg broni, abys dał czémkolwiek poznać, że ci tajemnica duszy mój wiadoma. Bywaj zdrow, niech ci Bóg szczęści! A kłaniaj się odemnie naszym kuzynkom i mów z nimi o mnie często.”

I jak nie miał Ignas mówić z nimi o Eugeniu-szu, kiedy nie tylko kochał go jak brata, ale z tego ostatniego listu powziął wielkie wyobrażenie o jego głowie, talencie i sercu. Czytał on

z serdeczném zajęciem to, co mu pisał o sobie, czytał z pewną dumą to, co pisał o Rzymie; potem całe to opisanie czytali z Kańskim, i nareszcie czytali je na Śto Jańskiej ulicy, wysilając swoją gimnazyalną erudycyę, aby panienkom, które o wielu wspomnianych tam rzeczach i imionach nawet nie słyszały, wytłómaczyć i pojętném zrobić to, czego nie rozumiały. I wszyscy zakludowali, że to będzie mepospolity człowiek, że wyjdzie na znakomitego pisarza, że się stanie ozdobą literatury i zaszczytem imienia, które nosi.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



**INSTYTUT
BADAŃ I OCHRONY PAMIAŃKI**

Biblioteka

ul. Nowy Świat 72

00-000 Warszawa

Tel. 26-00-63, 26-52-31 w. 42

158

F

1546

1-2